ŚWIAT BEZ KRÓLOWEJ
Pożegnanie z ikoną monarchii
Kim jest król na XXI wiek
Czy Brytania przetrwa

ZIMA ZŁA
Zabraknie węgla dla 1,5 mln domów

KATOLEWICA
Polityczna siła Ewangelii

MARSZ NA RZYM
Giorgia Meloni wstrząśnie Italią

Kraków 18 września 2022 nr 38 (3819) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

DAWID OGRODNIK
Dostałem nowe życie

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425
38
9 770041 480208

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

REKLAMA

TYGODNIK POWSZECHNY

bella ciało!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / RYS. JOANNA RUSINEK

WYDANIE SPECJALNE JUŻ W SPRZEDAŻY

SZUKAJ W PUNKTACH Z DOBRĄ PRASĄ
LUB W E-WYDANIU NA POWSZECH.NET/CIAŁO

20 Kto pierwszy na ślizgawce
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK
Praca poniżej kwalifikacji, codzienność pełna nudy, rosnąca frustracja. Tysiące ukraińskich uchodźców popada w Polsce w marazm, czasem w cwaniactwo. Wielu też, po cichu, wróciło już do Ukrainy.

36 Proca kardynała Zena
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO
Krytykuje zarówno chińskie władze, jak i Watykan. Kard. Joseph Zen papieża się jednak nie wyrzeknie. 19 września stanie przed chińskim sądem.

66 Życiopisanie
ROZMOWA Z FILIPEM ZAWADĄ, PISARZEM:
I w matriarchacie, i w patriarchacie ktoś będzie bity, bo to zawsze walka o władzę, o bycie lepszym. Czy nie czas, by w końcu zacząć się dogadywać?

30 Wychodzę z roli
ROZMOWA Z DAWIDEM OGRODNIKIEM, AKTOREM:
Wybierałem kreacje młodych stąpających po cienkim lodzie, bo sam po nim stąpałem. Gdyby nie to, że miałem już dziecko, mogło się to skończyć nawet samobójem. Rola księdza Kaczkowskiego to dla mnie przełom.

46 Królowa, która była bliska
PATRYCJA BUKALSKA
Najdłużej panująca brytyjska monarchini, symbol brytyjskości. W żałobie po śmierci Elżbiety II widać wagę jej postaci. Naprawdę była niezastąpiona.

78 Bocianie wakacje
ADAM ROBIŃSKI
On nie odlatuje, on wraca do siebie. Wygląda na to, że do roboty.

FILM // MARTIN MCNEIL / GETTY IMAGES // KATARINA RADŁOWSKA // ŁUKASZ GIZA / AGENCJA WYBORCZA.PL // ANTHONY WALLACE / AFP / EAST NEWS

WOJTEK JARGIŁO / PAP // DANIEL JAROSZEK / NEXT

6 Siła symbolu
MARCIN ŻYŁA

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Kto pierwszy na ślizgawce
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

24 Dług zamiast odbudowy
PIOTR WÓJCIK: *Spór rządu z Brukselą przeciąga się, więc Polska zamierza rozpocząć realizację KPO bez unijnego wkładu. Inflacja lubi to*

26 Silna i stabilna
KALINA BŁAŻEJOWSKA *o TVP pod rządami Jacka Kurskiego*

ROZMOWA

30 Wychodzę z roli
ROZMOWA Z DAWIDEM OGRODNIKIEM, AKTOREM

WIARA

36 Proca kardynała Zena
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

40 Co wyrośnie z martwego ziarna
ROZMOWA Z IGNACYM DUDKIEWICZEM: *Nie uważam, by istniała jedna właściwa forma myślenia o chrześcijaństwie. Ale ja jestem chrześcijaninem lewicowym*

43 Lepiej nie żartuj z imama
MARCELINA SZUMER-BRYSZ *o edukacji religijnej w Turcji*

ŚWIAT

46 Królowa, która była bliska
PATRYCJA BUKALSKA

50 Ona wstrząśnie Italią
MARIA JÓZEFOWICZ Z WŁOCH *o Giorgii Meloni, która zapewne zostanie szefową rządu w Rzymie*

DANIEL DMITRIEW / FORUM

TEMAT TYGODNIKA

12 Rachunek za ogrzewanie Polski
MAREK RABIJ
Problemów z węglem, które tej zimy czekają półtora miliona domów, rząd mógł uniknąć. Teraz katastrofa grozi też naszej polityce klimatycznej.

FELIETONY

29 DOROTA MASŁOWSKA **45** ZUZANNA RADZIK
65 TOMASZ STAWISZYŃSKI
76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: DAWID OGRODNIK
FOTOGRAFIA: LESZEK ZYCH / POLITYKA
ZDJĘCIE ELŻBIETY II: IAN JONES / BE&W

Redaktor prowadzący: MACIEJ MÜLLER

54 „Borowik" idzie na wojnę
WOJCIECH PIĘCIAK Z UKRAINY: *Ukraińskim przedsiębiorcom z klasy średniej zagrażają wojenna destabilizacja i rosnące koszty. Tymczasem w dużej mierze to od nich zależy kondycja gospodarki*

56 Stracone złudzenia
MAGDALENA BARTCZAK *o tym, dlaczego Chilijczycy odrzucili projekt nowej konstytucji*

HISTORIA

58 Popolskie ziemie
VITALIJA STRAVINSKIENĖ, LITEWSKA HISTORYCZKA: *Po roku 1945 na skutek wysiedleń Polaków z Wileńszczyzny rozpadła się miejscowa wspólnota. Wraz z polską inteligencją zniknęła część wspólnego dziedzictwa tych ziem*

NAUKA

62 Starunia
MARTA PANAS-GOWORSKA, WALERY OMIELCZENKO

KULTURA

66 Życiopisanie
ROZMOWA Z FILIPEM ZAWADĄ, PISARZEM

70 Trzy billboardy za Caprarola, Viterbo
DOROTA KOZIŃSKA: *Rozwiązły kompozytor, procesja z relikwiami świętej w pięciotonowej wieży i świetna muzyka w papieskiej fortecy na planie pięciokąta. Takie festiwale to ja rozumiem!*

74 Dom podzielony
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Vortex" Gaspara Noégo*

ZMYSŁY

78 Bocianie wakacje
ADAM ROBIŃSKI: *On nie odlatuje, on wraca do siebie. Wygląda na to, że do roboty*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Odeszła Królowa
Kobieta, królowa, symbol. Elżbieta II rządziła Wielką Brytanią od 70 lat. O jej panowaniu i historii – czytaj **W SERWISIE SPECJALNYM „TYGODNIKA"** | **powszech.net/krolowa**

Własne filmy, własne Oscary
Rosyjska kultura idzie w swoją stronę. Od filmów ważniejsze są propagandowe przemówienia – o festiwalu filmowym w Moskwie pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** | **tygodnikpowszechny.pl/rosyjska ruletka**

Serwisy specjalne: patrz szerzej
GOSPODARKA TRZESZCZY
Wojna, waluty i inflacja: co nas czeka?
WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/GOSPODARKA

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

SIŁA SYMBOLU

Po śmierci Elżbiety II brytyjska monarchia nie spadnie do roli, jaką odgrywają niemal niezauważalne królestwa Szwecji czy Niderlandów. Nie znaczy to jednak, że podczas panowania Karola III nic się nie zmieni.

MARCIN ŻYŁA

Aż 101 lat dzieliło moment narodzin Winstona Churchilla od dnia, w którym przyszła na świat obecna premier Wielkiej Brytanii Liz Truss. Taką epokę spajała symbolicznie królowa Elżbieta II – dla wielu nie tylko ostatnia łączniczka z czasami, gdy o losach świata decydowali Truman i Stalin, ale też gwarantka ciągłości naszego usytuowania w dziejach. Żałoba po monarchini – podobnie jak wspomnienie zakończonej właśnie „drugiej ery elżbietańskiej", w Wielkiej Brytanii czasu wygranej II wojny światowej z Niemcami, pożegnania z koloniami, Beatlesów, brexitu i otwarcia na wielokulturowość – potrwa długo po zaplanowanym na 19 września pogrzebie.

Ale panowanie Karola III – choć zapewne będzie znacznie krótsze – może nas jeszcze zaskoczyć. Niechętni mu komentatorzy ironizują, że jedynym sposobem, aby mógł się wyróżnić, będzie zarządzenie, by na monetach pokazywano go z innego profilu niż Elżbietę. Nowemu królowi nie sprzyja też ugruntowany przez popularny serial „The Crown" wizerunek człowieka małostkowego i złośliwego. Nie ma to jednak większego znaczenia: paradoks Karola, jak opisuje to Sean Coughlan, królewski korespondent BBC, polega

Książę Karol i królowa Elżbieta II na balkonie Pałacu Buckingham podczas obchodów platynowego jubileuszu Elżbiety II. Londyn, 2 czerwca 2022 r.

na tym, że czasem przypomina on właściciela ziemskiego, który zszedł z XVIII-wiecznego obrazu, a czasem jednak – niecierpliwego reformatora, poirytowanego tym, że niektóre grupy i społeczności pozostają w tyle. 8 września musiał wybrać tę drugą rolę – zapowiadał to już zresztą od lat.

Tak jak 25-letnia z chwilą objęcia tronu Elżbieta nie była „tylko dzieckiem" (czemu, według jego biografów, miał dyskretnie dać wyraz Churchill), tak 73-letni Karol nie jest „tylko seniorem". Ma olbrzymie doświadczenie publiczne i, co pokazał w 2021 r. podczas szczytu klimatycznego w Glasgow, posłuch wśród światowych przywódców. The Prince's Trust, mało znana poza Wyspami fundacja, którą założył jeszcze w latach 70. XX w., z powodzeniem pomaga dzieciom z uboższych rodzin (i nie dzieje się to wcale za publiczne pieniądze). Ze swoim zainteresowaniem ochroną środowiska i akceptacją społecznej różnorodności Karol III może się okazać monarchą na te czasy. Wszystko to, oczywiście, będzie się odbywać w ciasnej skali, którą reguły brytyjskiego życia politycznego pozostawiają monarchii. Król nie ma większego wpływu na politykę. Może mieć jednak, co mistrzowsko udowadniała Elżbieta II, olbrzymi wpływ na społeczeństwo.

Za sprawą swojej popkulturowej *soft power* brytyjska monarchia nie spadnie do roli, jaką odgrywają niemal niezauważalne królestwa Szwecji czy Niderlandów – dla turystów pamiątkami z Londynu pozostaną zdjęcia spod pałacu Buckingham czy kubki z wizerunkiem monarchy. Także w brytyjskim życiu politycznym jest raczej mało prawdopodobne, aby doszło np. do postulowanego kiedyś przez Borisa Johnsona poszerzania roli premiera – to monarcha będzie wciąż gwarantem nieformalnego systemu *checks and balances*, który Brytyjczykom zastępuje konstytucję.

Najpoważniejszą konsekwencją śmierci królowej może być natomiast przyspieszenie procesów stopniowej dezintegracji Zjednoczonego Królestwa. Już wkrótce Australia może odrzucić brytyjskiego monarchę jako swoją głowę państwa, a kilka innych krajów – opuścić Wspólnotę Narodów, luźną federację państw, w większości dawnych brytyjskich kolonii. Największą zaś zmianą, której Karol III będzie się mógł jedynie przyglądać, może być, w perspektywie kilku-kilkunastu lat, zjednoczenie Irlandii.

Cokolwiek dobrego by pisać o nowym brytyjskim królu, brakuje mu bowiem tego, co Elżbiecie II przydawało także politycznej mocy sprawczej – siły symbolu. ©℗

O Elżbiecie II piszemy też w dziale Świat.

MAX MUMBY / INDIGO GETTY IMAGES

Cena ukraińskiej kontrofensywy

RADOŚĆ I STRACH: emocje towarzyszące dziś na Ukrainie tym, którzy mają bliskich na froncie wojny z Rosją, tylko pozornie są sprzeczne. Nie widać ich w komunikatach ukraińskiego sztabu ani w analizach amerykańskiego Instytutu Studiów nad Wojną, którego mapy pokazują kolejne etapy ukraińskiej kontrofensywy – wcześniej tej „pełzającej" na kierunku chersońskim, a od początku drugiego tygodnia września tej błyskawicznej w rejonie Charków–Kipjańsk–Izjum.

Imponująco błyskawicznej: w kilka dni siłom ukraińskim udało się tam przełamać rosyjską obronę na szerokości kilkudziesięciu kilometrów, a potem szybko rozszerzyć to przełamanie. Do niedzieli 11 września wyzwoliły obszar prawie 3 tys. km². Z kolei doniesienia z kierunku chersońskiego i krymskiego mówiły o kolejnych ostrzałach rosyjskiego zaplecza, ale zdobycze terytorialne na tym kierunku są wciąż skromne.

Euforii towarzyszy jednak wiele strachu i bólu, bo ofensywa to więcej ofiar. „Idziemy do przodu, pomódlcie się za mnie" – pisze do rodziny żołnierz. Właśnie opuszcza okop nad rzeką Doniec, którego bronił przez ostatnie miesiące. „Módlmy się o błogosławieństwo Boże dla żołnierza Ihora" – to częsta intencja w cerkwiach i kościołach (tylko imię się zmienia).

Nie zawsze wysłuchana. „Nie mam już zięcia" – pisze Andrij. Razem z narzeczonym swojej córki, o ponad połowę młodszym, służyli w tej samej jednostce pod Chersoniem. Czy Marysia miała nadzieję, że ojciec, podoficer z dużym doświadczeniem frontowym, będzie czuwać nad świeżo upieczonym podporucznikiem? Nie sposób ją teraz o to zapytać. Na zdjęciu, które dostałem z frontu w lipcu, 22-letni Dmytro Sarnowski uśmiecha się nieśmiało. W rękach trzyma rzeczy, które dotarły do niego z Polski, przekazane przez ukraińskich wolontariuszy: preparat na kleszcze, diklofenak na ból pleców, tabletki do odkażania wody... Dziś Andrij pisze: „Nie ma już Dmytra".

Kolejne zdjęcie, tym razem spod Izjumu, od ukraińskich wolontariuszy. Na nim czterech młodych (tylko brody ich postarzają), uśmiechniętych chłopaków na tle wozu pancernego (z Niemiec przez Polskę dostali apteczki natowskie, kupione przez wolontariuszy z Akwizgranu). A jakiś czas potem wiadomość: „Wowa poległ". Wowa to ten na dole zdjęcia. A reszta? „Wszyscy trzej ranni".

„Teraz jadę na kierunek chersoński, mają tam masę rannych" – pisze do znajomego w Polsce Ihor, wolontariusz ze Lwowa. Prosi o opatrunki i sprzęt do szpitali polowych, pilnie. Proszą też o to szpitale tzw. pierwszej linii, a nawet te z drugiej linii, do których trafiają ranni na dalsze leczenie. Podobno są zapełnione. Jak bardzo? Tajemnica wojskowa.

Wysoka jest więc cena za te poruszające sceny, które można obejrzeć na nagraniach udostępnianych przez żołnierzy ukraińskich na różnych kanałach, od Telegrama po TikTok. „Sześć miesięcy na was czekaliśmy, modliliśmy się" – kobieta obejmuje żołnierza. „Pączków napiekłyśmy, skosztujcie" – płacze druga. „Już nie odejdziecie?" – upewniają się.

Czy to punkt zwrotny tej wojny? Jak daleko dojdzie uderzenie? Czy Ukraińcy na trwałe przejmują tzw. inicjatywę strategiczną? Jak Rosja zareaguje na to upokorzenie? Na te pytania nie sposób dziś odpowiedzieć. Ale sam fakt, że można je stawiać, jest znaczący.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK z ziemi lwowskiej

Zniszczony rosyjski sprzęt w wyzwolonym mieście Bałaklija, 10 września 2022 r.

JUAN BARRETO / AFP / EAST NEWS

Płaskowyż Glapińskiego

MAREK RABIJ

Inflacja traci impet, gospodarka ma się nieźle. Nad światem prezesa NBP Adama Glapińskiego nigdy nie zachodzi słońce, czego dowiódł kolejny raz podczas konferencji prasowej. „Zapowiada się recesja w wielu krajach, ale nie w Polsce" – uspokajał.

Problem z wystąpieniami szefa NBP nie polega na tym, że Glapiński kłamie, ale na tym, co jego nieżyjący już partyjny kolega Ludwik Dorn zwykł nazywać „oszczędnym gospodarowaniem prawdą". Większość prognoz ekonomicznych faktycznie zakłada, że PKB Polski nie osunie się w tym i w następnym roku pod kreskę. Sam NBP szacuje, że gospodarka w przyszłym roku zwolni tempo rozwoju z tegorocznych 4,7 proc. do 1,4 proc. I właśnie to stanowi dobrą nowinę, z którą jego szef zwrócił się do narodu, jednocześnie wskazując nieudaczników z „wielu krajów", którym nie pójdzie równie dobrze. Wzrost o 1,4 proc. rzeczywiście nie będzie udziałem nazbyt wielu europejskich gospodarek. Strefa euro, jak podał właśnie Europejski Bank Centralny, zwolni z 3,1 proc. do 0,9 proc. – czyli o 2,2 punktu procentowego. Gdyby identycznie zliczyć dynamikę polskiego PKB, okaże się, że rodzima gospodarka wyhamuje jeszcze gwałtowniej, bo aż o 3,3 punktu procentowego. Prezes Glapiński powinien był właśnie tym podzielić się z obywatelami Polski w pierwszej kolejności, bo jeśli jakiś wskaźnik makroekonomiczny będzie im niebawem dawać się we znaki, to właśnie dynamika PKB. Co z tego, że zatrzymamy się wyżej od sąsiadów, skoro spadniemy ze znacznie wyższego konia.

NBP ma stać na straży wartości rodzimej waluty. Wypowiedzi jego szefa mogą być też wskazówką dla wielu obywateli myślących o zaciągnięciu kredytu, zmianie pracy czy powiększeniu rodziny. Adam Glapiński mówi tymczasem, że „nie ma żadnego kryzysu. Mamy tylko, albo aż, wysoką inflację". Na szczęście i ona znajduje się już „na płaskowyżu". Proszę zapamiętać. Gdyby w najbliższej przyszłości coś poszło nie tak z pracą, kredytem, kursem złotego czy domowym budżetem, nie pomylcie tego Państwo z kryzysem. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

WYKOP

Nowym prezesem TVP, w miejsce zdymisjonowanego Jacka Kurskiego, został Mateusz Matyszkowicz. Wśród jego pierwszych decyzji było złożenie wizyty Jarosławowi Kaczyńskiemu i odwołanie koncertu gwiazd disco polo na otwarcie przekopu Mierzei Wiślanej.

PRZEKOP

Trudno się dziwić: „Rzeczpospolita" informuje, że na razie kanałem przez Mierzeję Wiślaną przepłyną tylko przedstawiciele władz, bo statki z towarami ugrzęzłyby na mieliźnie przed Elblągiem.

PIOTR MOLĘCKI / EAST NEWS

MIELIZNA

Na mieliźnie wylądował też kandydat PiS na prezydenta Rudy Śląskiej, wspierany przez Jarosława Kaczyńskiego poseł Marek Wesoły – w drugiej turze zmierzą się dwaj byli wiceprezydenci miasta, Michał Pierończyk i Krzysztof Mejer. Z ostatnich sondaży wynika też, że w wyborach parlamentarnych PiS odniósłby pyrrusowe zwycięstwo i musiałby oddać władzę opozycji.

KANAŁ

„Weszliśmy w obszar, w którym Unia Europejska nie prowadzi żadnego dyskursu prawnego, tylko jednostronną pozaprawną narrację, stawiając sobie za cel zmianę władzy w Polsce, za nic mając wolę polskiego społeczeństwa, demokratycznie wybrane instytucje i polską suwerenność" – powiedziała zarządzająca Trybunałem Konstytucyjnym Julia Przyłębska w wywiadzie dla „Niedzieli".

Grek nas wyręczy

W NAJBLIŻSZYCH DNIACH do Parlamentu Europejskiego trafi projekt rezolucji wzywającej Niemcy do uregulowania kwestii reparacji wojennych wobec Polski. Dokument ma zostać złożony przez przedstawiciela grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, do której należy PiS. Zrobi to w Strasburgu europoseł Kyriakos Welopulos z Greckiego Rozwiązania. Wybór zapewne nie jest przypadkowy – z perspektywy Aten, które same mają niezałatwione rachunki z Berlinem, polskie żądania 6,2 bln zł za straty wojenne nie wydają się abstrakcją.

Równocześnie polski rząd rozpoczął ofensywę na „froncie południowym" i coraz mocniej przyciska Czechy w kwestii uregulowania długu granicznego, jaki Praga ma wobec nas od 1958 r., kiedy w trakcie korekty granic wyliczono, iż ówczesna Czechosłowacja powinna nam przekazać 368 hektarów – do czego nigdy nie doszło. Nasz rząd zamierza wyjaśnić Czechom, że nie ma mowy o rekompensacie finansowej – chcemy ziemi i to szybko.

Zupełnie nie wiadomo, dlaczego to wzmożenie nastąpiło akurat teraz. Biorąc pod uwagę najazd Rosji na Ukrainę, zajmowanie się dziś żądaniami terytorialnymi wobec sąsiadów, w dodatku tak błahymi, wydaje się nie na miejscu. ©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

Zapowiedzi, czyli zero w skali Beauforta

RZĄD CHCE uwolnić budowę elektrowni wiatrowych – tylko że nie tych, co trzeba. Pracuje nad zmianami w prawie budowlanym, dzięki którym przydomową turbinę o wysokości do 12 metrów będzie można postawić wyłącznie na podstawie zgłoszenia. Takich instalacji w całym kraju jest zaledwie... 69.

Mikrowiatrakami w ogródkach zajmuje się ta sama władza, która 6 lat temu uśmierciła energetykę wiatrową w skali całego kraju. Od 2016 r. obowiązuje „zasada 10H" – w promieniu 10-krotnie większym niż wysokość nowej turbiny nie może być zabudowań mieszkalnych, lasów i żadnych form ochrony przyrody. W praktyce farmę wiatrową da się u nas zbudować tylko na morzu. Tu zresztą też od lat słyszymy wyłącznie zapowiedzi.

Straciliśmy miliardy złotych, spalamy dodatkowe miliony ton węgla w elektrowniach i zablokowaliśmy sobie możliwość korzystania z nowoczesnych turbin (bardziej efektywnych niż to, co stoi na polskich polach). Wprawdzie 5 lipca rząd zdecydował o liberalizacji „zasady 10H", ale Sejm od dwóch miesięcy trzyma ją w zamrażarce. Powodów jest wiele: od wewnętrznych podziałów w koalicji, przez lobby węglowe, po obawę o to, że zaniedbane sieci przesyłowe nie wytrzymają dodatkowego prądu z wiatraków. Władza, która potrafi być boleśnie skuteczna i forsować ustawy w kilka godzin, na energetyce wiatrowej ewidentnie poległa.

©℗ KRZYSZTOF STORY

Niebezpieczna aplikacja

PROPOZYCJĘ, żeby w telefonach Polaków obowiązkowo instalowane były dwie aplikacje – Regionalny System Ostrzegania (RSO) i Alarm 112 – wpisano do projektu Ustawy o ochronie ludności oraz stanie klęski żywiołowej. Problem nawet nie w tym, że to głupi pomysł, skazany na klęskę – a ktoś, kto na to wpadł, nie rozumie ani sposobu działania nowoczesnych technologii, ani ich użytkowników. Ważniejsze jest, że takie rozwiązanie byłoby po prostu niebezpieczne.

Nie wiadomo dlaczego MSWiA, które ustawę stworzyło, uznało, że obowiązkowe aplikacje (one już istnieją, ale nie cieszą się zbytnią popularnością) miałyby okazać się lepsze niż dotychczasowe systemy informowania o zagrożeniach, jak np. SMS-y, które nie wymagają instalowania niczego, a mogą być kierowane do wszystkich posiadaczy komórek na zagrożonym obszarze. Raczej nie przemyślało też, czy te aplikacje w ogóle mają szansę się sprawdzić. W przypadku iPhone'ów aplikacji nie może na nich instalować nikt poza nabywcami tych urządzeń, a w telefonach z systemem Android, by aplikacja zaczęła działać, użytkownik musi przyznać jej odpowiednie uprawnienia. Inaczej żadnych alertów nie otrzyma.

I na tym można by zakończyć opisywanie pomysłu, gdyby nie zagrożenie, jakie niesie. Aplikacje – nawet najlepsze i najdroższe – mają luki w zabezpieczeniach, czego dowodzą regularne doniesienia o wyciekach danych. Wątpliwości co do tego, czy aplikacje obowiązkowe dla milionów Polaków będą chronić nasze dane, można mieć nie tylko na podstawie wniosków z wyboistej drogi, jaką przeszła ta o nazwie Stop Covid, ale i z faktu, że pomysłodawca nie przewidział, kto za ten pomysł miałby płacić. A taka aplikacja to dla hakerów nie lada gratka. Nie tylko ze względu na możliwość potencjalnego dostępu do danych milionów ludzi. Wystarczy sobie wyobrazić, co się stanie, gdy z RSO, która z założenia ma budzić zaufanie, ktoś wyśle zmanipulowany alert. Stąd droga do wybuchu paniki byłaby już bardzo krótka.

© AGATA KAŹMIERSKA, WB

JOSEP LAGO / AFP / EAST NEWS

WIELKA MANIFESTACJA na rzecz niepodległości Katalonii przeszła ulicami Barcelony 11 września. Ten dzień to Diada, katalońskie święto narodowe, na pamiątkę upadku miasta w 1714 r. (podczas wojny o sukcesję hiszpańską) i utraty przezeń samodzielności. Policja mówiła o 150 tys. uczestników, a organizator – separatystyczny ruch ANC – o 700 tys. Na zdjęciu: demonstrantka pod flagą katalońską. ©℗ WP

Nie możemy się poddać

ŁUKASZENKA mści się na młodych – tak olbrzymie wyroki dla dziesięciorga białoruskich opozycjonistów skomentował Franciszak Wiaczorka, doradca Swiatłany Cichanouskiej.

6 września w Mińsku zapadły wyroki od 5 do 17 lat więzienia. Wśród skazanych jest Marfa Rabkova (na zdjęciu), 27-letnia działaczka Centrum Praw Człowieka „Wiasna", o której pisaliśmy niedawno w „TP" (nr 32). Dostała 15 lat i to czyni ją kobietą z najwyższym w Białorusi wyrokiem w sprawie politycznej. Młodych ludzi skazano pod zarzutami organizowania zamieszek, a także tworzenia organizacji o charakterze przestępczym i ekstremistycznym. Tak reżim karze za udział w protestach po sfałszowanych wyborach w 2020 r.

WADZIM ŻEROMSKI

– To trudny dzień, ale nie możemy się poddawać – przekazał nam mąż Rabkovej, która w mowie końcowej nie przyznała się do zarzutów. „Ilekroć pomagamy sobie nawzajem, ilekroć o siebie dbamy i jesteśmy solidarni, tym bliżej jesteśmy naszej Białorusi. Niech żyje Białoruś, Sława Ukrainie" – oświadczyła w sądzie.

© BARTOSZ RUMIEŃCZYK

Dziennikarstwo, czyli przestępstwo

ROSYJSKIE WŁADZE dorzynają resztki dziennikarstwa i likwidują ostatnie bastiony wolnych mediów. Dziennikarz „Wiedomosti" i „Kommiersanta" Iwan Safronow (na zdjęciu) został właśnie skazany na 22 lata łagru o zaostrzonym rygorze za „zdradę państwa", a „Nowaja Gazieta" Dmitrija Muratowa otrzymała decyzję sądu o unieważnieniu licencji na wydania papierowe pisma.

VASILY MAXIMOV / / AFP / EAST NEWS

Moskiewski sąd miejski skazał Safronowa za (niedowiedzione w procesie) „dwa epizody zdrady stanu". Dziennikarz od dwóch lat przebywał w areszcie śledczym, nie przyznał się do winy (choć prokuratura obiecała mu za to obniżenie wymiaru kary do 14 lat), nie poszedł na współpracę ze śledczymi. Ogłoszenie wyroku zajęło sędziemu 10 minut – nie przedstawiono sentencji, zasłaniając się tym, że treść i uzasadnienie zaliczono do kategorii tajemnicy państwowej. Oskarżenia o zdradę państwa nie było na czym zawiesić: artykuły, dane, dokumenty, które Safronow miał rzekomo dostarczać czeskiemu i niemieckiemu wywiadowi, są w otwartym dostępie. Safronow pisał np. o kontraktach rosyjskiej zbrojeniówki, m.in. o sprzedaży kilkudziesięciu samolotów Su-35 Egiptowi.

„To po prostu zemsta. Sąd uznał dziennikarstwo za przestępstwo" – napisała „Nowaja Gazieta".

© ANNA ŁABUSZEWSKA

Polowy szpital dla złamanych

JACEK PRUSAK

Z inicjatywy metropolity łódzkiego, abp. Grzegorza Rysia powstało pierwsze w Polsce duszpasterstwo specjalistyczne (Papageno Team) skierowane do osób w kryzysie suicydalnym – tych, którzy mają za sobą próbę samobójczą, a także rodzin osób, które odebrały sobie życie.

Według danych WHO rocznie ponad 800 tys. osób ginie śmiercią samobójczą, a ponad 20 razy więcej podejmuje próby targnięcia się na swoje życie. W Polsce, pomimo wysokiego wskaźnika religijności, problem także występuje. W 2021 r. śmiercią samobójczą zginęło 5201 rodaków: 4413 mężczyzn i 782 kobiety. Przed pandemią wskaźnik samobójstw w Polsce wyniósł 11,7 na 100 tys. mieszkańców i był wyższy od średniej Unii Europejskiej – 10,13 (dane Eurostatu). Samobójstwo jest złożonym zjawiskiem – z wieloma czynnikami ryzyka – dlatego nie ma jednego rozwiązania, które skutecznie zapobiegałoby tej dramatycznej decyzji. Wiadomo jednak, że czynnikami chroniącymi przed samobójstwem są poczucie sensu życia i przynależności społecznej oraz dostęp do opieki zdrowotnej.

Łódzkie duszpasterstwo nie tylko spełnia profesjonalne standardy pomocy opartej na prewencji i postwencji, ale jest wyczulone na społeczne i religijne stereotypy dotyczące samobójstwa i samobójców. To bardzo dużo w kontekście ostracyzmu, jaki dominuje w tej sprawie, także we wspólnocie Kościoła. Pomoc udzielana w tym duszpasterstwie nie wyklucza ani nie potępia, skierowana jest do wierzących i niewierzących, czerpie zasoby z wiedzy i wiary. I jest „polowym szpitalem" dla wszystkich zranionych i/bądź złamanych przez życie. ©

ALBIN HILLERT / MATERIAŁY PRASOWE WCC

CHOĆ ŚWIATOWA RADA KOŚCIOŁÓW na swoim 11. zgromadzeniu w Karlsruhe potępiła napaść Rosji na Ukrainę, nie zdobyła się na krytykę popierającego wojnę Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego, a 5 jego przedstawicieli znalazło się wśród 120 nowo wybranych członków władz Rady. Na zdjęciu ustępująca moderatorka Komitetu Wykonawczego Światowej Rady Kościołów Agnes Abuom modli się podczas sesji końcowej 8 września. ©℗ ASK

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

WSPÓLNOTA

Franciszek przesłał pozdrowienie do powstałej przy episkopalnej katedrze św. Jana w Nowym Jorku ekumenicznej Wspólnoty na Skrzyżowaniu (Community at the Crossing). Młodzi chrześcijanie z różnych Kościołów przez rok podejmują życie monastyczne, służąc jednocześnie potrzebującym.

MIGANIE

„Przyrównuję to do misji, bo żeby pracować na misjach, trzeba poznać nie tylko język, ale i kulturę, obyczaje" – powiedział o pracy wśród osób niesłyszących i o niezbędnej umiejętności migania ks. Tomasz Filinowicz, krajowy duszpasterz tej grupy. Na Jasnej Górze odbyła się 39. Ogólnopolska Pielgrzymka Osób Niesłyszących.

APATEIZM

Na apateizm (termin powstały z połączenia słów „apatia" i „teizm") rozwijający się wśród młodzieży wskazał ks. Michał Wilkosz, rektor Polskiej Misji Katolickiej w Niemczech, podczas V Kongresu Rodzin Polonijnych w Carlsbergu. Zdaniem mówcy obojętność wobec religii jest dużo większym wyzwaniem niż ateizm.

GŁOSOWANIE

Sejm Łotwy na wniosek prezydenta przegłosował poprawkę do ustawy o Łotewskim Kościele Prawosławnym (ŁKP), która wyklucza jakikolwiek wpływ lub władzę Patriarchatu Moskiewskiego nad tym Kościołem – który dotychczas temu wpływowi podlegał.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

Droga Synodalna reformuje Kościół

WEZWANIE PAPIEŻA do ponownego przemyślenia nauczania na temat homoseksualizmu i wykluczenia kobiet z kapłaństwa, bardziej otwarta polityka zatrudniania osób w Kościele oraz utworzenie stałej rady synodalnej – to efekty czwartego (przedostatniego) zgromadzenia ogólnego niemieckiej Drogi Synodalnej, czyli forum dyskusji o reformie Kościoła w tym kraju. Obradowało ono we Frankfurcie nad Menem w dniach 8-10 września i mało brakowało, by zakończyło się już pierwszego dnia.

Postulowana rada synodalna, w skład której weszłyby osoby świeckie, nie byłaby organem jedynie doradczym – decydowałaby m.in. o planach duszpasterskich i kwestiach budżetowych Kościoła w Niemczech. Byłaby więc praktyczną realizacją postulatu większej synodalności w Kościele, tym samym zmieniając hierarchiczny ustrój Kościoła. A przed tym niedawno przestrzegał watykański Sekretariat Stanu, stwierdzając, że niemiecka inicjatywa „nie jest kompetentna, by zobowiązać biskupów i wiernych do przyjęcia nowych form rządzenia oraz nowych kierunków doktryny i moralności". Wygląda na to, że Droga Synodalna, której przedstawiciele zastrzegają, iż głównym adresatem postulowanych zmian jest papież i trwający ogólnokościelny synod biskupów na temat synodalności, jest przy okazji realizacją polityki „faktów dokonanych". Niemcy ewidentnie chcą być poligonem kościelnych reform.

Choć nie wszyscy: pierwszego dnia obrad niespodziewanie ujawniła się silna opozycja antyreformatorska. Dokument, postulujący nowe podejście do etyki seksualnej, który wzywał m.in. do akceptacji antykoncepcji, aktów homoseksualnych i masturbacji oraz do zezwolenia na błogosławienie związków osób tej samej płci, przepadł w głosowaniu, nie uzyskując 2/3 głosów wśród biskupów. Prawdopodobnie zadziałało oświadczenie watykańskie. Rozczarowani pytali, dlaczego opozycja nie ujawniła się podczas dyskusji. Odpowiadano, że na dyskusję przeznaczono zbyt mało czasu, a niektórzy hierarchowie bali się ostrej publicznej krytyki. Kryzys zażegnano, przeznaczając więcej czasu na dyskusję i zarządzając jawność głosowań.

©℗ ARTUR SPORNIAK

KULTURA W SKRÓCIE

PIĘKNO I CHLEB

W sobotni wieczór odbyła się ceremonia wręczenia nagród Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Wenecji. Złotego Lwa dla najlepszego filmu w konkursie głównym zdobyła Laura Poitras za dokument „Całe to piękno i krew". W sekcji Horyzonty Specjalną Nagrodę Jury odebrał Damian Kocur za film „Chleb i sól".

„DZIADY" I „ODLOTY"

Znani są już także tegoroczni laureaci wyróżnień miesięcznika „Teatr". Nagrodę im. Konrada Swinarskiego dla najlepszej reżyserki otrzymała Anna Augustynowicz za pracę nad „Odlotem" na podstawie sztuki Zenona Fajfera. Za najlepszego aktora uznano Łukasza Lewandowskiego, a za najlepszą aktorkę – Dominikę Bednarczyk, którą doceniono za rolę Konrada w „Dziadach" Mai Kleczewskiej. Nasza rozmowa z aktorką na stronie powszech.net/bednarczyk.

POŻEGNANIE AMORALISTY

Zmarł wielokrotnie nagradzany, wymieniany wśród kandydatów do literackiego Nobla hiszpański pisarz Javier Marías. „On jest kimś na kształt moralisty – a może raczej amoralisty" – pisał o nim na naszych łamach tłumacz Tomasz Pindel. „Rozważania, którym oddają się bohaterowie jego powieści, są naszymi codziennymi dylematami". Tekst w otwartym dostępie: powszech.net/marias.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

SARAH STIER / GETTY IMAGES

IGA ŚWIĄTEK wygrała w Nowym Jorku turniej US Open. Liczby jak zwykle robią wrażenie: to trzeci wielkoszlemowy tytuł w karierze i 57. wygrany mecz w tym roku. Wrażenie robiły też gesty: gdy rywalka, Tunezyjka Ons Jabeur (pierwsza Arabka z takimi sukcesami w tenisie) podczas pucharowej dekoracji z sympatią poprawiała kołnierzyk bluzy polskiej tenisistki. I słowa: „Cieszę się i jestem dumna z tego, że tenis jest coraz popularniejszy w moim domu" – mówiła Świątek. Sportowych radości, których bardzo potrzebujemy, było więcej: w ten sam weekend nasi siatkarze zostali wicemistrzami świata, a reprezentacje niesłyszących w koszykówce zdobyły na MŚ złoto (kobiety) i brąz (mężczyźni). ©℗ EB

Aminokwas wielki dla ludzkości

MÓZGI NEANDERTALCZYKÓW nie mogły zachować się do naszych czasów. W poznawaniu ich budowy i działania badacze posiłkują się informacjami genetycznymi.

U współczesnych ludzi w budowie tzw. kory nowej pośredniczy aminokwas nazywany argininą – nieobecny u Neandertalczyków i małp. Anneline Pinson i współpracownicy donoszą w „Science", że wprowadzenie argininy do organizmów myszy i fretek doprowadziło do znacznego wzrostu liczby neuronów. Kiedy z kolei w miniaturowym ludzkim mózgu hodowanym w laboratorium argininę zastąpiono lizyną – czyli odpowiednikiem tego aminokwasu występującym u Neandertalczyków – to zaobserwowano spadek liczby powstających neuronów.

Co ciekawe, oba te aminokwasy różnią się tylko jedną „literą" sekwencji genetycznej. Korzystniejsza mutacja genu, występująca u *Homo sapiens*, ma znaczenie zwłaszcza w rozwoju płodowym, podczas kształtowania się płatów czołowych, odpowiadających za wiele wyższych funkcji poznawczych. Badacze spekulują, że dzięki szybciej rozwijającym się mózgom uczenie się nowych umiejętności mogło przychodzić naszym przodkom z natury nieco łatwiej niż innym, wymarłym już gatunkom człowieka – co być może przyczyniło się do naszego sukcesu.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

Jak udomowiliśmy osły

NIE SĄ TAK SILNE ani szybkie jak konie, ale łatwiej je hodować – i to na nich przez wieki opierały się cywilizacje. Osły były pierwszymi udomowionymi zwierzętami, które zrewolucjonizowały życie ludzi – można je było wykorzystywać jako środek transportu. Ludovic Orlando z Uniwersytetu Paula Sabatiera w Tuluzie, który przez lata badał historię naturalną koni (korzenie wszystkich współczesnych ras sięgają ok. 4-5 tys. lat wstecz i podkaukaskich stepów), teraz zwrócił się w stronę osłów, o których wiedzieliśmy znacznie mniej.

Zespół Orlanda zbadał geny ponad dwustu współczesnych i starożytnych osłów, co pozwoliło na przeanalizowanie pokrewieństwa pomiędzy nimi i wskazało, że do udomowienia doszło ok. 7 tys. lat temu we wschodniej Afryce, pomiędzy Kenią a Półwyspem Somalijskim. Krótko potem osły stały się podstawą handlu i zapewne bardzo pożądanym towarem – najpierw dotarły do Sudanu i Egiptu, a po kolejnych 2,5 tysiącleciach można je już było spotkać w całej Eurazji. Przez wieki populacje odizolowały się i zaczęły w nich narastać różnice genetyczne. Skorzystali z nich Rzymianie – mieszając afrykańskie i europejskie populacje osłów, stworzyli rasę gigantów, osiągających 155 cm wzrostu – 25 cm wyższych niż wcześniejsze odmiany. ©℗ ŁK / SCIENCE

TEMAT TYGODNIKA

RACHUNEK ZA OGRZEWANIE POLSKI

Problemów z węglem, które tej zimy czekają półtora miliona domów, rząd mógł uniknąć. Teraz katastrofa grozi też naszej polityce klimatycznej.

MAREK RABIJ

Należy do najczęściej występujących pierwiastków, co zakrawa na ironię, zważywszy na to, że w części wszechświata zwanej Rzeczpospolitą Polską od pewnego czasu jest właściwie niedostępny. Węgiel kamienny. Jeszcze rok temu – paliwo, od którego pragnęliśmy odejść możliwie najszybciej. Tymczasem w nadchodzącym sezonie grzewczym to on będzie w centrum uwagi polityków oraz – niestety – setek tysięcy rodzin, dla których właśnie materializuje się czarny scenariusz energetyczny. Powód? Wszystko wskazuje na to, że polski rząd nie zdoła już dostarczyć przed zimą węgla w ilości, która zaspokoiłaby potrzeby wszystkich odbiorców w kraju.

Grubo pod kreską

Jak wylicza Bartłomiej Derski z branżowego serwisu „Wysokie Napięcie", polskie kopalnie wydobędą w tym roku ok. 43 mln ton węgla energetycznego – czyli takiego, który nadaje się do ogrzewania i nie wytwarza przy tym dużej ilości zanieczyszczeń. Biorąc pod uwagę obciążenie polskich portów, do końca roku jesteśmy w stanie zaimportować maksymalnie 12 mln ton, co zresztą może się okazać niewykonalne, wziąwszy pod uwagę apetyt na węgiel, jakiego nabiera światowa gospodarka odcięta od znacznej części dostaw rosyjskiego gazu. Polska może zatem liczyć w tym roku najwyżej na 55 mln ton surowca nadającego się do spalania w piecach grzewczych. Zapotrzebowanie, nawet przy umiarkowanie mroźnej zimie, przekroczy tymczasem 59 mln ton. W systemie energetycznym kraju zabraknie więc co najmniej 4 mln ton węgla. Jeśli trafią się dłuższe bezwietrzne okresy z temperaturą mocno poniżej zera, kiedy w ślad za zwiększonym poborem energii nie pójdzie duża produkcja z turbin wiatrowych – deficyt wzrośnie do ponad 5 mln ton.

Polska może oczywiście próbować ograniczyć zużycie. Samo zmniejszenie produkcji energii elektrycznej przeznaczonej na eksport pozwoli w skali roku zaoszczędzić około 5 mln ton. Niestety, niewiele zmieni to w położeniu ok. 1,5 mln gospodarstw domowych korzystających z indywidualnego ogrzewa-

nia węglowego, gdyż surowiec wykorzystywany przez elektrociepłownie w większości nie nadaje się do zastosowania w przydomowych piecach. W zależności od temperatur odbiorcy indywidualni co roku zużywają od 9 do nawet 11 mln ton węgla energetycznego, z czego około 50 proc. pokrywał dotychczas import z Rosji (spora część węgla z polskich kopalń zawiera zbyt wiele siarki i substancji smolistych). Miejsce po rosyjskich dostawach ma teraz zająć surowiec z Australii lub Indonezji, ale po tygodniach morskiego transportu jego część dociera do Polski w stanie zbyt rozdrobionym, aby można nim było palić w przydomowych piecach. Oznacza to jedno. Odbiorcom indywidualnym zabraknąć może w tegorocznym sezonie grzewczym nawet 2 mln ton węgla o odpowiednich parametrach energetycznych.

996 zł za tonę

Czas nagli, bo do początku sezonu grzewczego zostało kilka tygodni. Tymczasem premier Morawiecki i jego ludzie nadal obstają przy swojej wersji, zgodnie z którą węgla nie brakuje i nie zabraknie, a kolejne informacje o pustych składach, po których wiatr pędzi jedynie resztki czarnego pyłu, uznają za antyrządową propagandę. W rzeczywistości węgla brakuje w niemal całej Polsce. Jak przystało na surowiec, który pomiędzy jesienią ubiegłego roku a początkiem wojny w Ukrainie podrożał o 300 proc. (i wciąż trzyma cenę), stał się on gorącym towarem spekulacyjnym.

Prace nad ustawą, która zapewniłaby odbiorcom indywidualnym dostęp do węgla poniżej tysiąca złotych za tonę – czyli *de facto* w zeszłorocznej cenie – rozpoczęły się jeszcze w czerwcu, kiedy media zaczęły informować o problemach z dostępnością surowca. Jednocześnie rząd ogłosił, że spółki skarbu państwa na jego polecenie rozpoczną interwencyjny import 4,5 mln ton węgla. Zdaniem części ekspertów z branży energetycznej właśnie wtedy kryzys węglowy wszedł w Polsce w ostrą fazę. Powód? Odbiorcy indywidualni przestali zamawiać opał na zimę w oczekiwaniu na ten w cenie zagwarantowanej przez państwo. ↦

LECH MAZURCZYK

nakazał Ministerstwu Aktywów Państwowych zawarcie z PKP Cargo umowy sfinansowania odszkodowań dla kontrahentów przewoźnika, którzy na polecenie rządu nie zostaną obsłużeni.

„Zrywanie kontraktów na transport innych towarów będzie ostatecznością" – zastrzegał w wywiadzie dla Infor.pl prezes PKP Cargo Dariusz Seliga, ale pytany choćby o maszynistów dla dodatkowych składów czy o przepustowość linii kolejowych, którymi obecnie idą z Pomorza także dostawy pomocy zagranicznej dla Ukrainy, potrafił jedynie podzielić się nadzieją, że „wszystko uda się przewieźć zgodnie z zapisanymi kontraktami".

Efekt? W sklepie internetowym Polskiej Grupy Górniczej węgiel z rządowego programu osłonowego kupiło do tej pory zaledwie 171 tys. klientów, którzy łącznie zamówili... 803 tys. ton. Zainteresowanie jest oczywiście wielokrotnie większe, podczas jednej sesji sprzedażowej (sklep działa dwa razy w tygodniu od godziny szesnastej) towar do wirtualnego koszyka próbuje wrzucić nawet po 100 tysięcy osób. Udaje się nielicznym. Węgiel znika bowiem błyskawicznie.

A można było tego uniknąć.

↦ Prywatni importerzy przestali więc ściągać węgiel zza granicy w obawie, że zostaną z hałdami niekonkurencyjnego towaru na składach. Ustawa weszła w życie 28 lipca, gwarantując klientom indywidualnym cenę na poziomie 996 zł za każdą z pięciu przydziałowych ton, podczas gdy stawki rynkowe przekraczały w tym czasie 3 tys. zł za tonę. Efekt był łatwy do przewidzenia – rządowy węgiel błyskawicznie stał się obiektem spekulacji. Cenę gwarantowaną równie szybko zastąpiono więc dodatkiem węglowym w wysokości 3 tys. zł. Od tej pory wszystko teoretycznie powinno iść zgodnie z planami rządu. Problem w tym, że obiecane 4,5 mln ton węgla wciąż istniały głównie w dokumentach.

Kolejowe gardło

Rząd pozostał głuchy nawet na argumenty logistyków, którzy udowadniali, że szybkie zastąpienie węgla z Rosji surowcem z Indonezji czy Australii będzie praktycznie niewykonalne – a z pewnością spowoduje chaos, jeśli dostawy skumulują się na jesieni. O ile dla portów w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie-Świnoujściu, które w zeszłym roku przeładowały 113 mln ton ładunku, obsłużenie dodatkowych milionów ton może być jeszcze możliwe – choć będzie się wiązało z gigantycznym wysiłkiem, bo sypkie ładunki wymagają większych nakładów pracy niż kontenery – o tyle dla kolei rozwiezienie tego towaru po kraju okaże się niemal na pewno zadaniem ponad siły. PKP Cargo dysponuje dziś ok. 24 tys. wagonów do przewozu węgla, z których każdy mieści ok. 58 ton, ale wedle nieoficjalnych informacji sprawnych jest obecnie najwyżej 15 tys. To zaś oznacza, że do przewiezienia całego węgla z importu spółka musiałaby niemal czternastokrotnie zaangażować całą flotę sprawnych węglarek, nie realizując w tym czasie innych przewozów sypkich frakcji, chociażby dostaw węgla brunatnego dla ciepłowni.

Kolejowe gardło może być w rzeczywistości jeszcze węższe. Pod koniec lipca rząd zobowiązał PKP Cargo do przygotowania się do transportu 4,5 mln ton węgla, które do końca roku mają sprowadzić do Polski państwowe spółki Węglokoks i PGE Paliwa. W związku z tym premier

W awangardzie

Pod koniec marca, podczas konferencji prasowej zorganizowanej na stacji benzynowej w Mościskach, premier Mateusz Morawiecki zapowiedział – jak sam to określił – „najbardziej radykalny plan w Europie odejścia od rosyjskich węglowodorów". W odniesieniu do gazu oznaczało to *de facto* przepakowanie podjętej już decyzji w patriotyczne pozłotko, bo zaprzestanie zakupów tego surowca w Rosji dawno zaplanowano na koniec 2022 r. Rezygnacja z ropy – ze względu na możliwość dywersyfikacji dostaw – nie stanowiła również problemu, choć to Rosja pozostaje jej największym dostawcą dla Polski.

Inaczej rzecz miała się z węglem kamiennym. Rosyjski surowiec, tani i do tego nisko zasiarczony, idealnie wypełniał lukę ofertową polskiego górnictwa dla odbiorców indywidualnych.

– Tymczasem zakaz importu wszedł w życie na początku kwietnia bez okresu przejściowego – mówi Janusz Steinhoff, były minister gospodarki. – Dziwi mnie to tym bardziej, że w tym samym czasie uchwalono piąty pakiet unijnych sankcji, który obejmował również embargo na

rosyjski węgiel, ale dawał do 10 sierpnia czas na przygotowanie się do tego kroku, także poprzez zgromadzenie niezbędnych zapasów. W Unii nie ma drugiej gospodarki w równym stopniu jak Polska uzależnionej od węgla. Chciałbym więc poznać powody, które stały za takim pośpiechem ekipy Morawieckiego, bo w argumenty o presji finansowej na Rosję nie wierzę. Sami pozbawiliśmy się szansy na zgromadzenie zapasów i odpowiedzialność za nadchodzące załamanie na rynku węgla obciąża w pierwszej kolejności polski rząd – podkreśla Steinhoff.

Z danych Agencji Rozwoju Przemysłu wynika, że Warszawa w ubiegłym roku kupiła od Moskwy około 6 mln ton węgla, co stanowiło najwyżej 2 proc. rosyjskiego eksportu tego surowca. Prywatne rosyjskie kopalnie zainkasowały z tego tytułu około 500 mln dolarów, z czego mniej niż 100 mln trafiło do budżetu centralnego w formie podatków – i rzeczywiście, mogło posłużyć do finansowania agresji na Ukrainę. Pośpiech, z jakim odcięliśmy się od moskiewskiego węgla, był jednak głównie gestem na potrzeby wewnątrzunijnych rozgrywek, bo w przeciwieństwie do gazu i ropy, węgiel nie stanowi w rosyjskiej dyplomacji surowcowej ważnego narzędzia nacisku. Nawet po ogłoszeniu unijnego embarga rosyjskie kopalnie bez przeszkód dostarczały surowiec na Zachód, wykorzystując każdy dzień okresu przejściowego.

Jeśli za tą rządową kalkulacją stały plany zwiększenia krajowego wydobycia, to zakreślono je nazbyt optymistycznie. Według danych Ministerstwa Aktywów Państwowych stan zapasów węgla kamiennego na koniec lipca wynosił 1,18 mln ton. Rok wcześniej było to 4,92 mln ton. Polskie kopalnie w okresie styczeń-lipiec wydobyły 32,6 mln ton węgla, czyli o ponad 300 tys. ton mniej niż w pierwszych siedmiu miesiącach zeszłego roku. Prezes Polskiej Grupy Górniczej Tomasz Rogala już w kwietniu studził rządowy entuzjazm, szacując, że krajowym kopalniom do końca roku uda się wyfedrować najwyżej 1,5 mln ton więcej – z czego tylko 300 tys. ton stanowić będą grube węgle o odpowiednich parametrach chemicznych, których zgodnie z przepisami można używać do ogrzewania domów. Biorąc pod uwagę malejące z miesiąca na miesiąc wydobycie polskich kopalń (w lipcu spadło ono w porównaniu z marcem aż o 1,2 mln ton), nawet zapowiedzi z kwietnia wydają się dziś zagrożone. Węglowe mocarstwo, jakim rzekomo ma być wciąż Polska, nie jest w stanie pokryć z własnej produkcji nawet krajowego zapotrzebowania.

54,7 mln

Tyle ton węgla kamiennego wydobyły kopalnie w Polsce w 2021 r. Zapotrzebowanie wyniosło 58,3 MLN TON.

6 mln

Tyle ton węgla kamiennego sprowadziliśmy w ub. roku z Rosji. Był to głównie surowiec o niskim zasiarczeniu, uwalniający podczas spalania relatywnie niewiele zanieczyszczeń i m.in. dlatego nadający się do spalania w indywidualnych instalacjach grzewczych. Węgiel z polskich kopalń w większości nie spełnia tych kryteriów jakościowych.

1,5 mln

gospodarstw domowych w Polsce nadal opala je wyłącznie węglem. W nadchodzącym sezonie grzewczym może dla nich zabraknąć nawet 2 MLN TON tego surowca.

DANIEL DMITRIEW / FORUM

Na dwieście lat

Na naszych oczach pryska więc również mit „węglowego dobrobytu", w którym za PRL wychowywano kolejne pokolenia, i który po dziś dzień destrukcyjnie oddziałuje na polską politykę energetyczną, hamując przechodzenie na czystsze źródła. W najnowszym sprawozdaniu Państwowej Służby Geologicznej krajowe zasoby węgla kamiennego oszacowano na blisko 64,9 mld ton, z czego aż 70 proc. stanowiły węgle energetyczne. Skoro więc rocznie Polska spala 59 mln ton, to teoretycznie mamy zapewnioną energetyczną niezależność na kolejne tysiąc lat. W rzeczywistości ta poduszeczka jest znacznie cieńsza. Autorzy opublikowanego przed dwoma laty „Bilansu perspektywicznych zasobów kopalin w Polsce" jako zdatne do eksploatacji kwalifikują jedynie złoża zawierające 43,9 mld ton, z czego zaledwie 40 proc. stanowią dziś pokłady przebadane w stopniu umożliwiającym wstępne oszacowanie kosztu eksploatacji. Wnioski z tego geologicznego remanentu są nie do pogodzenia choćby z optymizmem prezydenta Andrzeja Dudy, który podczas forum gospodarczego w Katowicach w 2018 r. wypowiedział słynne słowa, że Polsce nie zabraknie węgla przez najbliższe dwieście lat. W rzeczywistości co trzecia tona tego surowca spoczywająca w znanych polskich pokładach leży zbyt głęboko lub w złożu zbyt cienkim, by nadawał się do wydobycia.

Opłacalność wydobycia zależy oczywiście od ceny, jaką rynek płaci za węgiel, ale w rachunku ekonomicznym – jak podkreśla Janusz Steinhoff – uwzględnić trzeba również wpływ na środowisko oraz bezpieczeństwo górników, które znacząco spada wraz ze wzrostem głębokości wydobycia.

– Poza tym przygotowanie złóż to proces czasochłonny i kosztowny – dodaje Steinhoff. – Nawet w działającej kopalni przygotowanie tylko jednej ściany do wydobycia wymaga kilku miesięcy prac i wydatku na poziomie 200 mln zł. Uruchomienie nowych czy choćby wznowienie wydobycia tych wygaszonych zajęłoby lata, a do tej pory ceny węgla ↦

↦ mogą wrócić do poziomu sprzed agresji na Ukrainę, bo spodziewam się, że huśtawka cenowa na rynkach uspokoi się w perspektywie dwóch-trzech lat. Musielibyśmy wtedy z publicznych pieniędzy ponownie restrukturyzować już zrestrukturyzowaną branżę.

Zmęczeni węglem

Wątpliwe, by opinia publiczna zaakceptowała takie marnotrawstwo. Jeśli bowiem wierzyć wynikom badania „Postawy ekologiczne Polek i Polaków" przeprowadzonego wiosną przez pracownię Satisface na zlecenie firmy Blue Media, aż 75 proc. z nas opowiada się za odejściem od węgla w energetyce – i jest nawet gotowych opłacić tę zmianę wyższymi rachunkami za prąd. Różnimy się jedynie w ocenie tempa, w jakim powinna zachodzić dekarbonizacja Polski. Za jak najszybszym porzuceniem węgla jest dziś co czwarty ankietowany; rok temu chciał tego aż co trzeci. Większość – bo aż 46 proc. badanych – uważa, że kalendarz tej zmiany nie może być podporządkowany wyłącznie aspektowi klimatycznemu. Pożegnanie z węglem powinno więc zachodzić w tempie minimalizującym szoki cenowe i cywilizacyjne. Dla 22 proc. Polaków optymalna pod tym względem wydaje się wciąż odległa cezura roku 2049, zapisana w rządowych dokumentach.

W najnowszej edycji tego badania, w porównaniu do pierwszej sprzed dwóch lat, z 9 do aż 13 proc. wzrósł jednak odsetek ankietowanych, którzy są zdania, że dekarbonizacja stanowi dla kraju wyłącznie pułapkę cywilizacyjną. Słowem – już kilka tygodni po wybuchu wojny w Ukrainie w polskich nastrojach społecznych dało się zaobserwować lekką antyekologiczną frondę.

Jakie wyniki przyniósłby ten sam sondaż, gdyby przeprowadzić go teraz, gdy materializuje się ryzyko zimy bez ciepłych kaloryferów, za to z szalejącymi cenami prądu i gazu? W ankiecie Kantar Media, przeprowadzonej pod koniec sierpnia na zlecenie stacji TVN24, aż 62 proc. badanych dostrzegało takie zagrożenie. Autorzy badania nie pytali o nic więcej, możliwe jednak, że koresponduje ono z wynikami analiz przeprowadzonych miesiąc wcześniej na zamówienie „Rzeczpospolitej". Przyniosły one zaskakujące rezultaty: większość badanych doszła bowiem do wniosku, że surowcowy horror, jaki zafundowała Europie Rosja, stanowi najlepszy argument za jak najszybszym przestawieniem polskiej energetyki na źródła odnawialne i uwolnieniem się raz na zawsze od ryzyka tego typu szantażu.

Wywołany przez Moskwę kryzys energetyczny, o ile nie przybierze katastrofalnych rozmiarów, może faktycznie stać się katalizatorem polskiej transformacji energetycznej. Równie dobrze może jednak na lata uwikłać ją w doraźne polityczne kompromisy i społeczne koncesje. Nie ulega wątpliwości, że im cięższa będzie najbliższa zima i im większe problemy z energią, tym głośniejsza stanie się frakcja klimatycznych denialistów. Właśnie zameldował się w ich szeregach sam prezes NBP Adam Glapiński, nazywając groźbę katastrofy klimatycznej „pomysłami", które zagrażają kondycji gospodarki. „Dlaczego Unia Europejska na okres kryzysu energetycznego i agresywnej polityki rosyjskiej nie odpuści realizacji projektu Fit for 55, opłat za CO_2, tego nikt nie jest w stanie zrozumieć. (...) Należałoby to natychmiast odpuścić na kilka lat, obniżyć ceny energii, przetrwać ten okres, a potem można wrócić do tych planów, jeśli Europejczycy tego chcą" – perorował prezes, jednocześnie ironizując na temat kondycji intelektualnej obywateli, którzy obawiają się, że na zimę zabraknie im węgla.

Zaskakująca w tym wystąpieniu była raczej forma niż treść. Kryzys energetyczny, obok powiązanej z nim inflacji, stanowi wszak największe polityczne wyzwanie dla obozu Zjednoczonej Prawicy. Sądząc zaś po wcześniejszych decyzjach PiS, które częściej torpedowały polską transformację klimatyczną, niż ją przyspieszały, spodziewać się można jednak, że rząd będzie szukać raczej usprawiedliwienia dla własnej nieudolności. Z propozycją zawieszenia systemu uprawnień do emisji CO_2 politycy PiS wystąpili na arenie międzynarodowej już w pierwszych dniach wojny w Ukrainie. Teraz podobny manewr zastosowali na rodzimym podwórku, zawieszając na dwa lata normy emisji paliw stałych, przez co ponownie wpuszczono na rynek najbrudniejsze produkty opałowe w rodzaju mułu węglowego. Rządzący przedstawiają tę decyzję tak, jakby nie mieli innego wyjścia, choć mogli nie tylko zawczasu zadbać o większą dostępność węgla wysokiej jakości. Przez siedem lat rządów można było również zmniejszyć krajowe zapo-

Czym palić – czyli węgiel węglowi nierówny

MINISTER KLIMATU Anna Moskwa uspokaja, że Polacy, jako odpowiedzialne społeczeństwo, nie zaczną wrzucać do pieców byle czego nawet po liberalizacji przepisów antysmogowych. W zamieszaniu, jakie powstało na polskim rynku energetycznym, nawet praworządni obywatele mogą jednak mieć problem z rozróżnieniem surowca, który nadaje się do domowych instalacji grzewczych, od tego, którego lepiej unikać. Węgiel kamienny dzieli się na kilkanaście typów, które różnią się właściwościami energetycznymi oraz kulturą spalania. Zdrowy rozsądek podpowiada, że najlepszym surowcem grzewczym będzie ten, który przy spalaniu uwalnia najwięcej energii, ale to pułapka, w którą łatwo wpaść, kierując się wyłącznie rachunkiem ekonomicznym. Im bowiem wyższa wartość opałowa węgla, tym również większe problemy z jego użyciem w domowych warunkach. Do domowego pieca najlepiej wybierać **TYP 31** i **32**, czyli węgle wytwarzające przy spalaniu jednego kilograma od 22 do 28 megadżuli (MJ). Oba płoną jasnym płomieniem i nie emitują dużej ilości substancji smolistych. Do niektórych domowych pieców będzie nadawać się także węgiel **TYPU 33** (28-31 MJ na kg), który płonie ciemnopomarańczowymi, kopcącymi płomieniami, wytwarzając przy tym sporo zanieczyszczeń. Może też spiec się w jedną wielką bryłę, co utrudni opróżnienie kotła. W domowych urządzeniach **NIE WOLNO** używać węgli koksujących typu 34 i 35, które wprawdzie wytwarzają dużo energii, ale podczas spalania emitują mnóstwo toksycznych substancji i zamienią się w lawę. Mogą zepsuć instalację.

©℗ MR

trzebowanie na ten rodzaj opału, wspierając rozwój odnawialnych źródeł energii czy termomodernizację budynków.

Procent politycznie składany

Fakt, że wkład węgla kamiennego w polski miks energetyczny nadal stanowi niemal 50 proc. – a wraz z brunatnym przekracza 70 proc. – to oczywiście wątpliwa zasługa nieformalnej ponadpartyjnej koalicji, która przez blisko 30 ostatnich lat konsekwentnie spychała polską transformację energetyczną z politycznej agendy. Z tych trzech dekad jedna to już niemal wyłącznie rządy PiS, który nie ma prawa twierdzić, że zmaga się jedynie z rezultatami zaniedbań poprzedników. Zapaść na rynku węgla kamiennego obciąża rząd Morawieckiego, który do nadchodzącej zimy przygotował polską energetykę najgorzej jak mógł.

Polityczne konto premiera i jego ludzi obciąży też odpowiedzialność za tegoroczny sezon smogowy, który – wszystko na to wskazuje – pobije w wielu miejscowościach rekordy zanieczyszczenia powietrza. Niedawne słowa Jarosława Kaczyńskiego, który grzmiał, że „Polska musi być ogrzana", były przecież niezawoalowaną sugestią, by wobec trudności z dostępem do dobrego paliwa ogrzewać się czymkolwiek (z wyjątkiem opon). Zastrzeżenie, że chodzi mu o większą elastyczność, ale w ramach przepisów, niewiele zmieni: w kraj popłynął sygnał dla policji i urzędów, by w tym sezonie odpuszczać trucicielom. Nie da się więc wykluczyć scenariusza, że w obliczu problemów z węglem kamiennym zdesperowani właściciele domów zaczną ogrzewać je nawet węglem brunatnym. Zabójczym dla płuc, zwłaszcza gdy pali się nim w nieprzystosowanych do tego instalacjach, do tego mniej energetycznym, ale trzykrotnie tańszym od kamiennego. W czeskich składach węgla przy granicy dosłownie z dnia na dzień przybywa klientów z Polski zainteresowanych zakupem węgla brunatnego. Handlowcy relacjonują, że nabywców niepokoi najczęściej to, czy piec wytrzyma zmianę paliwa. Wzmianka o mandacie wywołuje jedynie wzruszenie ramion. Podobnie jak pytania o czystość powietrza. W internecie pojawia się coraz więcej ofert sprzedaży torfu z Białorusi czy „ekogroszku gumowego", czyli pociętych starych opon. A jeśli jest podaż, to znaczy, że musi być też popyt.

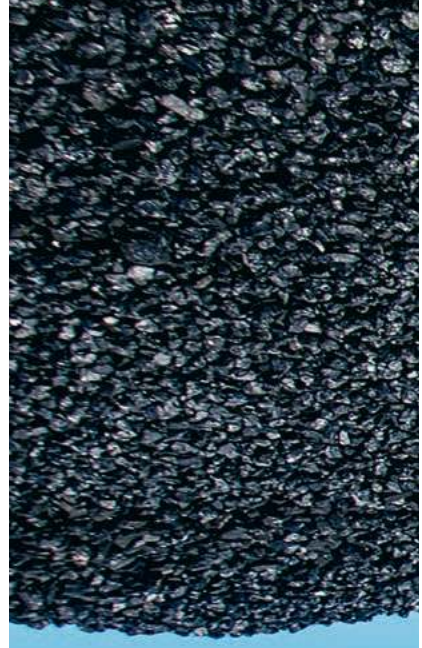

Zapaść na rynku węgla kamiennego obciąża rząd Morawieckiego. Obciąży go też odpowiedzialność za tegoroczny sezon smogowy. Pożałujemy tego wszyscy.

Polska faktycznie musi być ogrzana. W nadchodzącym sezonie grzewczym odbędzie się to niestety kosztem zdrowia tysięcy ludzi skazanych na wdychanie toksyn z kominów. Zbliżającą się zimę możemy jednak potraktować jak bolesny wypadek przy pracy. Ale jeśli stanie się pretekstem do twardego resetu polityki klimatycznej na najbliższe lata, pożałujemy tego wszyscy. Kryzysy ekonomiczne wygasają same po kilku latach. Katastrofy klimatycznej od pewnego etapu nie da się już zatrzymać.

©℗ MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Pożyczanie

Powszechnie wiadomo, że lepiej dać potrzebującemu wędkę niż rybę. Jeżeli zawczasu udzielimy osobie w trudnej sytuacji finansowej wsparcia w postaci pożyczki, zwiększamy szansę na to, by dźwignęła się, miast popaść w większe tarapaty. Mojżesz w Księdze Powtórzonego Prawa poucza nas: „Gdyby zaś był u ciebie ubogi, którykolwiek z braci twoich, w jedném z miast twoich, na ziemi twojej, którą Wiekuisty, Bóg twój, oddaje tobie – nie zatwardzaj serca swojego, ani zawieraj ręki twojej przed bratem twoim ubogim, ale otwierać otwieraj mu rękę twoję, i pożyczać pożyczaj mu, w miarę potrzeby jego, czegoby mu niedostawało" (Pwt 15, 7-8; Cylkow).

Otrzymanie pożyczki nie wiąże się z takim wstydem, jaki staje się udziałem osób nagle zmuszonych do korzystania z dobroczynności. Komentator kodeksu prawa żydowskiego zauważa, że jeśli ktoś wyciąga do nas rękę po datek, zapewne przywykł już do chodzenia po prośbie i nie zawaha się zwrócić do kogoś innego, natomiast dla proszącego nas o pożyczkę prawdopodobnie nie jest to rutynowe zachowanie, zatem w przypadku jednoczesnych próśb od takich dwóch osób winniśmy dać pierwszeństwo pożyczkobiorcy.

„Jeżeli pieniędzy pożyczysz któremukolwiek z ludu Mojego, biednemu przy tobie; nie postępuj z nim jako lichwiarz; nie nakładajcie nań lichwy" (Wj 22, 24), innymi słowy: Pismo zakazuje pożyczać innym Żydom na procent. Zgodnie z tradycją pierwsze słowo w tym wersie, hebrajskie *im* – zwykle tłumaczone jako „jeśli" – należy oddać jako „kiedy". Bezprocentowa pożyczka nie jest więc uzależniona od naszej dobrej woli, lecz stanowi biblijny nakaz i dlatego stworzenie kasy udzielającej takich pożyczek powinno być normą w każdej społeczności. Niezależnie od tej kasy, szalejącej inflacji (w sierpniu 16 procent!) i rosnących stóp procentowych – jeśli mamy środki, zobowiązani jesteśmy pożyczyć.

Nie zapominajmy, że i nam może się noga powinąć i możemy potrzebować pożyczki. Wówczas musimy pamiętać, że nie wolno nam przeznaczyć powierzonego nam kapitału na ryzykowne inwestycje – chyba że uzgodniliśmy to z pożyczkodawcą. Psalmista łączy sposób obchodzenia się z pieniędzmi z kategoriami etycznymi: „Pożycza niegodziwy a nie płaci, a sprawiedliwy miłosierny jest i daje" (Ps 37, 21). Nie chcemy łatki niegodziwca, więc gdy nadchodzi termin spłaty długu, a my nie mamy gotówki, kodeks prawa nakazuje nam spieniężyć to, co posiadamy – w razie potrzeby nawet zwój Tory, byleby wywiązać się ze zobowiązania. Nie dysponując niczym wartościowym, musimy rzucić się w wir pracy. Jeśli mamy z czego oddać, winniśmy bezzwłocznie to zrobić: „Nie mów bliźniemu twemu: Idź, a wróć znowu, a dam ci jutro! gdy to już masz przy sobie" (Prz 3, 28). To dobra uniwersalna zasada. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Media głosem Boga

W trzecią niedzielę września w Polsce obchodzimy Światowy Dzień Środków Społecznego Przekazu pod hasłem „Słuchanie uchem serca". W tegorocznym orędziu papieża Franciszka czytamy: „Słuchanie jest pierwszym nieodzownym składnikiem dialogu i dobrej komunikacji. (...) Również w Kościele istnieje wielka potrzeba słuchania i wsłuchiwania się". Następnie Franciszek cytuje Dietricha Bonhoeffera: „Powinniśmy słuchać poprzez ucho Boga, jeśli chcemy móc przemówić poprzez Jego Słowo", i dodaje: „Kto nie umie słuchać swojego brata, wkrótce nie będzie już zdolny słuchać także Boga. (...) słuchać ludzi, jest pierwszym aktem miłości". Chrześcijanin musi „słuchać", tzn. korzystać z mediów, jeśli chce prowadzić życie zgodne z Ewangelią, gdyż one umożliwiają mu zobaczenie i usłyszenie Chrystusa, żyjącego i działającego nie spoza świata, lecz z jego wnętrza. Jeśli więc Kościół jest Jego sakramentem, to z tego wynika, że cały świat, ta gmatwanina dobra i zła, też na swój sposób jest Jego sakramentem. Ale jak to wygląda w praktyce?

Nie tylko dzieci, starsi również skarżą się i uważają za grzech, że zapominają odmawiać pacierz rano i wieczorem. Tymczasem, zwłaszcza wieczorem, podczas oglądania wiadomości, mamy doskonałą okazję właśnie do modlitwy. Patrząc w ekran telewizora czy komputera, nie tylko słyszymy, lecz widzimy z jednej strony mnóstwo dobrych rzeczy, ale i ogrom nieszczęść na tysięczne sposoby przytłaczających miliony. Żeby daleko nie szukać – wojna w Ukrainie, zatruta Odra, drożyzna, dwóch nożowników morduje dziesięć osób, a matka kilkutygodniowe dziecko itd. Patrzymy i co dalej? Mamy dwa wyjścia. Paść na kolana, złożyć dłonie, przekrzywić główkę i przymilnie dziękować i chwalić Boga za szczęśliwie przeżyty dzień, tylko że wtedy zza ekranu możemy, powinniśmy usłyszeć niby echo bezduszną modlitwę pobożnego i podobnego nam człowieka z Ewangelii Łukasza: „Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie". Może też się zdarzyć, a nawet powinno, że zobaczymy dwóch pobożnych duchownych, szerokim łukiem omijających śmiertelnie rannego współwyznawcę. Drugie rozwiązanie podpowiada celnik z przypowieści o nim i faryzeusz w świątyni, Samarytanin z drogi do Jeruzalem i prorok Amos.

„Słuchajcie tego wy, którzy depczecie ubogiego i niszczycie biednych ziemi, którzy mówicie: »Kiedy minie nów księżyca, byśmy mogli sprzedawać zboże? Kiedy minie szabat, byśmy mogli sprzedawać pszenicę, zmniejszając efę i powiększać sykla, fałszując wagę. Będziemy kupować biednego za srebro, a ubogiego za parę sandałów i sprzedawać plewy pszeniczne«. Przysiągł Pan na chwałę Jakuba: »Nigdy nie zapomnę żadnego z ich uczynków«". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Kim jest apostoł

Wszyscy Synoptycy opisują ten moment: wybór Dwunastu (zob. Mk 3, 13-19; Mt 10, 1-4; Łk 6, 12-16). Ale tylko św. Łukasz odnotowuje następujący fakt: „nazwał ich apostołami" (w. 13). Można by zapewne przetłumaczyć: „nadał im imię apostołów" (mamy tam grecki czasownik *onomazo*, od *ónoma* – „imię").

Imię w świecie biblijnym oznacza czyjąś wewnętrzną prawdę, wręcz tożsamość; definiuje czyjąś misję – mówi o tym, kim jest dana osoba i do czego została wezwana przez Pana. Imię „apostoł" jest bardzo precyzyjne. Trochę o tym zapomnieliśmy i używamy tego słowa nierzadko jako pojęcia-syntezy, zbierającego wiele funkcji. Ale Nowy Testament wyraźnie odróżnia pojęcie „apostołów" i „apostolstwa" od innych misji w Kościele. Może najlepiej oddaje to tekst św. Pawła w Liście do Efezjan: „On [Chrystus] ustanowił jednych apostołami, innych natomiast prorokami, innych prawdziwie ewangelistami, innych za to pasterzami i nauczycielami" (Ef 4, 11). Nam się dzisiaj najczęściej wszystkie te pojęcia zlewają, więc myślimy o „apostołach" właśnie jako o np. „nauczycielach" albo „pasterzach". A tymczasem „apostoł" znaczy tyle, co „posłany", „wysłannik", „reprezentant", „ambasador".

Oto jak mamy na imię (wszyscy, którzy odczytujemy w sobie wezwanie do „apostolstwa" – a przecież jest ono powołaniem powszechnym w Kościele) – „wysłany". Nie „Grzegorz", „Wojciech", „Marek", „Halina"... ale „wysłany/a".

Jeśli tylko spróbuję się przedstawić przy pomocy tego imienia („posłany") – usłyszę natychmiast pytanie: przez kogo? To imię natychmiast odsyła poza siebie. Ten, kto jest „posłany", nie reprezentuje już siebie, jego poglądy i przekonania nie są już aż tak ważne – ważne są słowa, poglądy, zamiary, działania Tego, którego reprezentuje.

Odnalezienie się w tym imieniu: „apostoł" – jeśli ma się stać prawdą naszej osoby, a nie tylko tytułem do obnoszenia się – musi zaowocować w naszym życiu przynajmniej dwiema konsekwencjami.

Po pierwsze, wzywa nas do pokory – do takiej formy reprezentacji, która nie zasłania sobą Tego, który nas posłał. Tak jak wypowiedział to pięknie św. Jan Chrzciciel: „Trzeba, aby On wzrastał, a ja abym się umniejszał" (J 3, 30).

Po drugie, ważne jest pamiętać, że jesteśmy wysłannikami Osoby – reprezentujemy (w jakiejś mierze: czynimy obecną) Osobę, nie „doktrynę", „naukę", „teorię", „ideologię", „światopogląd". Prowadzimy do Jezusa – nie do „katechizmu"; do Jezusa – nie do prawa i przepisów; do Jezusa – nie do biura parafialnego. Nigdy nie dość tego powtarzać. Bo ciągle tego nie potrafimy; ciągle Jezusa gubimy; przysłaniamy – jeśli nawet nie sobą, to milionem mniej lub bardziej ważnych rzeczy. A ewangelizacja/przekaz wiary wydarza się dopiero wtedy, kiedy uda się nam poprowadzić jakąś osobę do spotkania z Osobą. ©

Ciągła modlitwa szybko leczy duszę.

Z APOFTEGMATÓW OJCÓW PUSTYNI

Nikt zdrowy na umyśle nie lęka się bogów. Szaleństwem jest bowiem bać się tego, co zbawienne, nikt też nie kocha tych, których się lęka.

SENEKA

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (18 – 25 IX)

25. niedziela zwykła: Am 8, 4-7; Ps 113; 1 Tm 2, 1-8; Łk 16, 1-13;
Poniedziałek: Prz 3, 27-35; Ps 15; Łk 8, 16-18;
Wtorek: Prz 21, 1-6. 10-13; Ps 119; Łk 8, 19-21;
Środa: Ef 4, 1-7. 11-13; Ps 19; Mt 9, 9-13;
Czwartek: Koh 1, 2-11; Ps 90; Łk 9, 7-9;
Piątek: Koh 3, 1-11; Ps 144; Łk 9, 18-22;
Sobota: Koh 11, 9 – 12, 8; Ps 90; Łk 9, 43b-45;
26. niedziela zwykła: Am 6, 1a. 4-7; Ps 146; 1 Tm 6, 11-16; Łk 16, 91-31.

KTO PIERWSZY NA ŚLIZGAWCE

Praca poniżej kwalifikacji, codzienność pełna nudy, rosnąca frustracja. Tysiące ukraińskich uchodźców popada w Polsce w marazm, czasem w cwaniactwo. Wielu też, po cichu, wróciło już do Ukrainy.

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

WOJTEK JARGIŁO / PAP

Olga Naboka ma 35 lat i mieszka w kontenerze w Białobrzegach na Lubelszczyźnie. Na 35 metrach kwadratowych mieści się łazienka, łóżko piętrowe dla dzieci oraz wersalka, na której śpi z mężem; z boku stoją pudła na ubrania. Rozmawiamy na zewnątrz, bo słońce nagrzewa blachę i trudno wytrzymać w baraku. Olga przyjechała z obwodu charkowskiego, pokazuje w telefonie zdjęcia i filmy. Na jednym z nich cała rodzina siedzi w piwnicy. Ubrani w kurtki, czapki, okryci kocami, wsłuchują się w hałas samolotów lecących na Charków. Na drewnianych półkach drżą słoje z papryką, ogórkami i kompoty z moreli. Kiedy pewnego dnia bomby spadają na pobliską szkołę, a pod gruzami klubu muzycznego, gdzie urządzono polową kuchnię, giną znajomi Olgi, postanawiają uciekać.

– Cieszę się, że wyjechałam z całą rodziną, wiele kobiet przyjechało tylko z dziećmi i nie dały tu rady, musiały wrócić. Mamy szczęście, mąż dostał pracę jako kierowca, tylko mieszkanie trudno wynająć – żali się Olga.

W Ukrainie Olga nie pracowała; mąż prowadził firmę samochodową. Po ataku Rosji powinien pójść do wojska, ale przepuszczono go przez granicę, bo pięcioletni Daniła, ich młodszy syn, urodził się z porażeniem mózgowym. Nie mówi, trzeba go karmić. Może się sam poruszać, ale chodzi na palcach. Żeby mógł równo stawiać stopy, potrzebuje ortezy. W Polsce trafił do ośrodka dla dzieci niepełnosprawnych, który założyła w Zamościu lekarka Maria Król.

– W pierwszych tygodniach wojny prawie nie spałam – wspomina Król. – Nikogo nie chciałam zostawić bez pomocy. Wiem, czym jest niepełnosprawność i jakich trudów wymaga podróż. Przez nasz ośrodek przewinęło się kilkaset osób, a na stałe zostało dziesięć rodzin.

Chwile rozczarowania

W połowie marca lekarka wpadła na pomysł stworzenia kampusu dla rodzin z dziećmi niepełnosprawnymi. Ludzie młodzi i zdrowi po przekroczeniu granicy nie mieli problemu ze znalezieniem pracy i mieszkania, ale chorych i starszych nie przyjmowano już tak chętnie. Polacy obawiali się wynajmować im mieszkania, gdyż bali się, że nie będą płacić. Tymczasem wprowadzone podczas pandemii przepisy bardzo utrudniają eksmisje zalegających z czynszem lokatorów.

Maria Król zwróciła się o pomoc do rządu Tajwanu, z którym współpracowała przy innych projektach. Przyznano jej 600 tys. złotych i tak powstało dziesięć kontenerów w dwóch letnich ośrodkach na Roztoczu, prowadzonych przez Stowarzyszenie Pomocy Dzieciom Niepełnosprawnym „Krok za krokiem". Dla wielu rodzin kontenery stały się szansą na przetrwanie letnich miesięcy, bo choć z zewnątrz przypominają baraki budowlane, to uchodźcy nie płacą za prąd i wodę, korzystają z pomocy humanitarnej, dostają darmowe pudełka z jedzeniem i środki czystości. Mimo że darów jest mniej, Maria Król skutecznie wspiera rodziny, które trafiły pod jej opiekę, ale i ona przeżyła chwile rozczarowania.

– Osoba niepełnosprawna stała się w Ukrainie przepustką za granicę. Kiedy więc zabroniono wyjeżdżać mężczy-

Łańcuch solidarności w Dniu Niepodległości Ukrainy. Plac Litewski, Lublin, 24 sierpnia 2022 r.

znom, wielu postanowiło przedostać się do Polski w charakterze opiekuna. Nie chcieli jednak zajmować się chorymi, podrzucali nam niepełnosprawnych do ośrodka lub zostawiali ich na granicy – przyznaje lekarka. – Jedna z matek, wykorzystując syna na wózku, przeprowadziła przez kordon trzech mężczyzn, targała dziecko w tę i z powrotem.

Tego rodzaju informacje pogarszają stosunek Polaków do Ukraińców. I to radykalnie, jak wynika z badań pracowni IBRiS. Jej prezes, Marcin Duma, mówił pod koniec lipca „Tygodnikowi": „To nie znaczy, że Ukraińcy mają wyjechać z Polski, ale uważamy, że dość już wypłat z programu 500 plus, mają zabrać się do roboty i usamodzielnić. (...) Wielu z nas zaczęło uważać, że uchodźcy nas doją, sami nic z siebie nie dając, i ograniczają nam pole rozwoju. Powtarzającym się motywem jest zauważenie, jak dobrymi autami jeździ część z nich. To bardzo ludzi kłuje. Miały być same stare łady i fordy, a tu widać nawet mercedesy i lexusy. Uważamy, że Ukraińcy powinni być dużo biedniejsi od nas, w końcu wielu z nich przyjeżdżało wcześniej do Polski się dorobić i brali prace, których my nie chcieliśmy. Zrodziła się w nas zawiść i zazdrość".

Ale Maria Król się nie zniechęciła. Jeśli kogoś nie mogła przyjąć, szukała miejsc w DPS-ach i innych ośrodkach na terenie kraju. W kampusie, który stworzyła, uchodźcy mogą jednak zostać tylko do jesieni. Nie ma pieniędzy, by ogrzewać kontenery, trzeba więc pilnie poszukać mieszkań dla ukraińskich rodzin, najlepiej w okolicach Zamościa, bo ośrodek Stowarzyszenia „Krok za krokiem" zapewnia niepełnosprawnym dzieciom naukę i terapię.

Poniżej kwalifikacji

W Krasnobrodzie, miejscowości letniskowej na Roztoczu, w domkach i pensjonatach zatrzymało się wielu uchodźców z Ukrainy. Choć początkowo właściciele deklarowali, że gotowi są gościć wschodnich sąsiadów do końca czerwca, bo później zaczyna się sezon turystyczny, wiele matek z dziećmi pozostało tu na okres wakacji. Kobiety pracują dorywczo przy ↦

↦ sprzątaniu pokoi, lepieniu pierogów, w barach, ale nie dla wszystkich starczyło zajęcia. Zresztą turystów jest mniej, takie głosy słychać i w sklepach, i przy kramach z pamiątkami. Winą za brak koniunktury niektórzy obarczają uchodźców. – Rozsiedli się na pokojach i wypłoszyli kuracjuszy – dowiaduję się przy budce z lodami nad zalewem.

Anna ma 40 lat, mieszka w Krasnobrodzie z trójką dzieci, z wykształcenia jest psychologiem. Wojna zmieniła w jej życiu wszystko. Straciła w Ukrainie dom, pracę, którą lubiła, a trzy tygodnie temu przyszła wiadomość o śmierci męża. Kiedy powiedziała o tym dzieciom, rozległ się płacz i krzyk na całą ulicę. Najmłodszy syn wciąż pyta: dlaczego śmierć nie przychodzi po ludzi po kolei? I jak to jest, że jego 90-letni dziadek cieszy się dobrym zdrowiem, a tata nie żyje...

Anna chciałaby wrócić i pomodlić się przy jego grobie, ale dzieci nie mają paszportów. Boi się, że jak wyjadą, to już nie będą mogli wrócić do Polski. Anna jest więc na rozdrożu. 500 plus i pieniądze zarobione przy sprzątaniu wystarczają na życie w domku letniskowym, ale co będzie zimą? Chciała przeprowadzić się do Warszawy, umówiła się nawet wstępnie na wynajęcie mieszkania. Miało być trzy tysiące plus opłaty, ale po kilku dniach właściciel zmienił zdanie i podniósł cenę do czterech tysięcy.

– W podobnej sytuacji jest wiele kobiet – uważa Anna Maciukiewicz, wolontariuszka z Krasnobrodu. – Pracują poniżej swoich kwalifikacji, chciałyby zapewnić dzieciom lepszą przyszłość, ale trudno im funkcjonować w obcym kraju. Dużo kobiet wróciło do Ukrainy, nie mogły odnaleźć się w polskiej rzeczywistości. Piszą do mnie mieszkanki Buczy i Borodzianki, że przyzwyczaiły się do wojny. Że lepszy własny dom niż życie na obczyźnie.

Utknąć w bezradności

Anna Maciukiewicz pomaga od początku wojny. W pierwszych tygodniach jeździła na granicę, zbierała dary, potem skupiła się na dostarczaniu jedzenia potrzebującym. Współpracuje z Katolickim Stowarzyszeniem Młodzieży, Fundacją dla Kultury i World Central Kitchen. Dzięki temu pomoc dla uchodźców trafia do 29 punktów w regionie. Pudełka ze śniadaniem, obiadem oraz suchy prowiant wolontariusze zawożą do ośrodków i domów prywatnych m.in. w Krasnobrodzie,

ELIŻA LESZCZYŃSKA-PIENIAK X2

Anastazja Bożko z Charkowa

Józefowie, Zwierzyńcu, Szczebrzeszynie, Zamościu.

– Za paliwo płacimy sami, więc łączne koszty transportu dochodzą do ośmiu tysięcy złotych miesięcznie, ale nie to jest najbardziej obciążające – podkreśla Anna Maciukiewicz. – Trudniejsze jest to, że muszę być codziennie na posterunku i jeśli chcę na parę dni wyjechać, szukam zastępstwa. Muszę być też gotowa do przyjęcia cudzego bólu i cierpienia, bo wiem, że uchodźcy nie mają komu opowiedzieć swoich historii. Nieraz już zostałam oszukana i wykorzystana, ale takie doświadczenie jest wpisane w pomaganie. Jeśli decydujesz się otworzyć na drugiego człowieka, musisz liczyć się z tym, że ludzie są różni, a zło jest elementem świata.

Halina jest właścicielką pensjonatu w Krasnobrodzie. Ma duży dom pod lasem, a z letników żyli już jej rodzice. Ona sama od dziecka pomagała mamie w kuchni i sprzątała pokoje, a brat pracował z ojcem przy remontach. Kiedy Halina przejęła rodzinny interes, zrobiła plac zabaw, altankę z miejscem na ognisko, urządziła w pokojach łazienki. Ale gdy wybuchła wojna, postanowiła zacząć przyjmować uchodźców. Przez jej dom przewinęło się do dziś ponad 40 osób. Halina podkreśla, że na początku pomagała zapominając o własnych potrzebach, potem nauczyła się stawiać granice i wymagać.

– Kobiety z Ukrainy zajęły pokoje gościnne i utknęły w bezradności. Uważały, że to ja powinnam zaopiekować się nimi i ich dziećmi. Nie sprzątały, nie gotowały. Postanowiłam im jasno powiedzieć, że muszą się wziąć w garść, że mam też swoje życie. Mogę im pomagać, ale nie chcę ich już wyręczać – mówi.

Halina zaprzyjaźniła się z dwiema Ukrainkami, które postanowiły zawalczyć o siebie. Pomogła im wynająć mieszkanie i znaleźć pracę w Biłgoraju. Jednak duża część kobiet, które gościła, wróciła do kraju. Nie znały języka, nie miały jak dojechać do pracy w większym mieście, nie miały z kim zostawić dzieci. Z dnia na dzień gasły, bo kończyły im się pieniądze, a to, co przysyłali im mężowie, nie starczało na codzienne potrzeby.

– Raz poczułam się wykorzystana i to było przykre doświadczenie – podkreśla Halina. – Mieszkały u mnie dwie panie z dziećmi. Na początku w ramach tzw. 40 plus, a potem za darmo. Korzystały z pomocy humanitarnej, dostawały świadczenia, a we Lwowie wynajmowały za pieniądze swoje mieszkania wewnętrznym uchodźcom z Donbasu. Kiedy się o tym dowiedziałam, kazałam im się wyprowadzić.

Polakom puszczają nerwy

Awantura wybuchła na placu zabaw w Lublinie, a chodziło o to, kto ma pierwszeństwo na ślizgawce – czy Alosza, który stał pierwszy, czy polski chłopiec czekający za nim. Swietłana usłyszała, że Ukraińców wszędzie pełno, że to przez nich drożyzna w sklepach, że powinni zająć się pracą, zamiast przesiadywać w parkach i galeriach handlowych. Swietłana chciała powiedzieć, że przecież ona pracuje legalnie, zarabia najniższą krajową i płaci podatki, ale zabrakło jej słów. Alosza zjechał jako drugi. Był ciepły dzień lipca, 135. dzień wojny – Swietłana pomyślała, że Polakom zaczynają puszczać nerwy.

– Z wykształcenia jestem biologiem, pracowałam w Sumach [jedno z pierwszych miast szturmowanych przez Rosjan – red.] jako laborantka. W Polsce zaczęłam od obierania warzyw w restauracji. To była praca na czarno, obiecali 15 złotych za godzinę, ale pod koniec tygodnia wypłacili 12 za godzinę. Właścicielka powiedziała, że za wolno obieram cebulę.

Dzięki internetowemu formularzowi przygotowanemu dla Ukraińców przez Urząd Miasta w Lublinie Swietłana trafiła do fabryki cukierków. Wraz z dwiema innymi koleżankami z Ukrainy wynajęły trzypokojowe mieszkanie – czynsz i rachunki dzielą między siebie. Wszystkie pracują na zmiany, grafik układają tak, by zawsze jedna z nich była w domu i mogła zajmować się pięciorgiem dzieci. Dają radę.

– Dzieci są wspólne – śmieje się Swieta. – Czują się po dwóch miesiącach takiego

życia jak rodzeństwo. Ma to oczywiście wady, bo między sobą mówią po ukraińsku i słabiej uczą się polskiego. Jest jeszcze jeden problem. Starsze dzieci potrafią się sobą zająć, ale co zrobić podczas wakacji z czterolatkiem i dwójką pięciolatków?

Według lipcowego raportu Centrum Analiz i Badań Unii Metropolii Polskich najwięcej uchodźców z Ukrainy przebywało w Polsce w kwietniu – 3,85 mln, w maju ich liczba spadła do 3,37 mln i stanowili wtedy 8 proc. ludności naszego państwa (dziś jest ich jeszcze mniej). Uciekinierzy zza wschodniej granicy najchętniej wybierali większe ośrodki, gdyż tam łatwiej o pracę – według danych Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej (oficjalnie) podjęło ją 420 tys. uchodźców.

W efekcie w maju 37 proc. mieszkańców Rzeszowa stanowili Ukraińcy, dużą popularnością cieszył się też Wrocław – 28 proc. i Gdańsk – 24 proc. W Lublinie, gdzie Ukraińcy stanowią 13 proc. mieszkańców (to ok. 66 tys.), od początku wojny działa Społeczny Komitet Pomocy Ukrainie, który współpracuje z władzami i wspiera uchodźców w poszukiwaniu pracy. Oferuje im też porady psychologa i logopedy w rodzimym języku.

– Ofert pracy jest sporo, ale ogromna większość dla mężczyzn – podkreśla Wiktoria Herun z Wydziału Strategii i Przedsiębiorczości Urzędu Miasta w Lublinie. – Tymczasem u nas są prawie same kobiety. Kiedy więc pojawia się jakaś propozycja w branży kosmetycznej czy usługowej, szybko znika. Dbamy o to, żeby uchodźcy byli zatrudnieni legalnie, ale trudno nam pomagać w znalezieniu przedszkola dla dzieci czy w wynajęciu mieszkania. A ceny najmu w Lublinie poszybowały, bo to miasto studentów.

Z jedną torbą

Gdy wybuchła wojna, Rafał Mazurek, właściciel warsztatu samochodowego w Zamościu, odłożył na bok wszystkie zainteresowania i jeździł na granicę po uchodźców. Na początku nie myślał, że otworzy przed nimi drzwi domu, który zostawili mu rodzice. Kiedyś prowadzili w nim hotel robotniczy, ale budynek stał wiele lat nieużywany i wymagał remontu.

– To był impuls, zobaczyłem dzieci zasikane, głodne, z gorączką, kobiety z tobołkami. Nie mogłem ich tak zostawić. Dwadzieścia cztery polskie dziewczyny, moje znajome, nauczycielki, przedszkolanki i dyrektorki, poświęciły całą niedzielę, żeby dom wysprzątać – wspomina.

Olga Naboka z synem Pawłem

Pod koniec lutego w 11 pokojach znalazły schronienie 44 osoby. Dzięki pomocy humanitarnej dom wyposażono w pościel, lodówki, środki chemiczne i żywność. Na piętrze jest wspólna kuchnia i łazienka, kobiety sprzątają te pomieszczenia według rozpiski, każda gotuje dla siebie i własnych dzieci.

– Nie ma tu luksusów, ale pomyślałem, że u mnie będzie im przynajmniej ciepło i nie będą musiały tułać się po świecie. Początek był trudny, przywiozłem dzieci z covidem, gorączka dochodziła im do 40 stopni, karetka kursowała non stop, aż trzeba było zrobić w budynku izolatkę. Potem, jak się wszystko uspokoiło, zrobiłem dzieciom plac zabaw i teraz wolny czas spędzają na podwórku – podkreśla Mazurek.

Mężczyzna zadeklarował, że uchodźczynie mogą u niego zostać do końca września. Potem nie będzie w stanie ogrzać budynku, bo już teraz rachunki za prąd i wodę (5600 zł i 3000 zł) są dla niego poważnym wyzwaniem. Ukrainki wertują więc ogłoszenia w sieci i szukają mieszkań przez znajomych, ale nie jest łatwo – brakuje ofert w rozsądnych cenach.

Anastazja Bożko liczy na to, że jesienią będzie łatwiej coś wynająć, bo jej rodacy z zachodniej Ukrainy wracają powoli do domów, na które nie spadają bomby. Ona sama nie ma do czego wracać. Ma 27 lat, przyjechała z trzyletnią Ewą. W Charkowie zostawiła męża, który przed wojną prowadził sklep sportowy. Mieszkali w bloku na Sałtiwce, w północnej części miasta. Bomby spadły tam już pierwszego dnia inwazji. Anastazja trafiła do Rafała Mazurka 9 marca, dzięki niemu znalazła pracę w hotelu i jako pomoc kuchenna zarabia 13 złotych na godzinę. W Ukrainie była co prawda kierowniczką sklepu w galerii handlowej, ale w Polsce ambicje odłożyła na bok, cieszy się z tego, co ma. Rozmawiamy na placu zabaw przed domem, dzieci jeżdżą na hulajnogach, które dostały z darów, grają w piłkę.

Anastazja może pracować, bo przyjechała do Polski z teściową, która zajmuje się Ewą. Ale Daria Izmajlowa nie ma już takich możliwości, jest w Polsce tylko z synem Jehorem. W Ukrainie skończyła farmację i zajmowała się kosmetologią.

– Przyjechałam z jedną torbą, wszystko dostaliśmy od Polaków, niczego nam nie brakuje – zaznacza. – Może tylko psychologa. Jehor po wyjeździe z domu zaczął się jąkać – martwi się Daria. – Codziennie wspomina ojca i sam sobie próbuje tłumaczyć, że do domu wracać jeszcze nie można.

Psycholog przydałby się też Annie z Charkowa. Trafiła do domu Rafała w marcu, przywiózł ją z granicy z czwórką dzieci, miała przy sobie tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Wcześniej brat prosił ją, by wzięła z sobą jego syna, bo w Polsce będzie bezpieczny. Wahała się, ale ostatecznie odmówiła. Bała się, że własnych dzieci nie wykarmi na obcej ziemi. Kilka tygodni później przyszła wiadomość, że synek brata zginął trafiony odłamkiem. Anna zamknęła się w sobie, nie może spać, wzywa chłopca po nocach.

Zabawa w granicę

– Gdybym mogła cofnąć czas, większą uwagę zwracałabym na ludzi – opowiada Daria, koleżanka Anny. – To, że możesz z nimi zamienić kilka słów, przytulić, pogadać na ulicy, wydaje mi się teraz bezcenne. Dom, samochód, telewizor... Dzisiaj są, jutro śladu po nich nie ma.

Siedzimy na ławce, w cieniu sosen. Dzieci bawią się pod drzewami w granicę. „Do Polaków" przepuszczone są tylko dziewczynki. Chłopcy zostają za kolorowym sznurkiem. Proszę Daszę i Anastazję, by „przeniosły się" na chwilę do Charkowa i w wyobraźni zrobiły to, co zawsze lubiły robić w swoim mieście. Śmieją się z mojego pomysłu, ale godzą się po chwili.

– Jest lato, spokojny poranek, idziemy do parku Gorkiego pobawić się z dziećmi – Anastazja wzrusza się na samą myśl. – A potem na kawę do Kuliniczki. Jaką tam można było wypić kawę, nie ma pani pojęcia! Kawa w Polsce? W Polsce jeszcze kawy w kawiarni nie piłam, za drogo dla mnie.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Dług zamiast odbudowy

PIOTR WÓJCIK

Spór rządu z Brukselą przeciąga się, więc Polska zamierza rozpocząć realizację KPO bez unijnego wkładu. Inflacja lubi to.

Niewielu z nas jeszcze pamięta, że pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy miały służyć regeneracji państw UE po pandemii. W międzyczasie doszły kolejne zmartwienia, czyli wojna u naszych granic i kryzys energetyczny, a my wciąż nie zobaczyliśmy nawet małej części z przypadających Polsce 36 mld euro. I na razie niewiele wskazuje na to, że cokolwiek w tej kwestii się zmieni.

Ryzyko bez korzyści

Środki z KPO dzielą się na bezzwrotne granty oraz pożyczki. Według unijnych wytycznych 70 proc. funduszy z części grantowej powinno zostać zakontraktowanych do końca tego roku. Pozostałe 30 proc. – do końca przyszłego. Z tego powodu rząd zamierza rozdysponować granty oraz zacząć je wypłacać już teraz, licząc, że w końcu się dogada z Brukselą i otrzyma obiecane fundusze. Na razie plan jest taki, żeby finansowaniem projektów zajął się Polski Fundusz Rozwoju. W tym celu PFR odzyskuje właśnie od polskich przedsiębiorstw zwrotną część dotacji z pandemicznej Tarczy Finansowej, jednak pokryją one co najwyżej ułamek kwoty z KPO. Resztę trzeba będzie sfinansować długiem.

– Bardzo podobnie PFR finansowało tarczę antykryzysową podczas pandemii – zauważa dr Iwo Augustyński, ekonomista z Fundacji Lipińskiego. – Fundusz wyemituje obligacje, a ze zdobytych środków sfinansuje projekty zatwierdzone przez rząd. Obligacje te kupią banki komercyjne albo po prostu Narodowy Bank Polski.

Problem w tym, że pokrycie KPO środkami własnymi może pobudzić i tak już wysoką inflację. Mówimy przecież o wpompowaniu w gospodarkę dodatkowych niemal 170 mld złotych, licząc po obecnym kursie naszej waluty. I to w zaledwie cztery lata, gdyż projekty z Krajowego Funduszu Odbudowy powinny być rozliczone do połowy 2026 r.

W przypadku KPO trzeba brać pod uwagę nie tyle inflację konsumencką (obecnie 15,5 proc.), co przede wszystkim inflację producencką. A ta według GUS wynosi już 25 proc. Wzrost tego rodzaju inflacji zwiększa koszty przedsiębiorstw i dopiero po pewnym czasie przekłada się na ceny płacone przez konsumentów.

Oczywiście sfinansowanie KPO z pieniędzy unijnych również działałoby proinflacyjnie, ale równocześnie uruchomiłby się odwrotny mechanizm hamujący wzrost cen. Kilkadziesiąt miliardów euro wpompowanych w naszą gospodarkę pozytywnie wpłynęłoby na kurs naszej waluty, chociażby dzięki zwiększeniu aż o jedną czwartą rezerw NBP. A właśnie słabość złotego jest jedną z głównych przyczyn tak wysokiej inflacji nad Wisłą.

– Transfer twardej waluty może spowodować umocnienie złotego także ze względu na efekty polityczne. Zażegnanie sporu rządu z Brukselą zostałoby ocenione przez inwestorów jako sukces Polski i stabilizowałoby złotego – zauważa dr Marcin Wroński, wykładowca Szkoły Głównej Handlowej.

Podobnego zdania jest dr Maciej Grodzicki z Polskiej Sieci Ekonomii. – Samo uruchomienie unijnych środków z KPO już wpłynie na oczekiwania i będzie widoczne w kursie naszej waluty, od razu. Później stopniowy napływ euro będzie jeszcze umacniał złotego – twierdzi Wroński. – Natomiast wpływ proinflacyjny zadziała z opóźnieniem, gdyż środki z KPO nie jest tak łatwo od razu wydać. Dotyczą one przecież dużych projektów, potrzeba czasu chociażby na rozpisanie konkursów.

Inaczej mówiąc, finansując KPO własnym sumptem, rezygnujemy ze stabilizacji kursu naszej waluty dzięki wyższej wiarygodności międzynarodowej, jednocześnie wystawiając się na ryzyko wzrostu inflacji. A to jeszcze nie wszystko. Finansując plan odbudowy długiem publicznym, będziemy musieli zapłacić od niego odsetki. Podczas pandemii można było się zadłużać niemal bezpłatnie, jednak obecnie oprocentowanie polskich papierów dłużnych jest bardzo wysokie.

– W tym momencie polskie obligacje są zdecydowanie wyżej oprocentowane niż w 2020 r., podczas uruchamiania tarcz antykryzysowych. Aktualnie wzrost długu byłby kosztowny – uważa Grodzicki. – Oczywiście pozostaje jeszcze sfinansowanie KPO wyższymi podatkami, ale to ze względów politycznych zapewne nie jest w ogóle rozważane.

Pchnąć inwestycje do przodu

Jeśli ostatecznie dogadamy się z Brukselą, to część pieniędzy z UE będziemy musieli oczywiście zwrócić, gdyż otrzymamy je w formie pożyczek. To jednak tylko jedna trzecia przypadających Polsce 36 mld euro. Reszta to granty. Warto też pamiętać, że fundusz ma być finansowany obligacjami unijnymi, których oprocentowanie jest znacznie niższe od polskich. UE może zadłużać się na rynkach bez porównania taniej. Podczas aukcji z 29 sierpnia UE sprzedała obligacje oprocentowane średnio na 1,7 proc. Dla porównania: miesiąc wcześniej polskie Ministerstwo Finansów również sprzedawało obligacje

PIOTR TRACZ / REPORTER

Infrastruktura kolejowa na stacji Czeremcha, 2018 r.

z tym samym terminem wykupu, jednak w tym przypadku średnia rentowność wyniosła aż 6,4 proc.

Mimo wszystko lepiej zacząć realizować KPO już teraz, nawet ryzykując poniesienie kosztów z własnej kieszeni. Inwestycje i reformy zawarte w planie są po prostu niezbędne Polsce. Pomogą nam nie tylko zmodernizować gospodarkę, ale przede wszystkim przeprowadzić transformację energetyczną, czyli kluczowe zadanie, które stoi przed nami w nadchodzących latach.

– Fundusz Odbudowy stawia nacisk na dwa główne obszary: ekologię i klimat oraz cyfryzację – wskazuje Krzysztof Bocian, analityk think-tanku Wise-Europa. – Inwestycje w zieloną energię i zmniejszenie energochłonności stanowią 39 proc. wydatków z KPO. Mogą one stać się bardzo ważnym impulsem dla całej transformacji energetycznej w Polsce.

Z kolei Grodzicki zauważa, że struktura KPO jest w sporej części wymuszona przez priorytety unijne, więc znajduje się w nim wiele projektów, które niekoniecznie znalazłyby się w centrum uwagi obecnie rządzącej ekipy, gdyby to ona decydowała o ostatecznym kształcie KPO: choćby transformacja energetyczna i walka z ociepleniem klimatu.

– Być może cyfryzacja jeszcze trochę ten rząd interesuje, ale też na pewno nie na taką skalę, jaką wymusi realizacja KPO – uważa Grodzicki.

Krajowy Plan Odbudowy ma charakter ściśle rozwojowy. Jego realizacja może więc pomóc zlikwidować kolejną bolączkę polskiej gospodarki, czyli fatalnie niski poziom inwestycji, które w zeszłym roku wyniosły ledwie 17 proc. PKB (zdaniem Krzysztofa Bociana w takim kraju jak Polska poziom ten powinien wynosić 22-23 proc.). To jeden z najniższych wyników w UE. Tymczasem w ramach KPO inwestycje nad Wisłą mogą zostać zasilone kwotą ponad 40 mld złotych rocznie w ciągu czterech lat. Jest więc szansa, by poziom inwestycji znacznie wzrósł.

– Przy naszych bardzo niskich wskaźnikach nakładów inwestycyjnych każda dodatkowa kwota zrobiłaby wrażenie, więc środki z KPO tym bardziej – ironizuje Augustyński. – Chociaż będą to inwestycje publiczne, to jest szansa, że za nimi pójdą nakłady prywatne, jako swego rodzaju druga fala.

Niezwykle ważnym elementem polskiego KPO jest rozwój transportu kolejowego, który obecnie stanął w miejscu. – Wstrzymywane są przetargi i prace budowlane, gdyż kolej czeka na środki z KPO – twierdzi Grodzicki. Pod koniec zeszłego roku na problem ten wskazywał też w swoim raporcie Instytut Staszica – z powodu braku środków z KPO zagrożone są inwestycje kolejowe o dużym znaczeniu nie tylko dla Polski, ale też dla Europy. Mowa chociażby o Rail Baltica.

Najdroższa reforma w historii

Realizacja Krajowego Planu Odbudowy wyłącznie środkami krajowymi może nieść jeszcze jedno niebezpieczeństwo. Rząd będzie pozbawiony kontroli unijnej, co może oznaczać, że po prostu ograniczy inwestycje. – Nie chce mi się wierzyć, że PiS ze środków krajowych będzie chciał zrealizować wszystkie projekty, które zawarte są w KPO – powątpiewa Wroński. – Moim zdaniem będą realizować głównie te, które im się politycznie opłacają. Z raportów naukowych wiemy, że przy programach budowy dróg gminy rządzone przez wójtów i burmistrzów z PiS dostają więcej pieniędzy.

Mowa o tegorocznym badaniu dr. Łukasza Olejnika „Dotacje inwestycyjne z rządowych funduszy wsparcia dla samorządów 2019-2021. Polityczna alokacja zasobów?". Autor na podstawie wielu zmiennych dowodzi, że pieniądze z Funduszu Dróg Samorządowych, Rządowego Funduszu Inwestycji Lokalnych oraz Programu Inwestycji Strategicznych były rozdzielane według partyjnego klucza. „Gminy rządzone przez polityków Zjednoczonej Prawicy dostawały dotacje istotnie częściej lub przekazywane im dotacje były większe" – czytamy w konkluzji badania.

W zeszłym roku Rada Unii Europejskiej zatwierdziła plany 22 państw członkowskich. Dzięki temu mogły one skorzystać z wypłacanej z góry zaliczki wynoszącej 13 proc. części grantowej. W przypadku Polski byłaby to kwota 14,6 mld zł. Nawet jeśli ona do nas kiedyś trafi, to realnie będzie miała znacznie mniejszą wartość, gdyż inflacja producencka wynosi obecnie 25 proc. w skali roku. Można więc powiedzieć, że wstrzymanie środków z KPO już teraz kosztowało nas jedną czwartą zaliczki, czyli 3,7 mld zł. Straciliśmy prawie 4 mld złotych z powodu kuriozalnego sporu rządu z Brukselą o „reformę" sądownictwa autorstwa Zbigniewa Ziobry. To może być najdroższa reforma w historii Polski. ©

Silna i stabilna

KALINA BŁAŻEJOWSKA

Odwołany z funkcji prezesa TVP Jacek Kurski realizował misję mediów publicznych na opak. I robił to nie tyle bez wstydu, co z dumą. Teraz czeka na rekompensatę.

Tego nikt – poza wąską grupą wtajemniczonych – się nie spodziewał. 5 września Rada Mediów Narodowych na zdalnym posiedzeniu wysłuchała sprawozdania prezesa TVP Jacka Kurskiego o inwestycjach budowlanych. Według wersji przedstawionej przez Roberta Kwiatkowskiego, członka Rady z rekomendacji Lewicy, Kurski nagle oznajmił, że musi jechać do Skierniewic. Gdy tylko się rozłączył, przewodniczący Krzysztof Czabański złożył wniosek o jego odwołanie, który natychmiast został jednomyślnie przyjęty. „To wyglądało jak egzekucja w ciemnym kącie" – powiedział Kwiatkowski portalowi OKO.press.

Na tym samym posiedzeniu powołano nowego prezesa – obecnie jedynego członka Zarządu TVP, Mateusza Matyszkowicza.

Rekompensata plus haracz

Kurski tracił stanowisko już dwa razy. W sierpniu 2016 r. stało się tak na zaledwie kilka godzin; drugi raz Kurskiego odwołano w marcu 2020 r., w ramach targu z Andrzejem Dudą, który od jego dymisji uzależniał podpisanie ustawy przyznającej TVP dwa miliardy „rekompensaty z tytułu utraconych wpływów z abonamentu". Prezydent ustawę podpisał, ale Kurski dalej sterował TVP, tyle że jako „doradca zarządu". Oficjalnie w roli prezesa zastąpił go Maciej Łopiński, który po kilku miesiącach zwrócił przyjacielowi stanowisko, po czym Kurski został wybrany na kolejną kadencję.

Tym razem sprawa wygląda poważniej i jeszcze bardziej tajemniczo. Mijają kolejne dni, a wciąż nie wiadomo nawet, jakie były powody odwołania. Rzecznik PiS Radosław Fogiel sugerował zaraz po dymisji, że partia szykuje dla Kurskiego nowe zadania, ale nadal nie ujawniono, na czym miałyby polegać. Plotkuje się o fotelu wicepremiera albo szefa sztabu wyborczego PiS. A przecież tę ostatnią funkcję dotychczasowy prezes TVP pełni *de facto* już od siedmiu lat.

Pojawiają się doniesienia, wedle których zmiana była szykowana od dawna, ale została przyspieszona: Jarosław Kaczyński podobno chciał zdyscyplinować Kurskiego, m.in. za zbyt częste zapraszanie na antenę ludzi z Solidarnej Polski – partii Zbigniewa Ziobry, którą PiS chce przed wyborami maksymalnie osłabić. Inni z kolei twierdzą, że to Mateuszowi Morawieckiemu udało się dopiąć celu – Kurski, sam mający premierowskie ambicje, był jednym z jego największych wrogów. Ta wersja jest jednak mało prawdopodobna, biorąc pod uwagę słabe notowania Morawieckiego w partii. Bardziej logiczna wydaje się inna teoria: PiS chce przesunąć wybory samorządowe, w których spodziewa się słabego wyniku, tak by odbyły się już po parlamentarnych i nie miały na nie wpływu. Głowa Kurskiego miała być w tym scenariuszu ceną za podpis Andrzeja Dudy pod – wymyśloną podobno przez samego Kurskiego – ustawą, która ma pomóc PiS utrzymać władzę w parlamencie.

Dziś pewne jest tylko to, że Jacek Kurski dostanie jakąś „rekompensatę z tytułu utraconych wpływów". Za oddaną służbę należy mu się nagroda, a za całą wiedzę na temat kulis działania rządu – wręcz haracz.

Aktywa polskiej niepodległości

Jakikolwiek byłby prawdziwy powód odwołania, warto wykorzystać okazję do podsumowania dokonań Jacka Kurskiego z ostatnich sześciu lat. Bez wątpienia przechodzi do historii jako najgorszy prezes TVP po 1989 r. – to ocena nie z punktu widzenia wyników oglądalności czy kondycji finansowej spółki, ale z perspektywy zapisów w ustawie o radiofonii i telewizji. Szefom publicznych mediów nakazuje ona respektować „zasady profesjonalizmu, uczciwości i rzetelności" oraz: „1) kierować się odpowiedzialnością za słowo i dbać o dobre imię publicznej radiofonii i telewizji; 2) rzetelnie ukazywać całą różnorodność wydarzeń i zjawisk w kraju i za granicą; 3) sprzyjać swobodnemu kształtowaniu się poglądów obywateli oraz formowaniu się opinii publicznej; 4) umożliwiać obywatelom i ich organizacjom uczestniczenie w życiu publicznym poprzez prezentowanie zróżnicowanych poglądów i stanowisk oraz wykonywanie prawa do kontroli i krytyki społecznej".

Jacek Kurski powyższe zapisy realizował na opak. I nie tyle bez wstydu, co z dumą. Już w sierpniu 2016 r. w wywiadzie dla tygodnika „Sieci" chwalił się: „Kiedy zostawałem prezesem TVP, Nowoczesna remisowała z PiS 27-29. Dziś, po przywróceniu elementarnego pluralizmu, jest 40-15. Ta kotwica pluralizmu i normalnego przekazu ma ogromny wpływ na stabilność polityczną i ład demokratyczny w kraju".

W czerwcu 2022 r. od portalu wPolityce.pl (podobnie jak tygodnik „Sieci" wydawanego przez bliską PiS spółkę Fratria i hojnie finansowanego przez spółki Skarbu Państwa) dostał Nagrodę Biało-Czerwonych Róż. W laudacji Michał Karnowski powiedział: „Ponad sześć lat od tamtego styczniowego dnia 2016 roku, po ogłoszeniu setki razy, iż TVP już nikt nie ogląda, wszyscy odeszli, nikt nie chce w niej występować, dziś środowiska totalnej opozycji i niemiecka oraz rosyjska partia w Polsce grają inną płytę: to wszystko przez TVP i prezesa Kurskiego, to są przyczyny tego, iż Polacy trwają przy wyborze z roku 2015. To przez niego Polacy znają obiektywne dane, wiedzą o osiągnięciach obozu politycznego pana premiera Jarosława Kaczyńskiego". Jacek Kurski w odpowiedzi zapewnił ze sceny, że TVP „zrobi wszystko, aby te aktywa polskiej niepodległości, które są dzisiaj w naszych rękach, działały".

Z kolei w czerwcu 2021 r., po wyborze na drugą kadencję, tak sformułował swój przepis na sukces: „Trzeba robić słuszne rzeczy, które w dodatku jeszcze będą oglądane".

Słuszne rzeczy, dobre imię

„Słuszne rzeczy" to według Kurskiego wszystko, co sprzyja PiS. Telewizję pu-

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

Jacek Kurski jako prezes TVP. Warszawa, styczeń 2018 r.

bliczną zmienił w telewizję rządową, promującą bez wytchnienia władzę i dyskredytującą opozycję. Dla przykładu: w IV kwartale 2018 r. politycy PiS dostali na antenach TVP 136 godzin, a drudzy w zestawieniu politycy PO – 23,5 godziny; z kolei w lutym 2019 r. przedstawicieli Zjednoczonej Prawicy pokazywano sześć razy częściej niż reprezentantów całej opozycji (wyliczenia OKO.press). Stronniczość TVP od lat zauważają organizacje międzynarodowe, jak Reporterzy bez Granic (w Indeksie Wolności Prasy Polska w ciągu siedmiu lat spadła z 18. na 66. miejsce) czy OBWE, które w raporcie z ostatnich wyborów prezydenckich wskazało: „publiczny nadawca stał się narzędziem kampanii dla prezydenta ubiegającego się o reelekcję, a niektóre przekazy medialne miały wyraźnie wydźwięk ksenofobiczny oraz antysemicki".

Wydaje się bardzo prawdopodobne, że to właśnie TVP zapewniła Andrzejowi Dudzie zwycięstwo nad Rafałem Trzaskowskim (różnica wyniosła tylko 420 tys. głosów). Wprawdzie w czasie kampanii Kurski formalnie nie był prezesem, ale może właśnie dlatego tak bardzo się starał. TVP zaoferowała Dudzie pozaustawowy czas reklamowy, a w nim: toporny spot wyborczy, przygotowany przez Macieja Sawickiego jako materiał do głównego wydania „Wiadomości", kuriozalną jednoosobową „debatę" w Końskich, z pytaniami zadawanymi przez lokalnych działaczy PiS i Solidarnej Polski, a nawet „amerykańskiego projektanta mody Christiana Paula", wymyślonego po to, żeby pochwalić kreacje Agaty Kornhauser-Dudy. Przede wszystkim jednak TVP organizowała zmasowany atak na kontrkandydata. Rafał Trzaskowski regularnie zestawiany był z ujęciem ścieków płynących do Wisły i oskarżany o najróżniejsze występki i knowania. Od wspierania fundacji kierowanej przez agentkę SB, podejrzewaną o udział w zabójstwie księdza Blachnickiego, przez plany wprowadzenia w przedszkolach przymusowej nauki masturbacji dla czterolatków, po zamiar odebrania Polakom 500 plus w celu sfinansowania restytucji mienia żydowskiego. Wytknięto mu nawet odmowę posłania dzieci do pierwszej komunii i zainteresowanie myślą „żydowskiego filozofa Barucha Spinozy".

Ale kampanie wyborcze były tylko zagęszczeniem propagandowego, a nierzadko wprost nienawistnego przekazu. Płynącego stale, dzień za dniem. Od sześciu lat co wieczór TVP przedstawia polityków opozycji jako wrogów Polski, reprezentujących interesy obcych państw. Regularnie piętnuje też prywatne media i wszystkie sprzeciwiające się rządowi grupy społeczne, od nauczycieli przez sędziów po lekarzy. Stygmatyzacji poddawane są też mniejszości, zwłaszcza migranci z Afryki i Bliskiego Wschodu oraz osoby LGBT+. Niektóre z setek obraźliwych materiałów na ich temat doczekały się wyroków sądów i odszkodowań idących w dziesiątki tysięcy złotych.

O szkodliwości prowadzonych przez TVP kampanii nienawiści najgłośniej zrobiło się w 2019 r., po zabójstwie Pawła Adamowicza (sprawca wciąż nie został osądzony, a na ostateczną opinię biegłych, potwierdzającą jego zdrowie ↦

↦ psychiczne, trzeba było czekać trzy lata). Tych, którzy przypominali, że atak poprzedziła trwająca wiele miesięcy nagonka w telewizji Kurskiego, TVP pozwała za „godzenie w jej dobre imię". W żadnej z podobnych spraw – wytoczonych Adamowi Bodnarowi, Ewie Siedleckiej, Wojciechowi Czuchnowskiemu, Krzysztofowi Skibie i Wojciechowi Sadurskiemu – TVP nie wygrała. Niemniej zapewne udało jej się wywołać „efekt mrożący" u niektórych liderów opinii. Niestety, śmierć Adamowicza nie skłoniła samego Jacka Kurskiego do jakiejkolwiek zmiany – wkrótce jego telewizja zaczęła nagonkę na Tomasza Grodzkiego, a potem Donalda Tuska.

Nasz Kaczorek ma rację

Dziedzictwo Kurskiego w TVP to wreszcie apoteoza tandetnej rozrywki. W tym ogromne pieniądze wydawane na „Sylwester Marzeń", który ma być – według słów pomysłodawcy – „jak prąd, jak gaz, jak woda (...) jak jedzenie, jak powietrze. Nie można bez niego żyć". Na scenie w Zakopanem występowały wielkie talenty disco polo, jak Zenek Martyniuk, i zagraniczne gwiazdy jednego przeboju, jak Natalia Oreiro (albo nawet: żadnego przeboju, jak Julio Iglesias Junior). Dla sprawiedliwości trzeba przypomnieć, że na ostatni „Sylwester" Kurskiemu udało się sprowadzić naprawdę duże nazwisko – Jasona Derulo. Na scenie w Zakopanem i w domach milionów widzów śpiewał (po angielsku) o „ssaniu penisa", „pysznej cipce" i „wielkim tyłeczku".

W ostatnich latach próbowano włączyć żenującą rozrywkę do politycznej agitacji. Tak powstał program „Motel Polska", w którym „oglądając wspólnie telewizję i spotykając się w telewizyjnym motelu, goście recenzują i opisują współczesną Polskę". I tak np. w odcinku 11. „gośćmi" byli córka, zięć i była asystentka posła PiS Roberta Telusa, przedstawieni jako przypadkowi Polacy. „Jaro, jak coś powie, to już powie", „Nasz Kaczorek ma rację" – recenzowali przemówienie Jarosława Kaczyńskiego.

Innym przykładem jest „W tyle wizji", czyli odpowiedź na „Szkło kontaktowe" TVN – równie nieśmieszna jak pierwowzór, ale zdecydowanie bardziej zajadła. To tam Krzysztof Feusette i Stanisław Janecki śmiali się z sylwetki Marty Lempart, porównując ją do betoniarki, kobiet z malarstwa Fernanda Botera albo późnego baroku oraz spekulując, że do odpoczynku potrzebuje dwóch lub trzech leżaków. I to tam Rafał Ziemkiewicz żartował z samochodów-komór gazowych, a Marcin Wolski ironizował, że obozy zagłady to, „można powiedzieć, były żydowskie obozy, bo w końcu kto obsługiwał krematoria?".

Mateusz Matyszkowicz ma opinię człowieka skromnego i spokojnego. Będzie jednak musiał się dostosować i pokazywać to, czego życzy sobie najważniejszy widz, Jarosław Kaczyński.

Z kolei politycznym odpowiednikiem amerykańskiego „The Jerry Springer Show" był – zawieszony z powodu pandemii i wciąż nie przywrócony – program „Studio Polska", prowadzony przez Magdalenę Ogórek i Jacka Łęskiego. To właśnie w czasie tego cotygodniowego seansu ignorancji i nienawiści Przemysław Czarnek powiedział o osobach LGBT+: „ci ludzie nie są równi ludziom normalnym". W odcinku o relacjach polsko-żydowskich na dole ekranu były pokazywane antysemickie wpisy widzów. A w dyskusji dotyczącej „ideologii gender" poseł Solidarnej Polski Mariusz Kałużny, magister teologii i politologii, mówił: „Sprzeciwiamy się ideologii, która mówi o czymś takim jak psychologia orientalna [*sic!*]. Bo nauka definiuje, czy ktoś jest mężczyzną czy kobietą. A wasz ruch mówi, że psychika. Czyli jak sobie wymyślę, że jestem kobietą, to jestem kobietą". Wypowiedzi, które nigdy nie powinny paść na antenie telewizji publicznej, a padły w „Studio Polska", można by wymieniać długo.

Lipa, ale jedziemy w to

Jeden z pasków „Wiadomości" za czasów Kurskiego głosił: „Szlam z Warszawy zatruwa Polskę". Chodziło oczywiście o awarię oczyszczalni Czajka, ale ktoś mógłby pomyśleć, że to zwięzłe podsumowanie licznych działań TVP Kurskiego. Dałoby się wprawdzie wyłowić rzeczy wartościowe – kilka przyzwoitych seriali (np. dość uczciwe w przedstawianiu historii i dobrze zrealizowane „Wojenne dziewczyny") czy *reality show* (jak inkluzywne „Sanatorium miłości"), ale nie zmienia to faktu, że TVP nadaje toksyczny sygnał, zatruwający umysły mniej krytycznych widzów, żeby zamienić ich w żelazny elektorat jednej partii. „To lipa, ale jedziemy w to, bo ciemny lud to kupi" – miał powiedzieć (według czworga świadków) Jacek Kurski w 2005 r., tłumacząc swój pomysł na wykorzystanie w kampanii wyborczej PiS „dziadka z Wehrmachtu". Tą maksymą zdawał się kierować także jako prezes TVP.

Jego następca Mateusz Matyszkowicz to mediewista, były naczelny „Frondy LUX", miłośnik filozofii i literatury, nie tak dawno prezentujący się jako zwolennik dialogu ponad podziałami i postrzegany jako „sensowny konserwatysta" (określenie Maksa Cegielskiego). Wydawałoby się, że jest przeciwieństwem Kurskiego – skromny, powściągliwy, spokojny. Ale to od Kurskiego dostał nominację na szefa TVP Kultura, i to u jego boku konsekwentnie awansował. W pierwszym komunikacie wydanym z pozycji prezesa napisał: „Silna i stabilna telewizja publiczna jest wielkim sukcesem dotychczasowego Zarządu. Moim celem jest kontynuowanie trafnych decyzji dla Spółki oraz wzbogacenie i urozmaicenie oferty TVP". I to brzmi jak najlepsza odpowiedź na pytanie, czy z odejściem Kurskiego w przekazie TVP coś się zmieni.

Tak „silna i stabilna" machina propagandowa nie może się zachwiać. Co prawda pojawiają się sygnały, że pod nowym kierownictwem TVP ma „spuścić z tonu", a rozrywka mniej się kojarzyć z disco polo, jednak nie ma wątpliwości, że telewizja dalej będzie pokazywać to, czego życzy sobie najważniejszy widz, czyli Jarosław Kaczyński. A z jego ostatnich wypowiedzi – np. tej o „niemieckich mocodawcach" Tuska, konieczności „zmian prawnych, które pozwolą lepiej kontrolować wyniki wyborów" czy „Unii Europejskiej będącej nośnikiem lewackiej ideologii" – wynika, że prezes PiS postanowił zaostrzyć, a nie złagodzić przekaz.

Mateusz Matyszkowicz będzie musiał się dostosować. Skoro przez sześć lat nie sprzeciwił się formie, jaką przybrała TVP, nie sprzeciwi się i teraz, gdy osiągnął – jak miał stwierdzić na posiedzeniu Rady Mediów Narodowych – „szczyt marzeń". Niektórzy marzą o władzy za wszelką cenę.

© KALINA BŁAŻEJOWSKA

DOROTA

Masłowska: *Cichość*

Zaledwie wczoraj miałam okazję rozmawiać z pewną kobietą, która po raz pierwszy była w Polsce, a i – jak się zdaje – w tej części Europy. Zapytana przeze mnie zwyczajowo o wrażenia z Warszawy, otworzyła już usta, by mówić, ale potem w ostatnim momencie je zamknęła, jej twarz zaś przybrała enigmatyczny, strategicznie zamglony wyraz. Fakt, że znałyśmy się od paru tylko chwil, a przed nami był cały dzień wspólnej pracy, nakazał jej być może powstrzymać swoje konie i przezornie nie mówić nic, co trudno będzie wpowiedzieć z powrotem. Słowa jak ciastka – 10 sekund w ustach, całe życie w biodrach, w piętach, w zranionym ego interlokutora. Widać było, że w ogólnym pośpiechu swojej wizyty nie przygotowała się na tę nieuniknioną małą rozmowę. Nie miała w odwodzie ani żadnego komplementu środka („Pałac Kultury jest naprawdę wysoki!") czy choćby oględnej afirmacji („Widać, że ta okolica się rozwija"), albo czegoś neutralnego, nawet wymijającego, w duchu dobrotliwej imperialnej arogancji („Wydaje się, że gentryfikacja to nieunikniony proces"). W konsekwencji jej rozbiegane oczy przypominały trzy pulsujące kropki, które pojawiają się na messengerze, gdy osoba po drugiej stronie długo coś pisze, a potem długo poprawia, potem zaś jakby przerażona tym, co wyszło spod jej palców, szybko wszystko kasuje.

Trzykropek pojawił się może na dwie sekundy, jednak jego niepewne miganie nie uszło mej uwadze. Wbiłam w nią wyczekujące spojrzenie, pod pręgierzem którego wygenerowała wreszcie zdanie w rodzaju: „Wiesz, jest kompletnie inna". „Inna od czego?". „No od tego, co znamy z Europy Zachodniej". „Ponura?". „Ponura nie... raczej taka... bardzo cicha". Powiedziała to tak, że od razu chciałam dalej ciągnąć ją za język, aż okazałby się na końcu rozdwojony, jednak ktoś obok przejął już pałeczkę słynnej polskiej gościnności, polecając jej zwiedzanie Starego Miasta („Koniecznie!") i Łazienek Królewskich („Letnia siedziba polskich królów!"), zostawiając mnie samą z moimi mściwymi ruminacjami. Cicha? Pamiętam ciszę ulic Mińska, wysprzątanych do jednego papierka, betonową, rozdzierająco smutną, jak przed zamknięciem, przed końcem. W porównaniu do niej Warszawa wydawała mi się potem Disneylandem. Oczami wyobraźni widziałam, jak kobieta wychodzi rano z hotelu. Stoi tak przez chwilę twarzą w twarz z dniem, świeżym, słonecznym i przestronnym. Niebo jest niebieskie, za nim kosmos. Tramwaje mruczą i dzwonią, lekki wiatr wiąże na wszystkim luźne srebrne wstążki spalin. Ona omiata ulicę nieco przestraszonym, zdegustowanym wzrokiem, a potem umyka do taksówki z zaciemnionymi szybami, nim pękną jej przytłoczone bezmiarem okropieństwa oczy. I jedzie, jedzie przez miasto, a wokół ci wszyscy brzydcy, niezgrabni my, wylewający się z tramwajów w porannym, wrześniowym słońcu. My, zamyślone panie spieszące do pracy; my, pijacy, skrzętnie wysupłujący pety ze śmietnika, my, dziewczyny w misternych teatralnych makijażach z youtubowego tutorialu, spóźnione, przez zbyt zapamiętałe konturowanie, do szkół; my, poważni policjanci-dzieci w furażerkach; my, świadkowie Jehowy cierpliwie rozstawiający swoje stoiska ze zbawieniem; my, nagie kobiety na ulotkach za wycieraczkami aut. I chciałabym nas wszystkich jakoś jej zabrać, zasłonić przed jej znudzonym, oceniającym spojrzeniem... „Nie będziesz se tak po prostu na nas patrzeć!". „Gówno wiesz o naszej splątanej duszy, pragnącej Mickiewicza, wyuzdanego seksu i kabaretu OT.TO". „Cisi? Żyjemy tu, płaczemy, śmiejemy się, śpimy i cierpimy. Nic o tym nie wiesz". „Kto cię pytał w ogóle o zdanie?". „To ty do nas dzwonisz!".

Piszę o tej nagłej emocji nie dlatego, że była bardzo mądra, ale dlatego, że odpowiada w jakiś sposób na kwestię, którą otworzyłam tu dwa lata temu pierwszym swoim tekstem tego cyklu. Co to znaczy miasto? Co to znaczy, że ładne albo brzydkie? Co to znaczy, że jest moje? Ciągle sensowne zdaje się tu wyłącznie słowo „jest". Co dwa tygodnie starałam się Państwu pokazać jakieś na Warszawę spojrzenie. Wydobyć je z bałaganu rzeczywistości, wysupłać z plątanin czasów, losów, korelacji, koincydencji, przypadków, wypadków. Czasem było to trudne, choć szukałam, kluczyłam, łaziłam. Czasem samo cisnęło mi się do oczu i uszu. Ulice pętliły się i próbowały mnie zgubić: przebudowywały się, zamykały przez manifestacje, ich asfalt topniał od upałów, dworce zatykały od uchodźców. Było pandemicznie cicho albo właśnie głośno od karetek, helikopterów, krzyków protestujących. Ale zawsze można sobie śmiało pozwolić, by nic nie znaleźć. Albo by znaleźć właśnie nic. Rezultatem przeprowadzanych poszukiwań jest brak rezultatu. Wnioskiem badań – brak wniosków. Pisanie pozwala kontemplować złożoność, ogrom i swoją wobec niego bezradność. Pisać to gapić się w gwiazdy, zamiast przyznawać gwiazdki od jeden do pięciu. Patrzeć, jak rzeczywistość składa się i rozkłada, skupia i rozpierzcha jak szkiełka w kalejdoskopie. Za dwa lata tego tajemniczego procesu bardzo Państwu i „Tygodnikowi" dziękuję. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 515/21 toczy się postępowanie z wniosku Sławomira Tabora i Agaty Tabor o stwierdzenie zasiedzenia własności nieruchomości położonej w miejscowości Papiernia, gmina Stanisławów, składającej się z działek oznaczonych w ewidencji gruntów numerami: 478, 479, 480, 481, o łącznej powierzchni 1,9100 ha.

Sąd wzywa zainteresowanych, a w szczególności Janinę Kuleszę lub jej spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

DAWID OGRODNIK (ur. 1986) jest aktorem, ma za sobą role w takich filmach jak „Jesteś Bogiem", „Chce się żyć", „Ostatnia rodzina", „Cicha noc", „Ikar. Legenda Mietka Kosza" czy serial „Rojst". Wkrótce będzie go można obejrzeć w dwóch nowych kreacjach: ks. Jana Kaczkowskiego w filmie „Johnny" (reż. Daniel Jaroszek) i himalaisty Adama Bieleckiego w „Broad Peaku" (reż. Leszek Dawid). Laureat wielu wyróżnień, w tym Orła i nagród na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni za drugoplanowe i główne role. Jesienią ukaże się nakładem Wydawnictwa Mando wywiad rzeka z Dawidem Ogrodnikiem przeprowadzony przez Damiana Jankowskiego.

Na zdjęciu: Dawid Ogrodnik jako ks. Kaczkowski.

ROZMOWA

WYCHODZĘ Z ROLI

DAWID OGRODNIK, AKTOR:

Wybierałem kreacje młodych stąpających po cienkim lodzie, bo sam po nim stąpałem. Gdyby nie to, że miałem już dziecko, mogło się to skończyć nawet samobójem. Rola księdza Kaczkowskiego to dla mnie przełom.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Opowiedzmy najpierw o pewnej scenie.

DAWID OGRODNIK: W hospicyjnym łóżku umiera człowiek. Po jednej stronie siedzi przy nim ks. Jan Kaczkowski, czyli ja, po drugiej odgrywany przez Piotra Trojana Patryk – były kryminalista, a teraz podopieczny Jana i stażysta hospicjum.

Ks. Kaczkowski, zmarły w 2016 r. założyciel hospicjum w Pucku, był przy 2 tysiącach śmierci. Ale teraz, w tej filmowej scenie, jest inaczej niż zwykle.

Bo nie da się tego pana spokojnie „przeprowadzić" na drugą stronę. Jest strach, lęk, panika. Zagrałem tę scenę po swojemu.

Co było w scenariuszu?

Człowiek umiera, ksiądz czyta Pismo Święte. Tylko że gdy pacjent zaczął się trząść, dygotać, nie mogłem po prostu czytać... Chwytam go więc za rękę, próbuję uspokoić – właśnie taka reakcja wydała mi się kwintesencją życia księdza Jana. Improwizowałem więc, chwytając się wszystkiego, co może dać umierającemu ukojenie.

Rozmawiamy o wchodzącym do kin filmie „Johnny" w reżyserii Daniela Jaroszka. Pomija on, moim zdaniem, jedną fundamentalną rzecz: cierpienie chorującego na glejaka mózgu głównego bohatera. Albo wprost przeciwnie: oddaje cechę ks. Kaczkowskiego, który skupiał się na innych, samemu trzymając fason tego silnego.

Moim zdaniem cierpienie przybierało w jego życiu postać bezradności: jako szef puckiego hospicjum wielokrotnie chciał pomóc, a czasami się po prostu nie dało. Pomimo wiedzy, doświadczenia, setek ludzi, których przeprowadził na tamtą stronę, bywał bezsilny. I ja tę bezsilność poczułem, odgrywając wspomnianą scenę. Wtedy naszła mnie prosta refleksja: przecież on musiał tej bezsilności doświadczać niemal permanentnie...

Tyle że w filmie to Patryk po tym zdarzeniu płacze. A Jan go uspokaja: „zrobiłeś, co mogłeś".

Taki był wybór twórców filmu, którzy w centrum postawili postać Patryka. I trudno się dziwić: ten film opowiada przecież o jego przemianie.

Ale są też sceny, które portretują lęk i szamotanie się księdza, cierpiącego przecież na nieuleczalną chorobę. Np. gdy je posiłek – niezdarnie, bo zmaga się z niedowładem – i nagle ciska widelcem o podłogę, nie mogąc znieść swojej niemocy. Mówi też, że jest taka cisza, której pragniemy, ale również się jej boimy – bo w niej dochodzi do nas prawda o nas samych.

Ks. Kaczkowski grał jakieś role?

Oczywiście, że grał. Rolę żartownisia, który ma do wszystkiego dystans. Rolę księdza, rolę szefa hospicjum. To były maski, za którymi się chował, ale które też czasami zrywał.

Kiedy?

Wydaje mi się, że głównie w dwóch sytuacjach. O pierwszej już rozmawialiśmy – to momenty, gdy odchodzili przy nim ludzie. A druga to liturgia, modlitwa, czyli chwile, gdy był sam na sam z Panem Bogiem.

Gdy cierpiał, wkładał na powrót maski? Publicznie o swoim strachu raczej nie mówił.

Nie mówił, ale na pewno dawał najbliższym sygnały. W ogóle często zdarza nam się dawać światu sygnały o własnym cierpieniu nie wprost: zniecierpliwieniem, wybuchami złości, które i jemu się przecież zdarzały.

Sam się o tym przekonałem w ostatnim czasie. Np. jadę samochodem do Pucka, by spotkać się tam z Jurkiem Owsiakiem. Po drodze jest cholerna burza, a ja panicznie się burzy boję. Jadę dosłownie 40 na godzinę, modląc się ciągle, by nic się nie stało. Po drodze raz muszę zmienić trasę, ↦

DANIEL JAROSZEK / NEXT FILM

↦ bo zawaliło się drzewo, a chwilę później natrafiam na wypadek. Widzę straż, karetkę, a za nimi niestety też parawan... Trzymam w ręku telefon, bo w tym całym lęku dzwonię do bliskich mi osób, żeby się poczuć bezpieczniej. I wtedy zauważa mnie z tym telefonem strażak. „Kurwa, jak chcesz sobie nakręcić filmik, to lepiej wysiądź i sam zobacz, co się stało!" – wrzeszczy. Gdy wyjaśniłem mu sytuację, przeprosił mnie i kazał jechać dalej.

Albo jestem na ostrym dyżurze, bo potrzebuję pomocy lekarskiej. Przy mnie jakiś człowiek traci przytomność, po prostu umiera. Nagłe poruszenie, zbiegają się lekarze, zabierają gdzieś tego człowieka. A jakiś czas później jeden z lekarzy wychodzi znowu na poczekalnię i robi komuś awanturę...

Jestem pewien, że obaj ci ludzie – strażak i lekarz – dopiero co przeżyli jakieś przekraczające ich wytrzymałość zdarzenie. Ks. Kaczkowski też takie zdarzenia przeżywał, a ja jako aktor byłem ich ciekaw. Np. tego, co informacja o nieuleczalnej chorobie ze mną zrobi.

Co zrobiłeś, żeby to sprawdzić?

Wbiłem sobie tę chorobę do głowy. A gdy mój mózg przyjął ją w końcu do wiadomości, pojawił się strach. Ale też potrzeba życia: robienia wszystkiego teraz i nagle. Nagle chciałem się ze wszystkimi spotkać, nagle do każdego chciałem się dodzwonić i pogadać, nagle chciałem biec maraton, iść na siłownię, a w tym samym momencie być z dzieckiem na wycieczce. Nagle stanęły mi przed oczami wspomnienia wspólnych chwil z moją córką, ale też jakieś przyszłe zdarzenia, które już mogą nie mieć miejsca.

Mówią, że jak żaden inny aktor wchodzisz w swoje role. Nie sądziłem, że aż tak.

Nie wiem, czy można to tak nazwać. Ja po prostu chciałem przeżyć to, co i on przeżył. Jak inaczej mogłem to zrobić, nie konfrontując się z jego położeniem? Nie było innej rady: spędziłem dwa dni w domu, wmawiając sobie, że mam raka mózgu. I przeżywając w związku z tym najprawdziwsze ataki paniki.

Przy okazji innych ról też Ci się to zdarzało?

W „Ostatniej rodzinie" umiera matka Tomka Beksińskiego. A ja, Dawid Ogrodnik, idę sobie w tamtym czasie ulicą i nagle robi mi się czarno przed oczami. Wiem, że to irracjonalne, ale biorę telefon i wykręcam numer do swojej mamy. „Cześć – mówię do niej – ja tylko tak, sprawdzić, co u ciebie".

A wracając do roli Jana, to sprzężenie z moim własnym życiem więcej mi dało, niż odebrało.

DANIEL JAROSZEK / NEXT FILM

Co dało?

Konieczność odpowiedzenia sobie na ważne pytania, bo przecież po tym, jak skonfrontowałem się z jego granicznym doświadczeniem, wiele rzeczy straciło dla mnie większy sens. To były najprostsze pytania. Czego chcę? Jakie mam w życiu cele? Co jest dla mnie ważne? Nie mogłem, choćby przez te dni, w czasie których przekonywałem sam siebie, że odchodzę z tego świata, uciec od tych pytań.

Ale przecież ta konfrontacja to Twój zawodowy chleb powszedni. W „Chce się żyć" widzimy młodego chłopaka uwięzionego we własnym ciele. W „Ostatniej rodzinie" śledzimy losy Tomka Beksińskiego i wiemy, że to się musi źle skończyć. Podobnie jest z Mietkiem Koszem, który kończy życie w wieku 29 lat. Nawet role młodych, zdrowych „koni" – wspinacza Adama Bieleckiego i złodzieja Zdzisława Najmrodzkiego – to stąpanie po kruchym lodzie. Ciągnie Cię w te rewiry.

Ciągnęło. Wybierałem, pewnie bardziej intuicyjnie niż w pełni świadomie, role idących po cienkim lodzie młodych ludzi, bo sam stąpałem po cienkim lodzie, doświadczając życia w jego samych skrajnościach.

Możesz mi o tym opowiedzieć?

(Milczenie) Kilka lat temu doszedłem do ściany, cierpiałem na depresję. Gdyby nie to, że miałem już dziecko, bardzo różnie się to mogło skończyć – nawet samobójem. Pamiętam dni, w czasie których choroba trzymała mnie w permanentnym uścisku. To stan nieomal wegetatywny: każda czynność to gigantyczny problem. Gdyby ktoś wtedy powiedział: „Dawid, ty chyba wymagasz leczenia, zamknięcia w jakiejś placówce", to bym się od razu zgodził. Tylko że ja nie byłem w stanie się nawet komunikować. Chciałem ratunku, pomocy, rozmowy, ale nie

KINO ŚWIAT / MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Trojan i Dawid Ogrodnik w filmie „Johnny" (reż. Daniel Jaroszek, 2022).

Po prawej: Dawid Ogrodnik w filmie „Ojciec" (reż. Artur Urbański, 2015).

byłem w stanie o to poprosić – ciągle leciały mi łzy.

Ks. Kaczkowski mówił coś, co budziło we mnie – i nie tylko we mnie – sprzeciw. Że żadna ciężka choroba nie zwalnia nas z obowiązków – bycia ojcem, bratem, księdzem...

Też się z tym nie zgadzam. Bywają stany, w których nie możesz pełnić swoich ról – wtedy podnoszenie komuś poprzeczki wymagań nic nie da. Zresztą on sam mówił w innych miejscach o czymś, co jest mi z kolei bliskie – trzeba potrafić zaakceptować siebie bezsilnego.

Bo i on się przez te cztery lata chorowania zmieniał – pod koniec częściej mówił publicznie o tym sobie bezsilnym.

Mnie też to zajęło trochę czasu. Chodzi mi o zaakceptowanie faktu, że jestem facetem, który nagle ni stąd ni zowąd zaczyna płakać i nie wie, co z nim będzie nazajutrz. Powoli zdawałem sobie sprawę, jak często w swoim życiu ukrywałem sam przed sobą własną bezradność. Jak rzadko pozwalałem sobie na to, by do kogoś podejść i powiedzieć: „Kurwa, nie wiem, co robić". Pomogły mi w tym wszystkim i jego słowa, i czytane przeze mnie w ramach przygotowania do roli książki, i sama rola. Gdy zaczynały się zdjęcia do „Johnny'ego", byłem już po podjęciu decyzji o leczeniu.

> Zajęło mi trochę zaakceptowanie faktu, że jestem facetem, który nagle ni stąd ni zowąd zaczyna płakać i nie wie, co z nim będzie. Zdałem sobie sprawę, **jak często ukrywałem przed sobą własną bezradność.**

Mogę chyba powiedzieć, że w jakimś sensie dostałem od niego – ks. Jana Kaczkowskiego – nowe życie.

A bywało odwrotnie: że to trudne role prowadziły Cię do kryzysu?

Naturalnie: to ma swój awers i rewers. W rolę Tomka Beksińskiego wszedłem bardzo głęboko.

Podczas odsłuchu jego różnych wypowiedzi – bo podobnie jak Jana, nigdy nie miałem okazji spotkać Tomka osobiście – uderzyła mnie pewność, z jaką mówił o własnej śmierci. Zapowiadał po prostu, że się kiedyś na pewno zabije. Chciałem tę jego skomplikowaną naturę jak najlepiej oddać.

A później opowiadałeś w jednym z wywiadów o ekipie, której ciężko było z Tobą wytrzymać.

Tuż przed zakończeniem zdjęć pękł mi przełyk. Portale internetowe pisały, że był to efekt wycieńczenia rolą, i jest to do pewnego stopnia prawda. Ale druga jej część to kulminacja mojego ówczesnego pogubienia i kryzysu: ilości wciągniętego koksu, wypitego alkoholu, połkniętych leków psychotropowych. Uzależnienia od alkoholu.

Wspomniane role portretują też nieprzystawalność do tego świata. A to samotnik dziennikarz, a to ekscentryk muzyk, a to „ślepawy ↦

i grubawy klecha", jak sam o sobie mówił Jan. To był też Twój wybór?

Tak, ale w tym przypadku bardziej – powiedzmy – warsztatowy. Chcemy w tym zawodzie być widoczni, odróżnialni, wyraziści. Sam chciałem się czuć wyjątkowy. U mnie to był też efekt zaniżonego poczucia własnej wartości i niebycia dla siebie samego „wystarczającym". Stąd też może chciałem odgrywać role osób, które – pomimo tej nieprzystawalności – są wyraziste i osiągają jakiś sukces.

To, co teraz mówisz, może być ważne dla wielu ludzi: 36-latek, który osiągnął w zasadzie wszystko, potrzebuje ról ludzi sukcesu, by podwyższyć sobie samoocenę.

Bo też poczucie wartości, jak wiadomo, nie zależy od tego, czy masz – jak ja – kilkadziesiąt najważniejszych aktorskich nagród, czy zero. Zresztą po prawdzie żadnej z tych, które odebrałem, nie przyjmowałem świadomie – z żadnej nie potrafiłem się cieszyć. Jednym z pierwszych momentów zwrotnych była chwila, gdy zorientowałem się, że ciągle na coś czekam. Że nie żyję tym, co jest teraz, i że teraz nie czuję się nikim wyjątkowym. A równocześnie byłem przekonany, że moje problemy – schizy, lęki, depresje – są tak wyjątkowe, że i tak nikt, włącznie z psychoterapeutą, nie jest ich w stanie zrozumieć.

Potem dopiero zorientowałem się, że jest dokładnie odwrotnie. Że podobne problemy miały i mają tysiące. I że mój zawód jest tylko w tym sensie wyjątkowy, że oznacza branie na siebie dodatkowego emocjonalnego bagażu – tego, który niesie odgrywana przeze mnie postać.

Pewnego razu terapeuta poprosił mnie, bym na kolejne spotkanie przyszedł z listą rzeczy, za które siebie kocham. Musiałem powiedzieć, że nic mi nie przyszło do głowy. Gdy poprosił o listę tych, z których powodu przynajmniej się lubię, było już łatwiej. Wystarczyło na jakiś punkt wyjścia.

Jeśli rola Jana to dla Ciebie życiowy przełom, to rozumiem, że można się też spodziewać przełomu zawodowego?

Odkąd zdałem sobie sprawę, dlaczego intuicyjnie wybierałem takie kreacje, zaczęły mnie ciekawić inne rzeczy. Zdałem sobie również sprawę, że nie chcę być już wyłącznie odtwórcą, ale też twórcą – że chcę jako producent i reżyser robić własne filmy.

DAMIAN KRAMSKI

Ks. Jan Kaczkowski. Sopot, czerwiec 2012 r.

Chciałem przeżyć to, co przeżył ks. Kaczkowski.
Nie było innej rady: spędziłem dwa dni w domu, wmawiając sobie, że mam raka mózgu. I przeżywając w związku z tym najprawdziwsze ataki paniki.

Będziesz w nich grał?

Nie, wystarczy mi świadomość, że będę przybliżał widza do mojego spojrzenia na rzeczywistość. O szczegółach nie chcę na razie za wiele mówić.

Pomówmy w takim razie jeszcze o polskim Kościele. Na dobry początek opowiedz mi o dobrym księdzu.

W czasach szkoły średniej byłem członkiem katolickiego zespołu muzycznego, którego menedżerem był właśnie duchowny. Traf chciał, że pewnego razu rozwaliłem mu samochód. Miałem jakieś drobniejsze obrażenia – szkło w rogówce oka, coś z łokciem i kolanem – ale kolega, którego wiozłem, miał poważniejsze. Wiem, że potem borykał się z tego powodu ze zdrowotnymi problemami. Dla mnie to był – także z powodu tego wypadku – bardzo trudny okres.

Zauważył to inny duchowny, ks. Marcin. Zaproponował, bym zamiast jechać do internatu obok poznańskiej szkoły średniej, w której się uczyłem, został u niego na parafii do czasu, aż dojdę do siebie. Zaopiekował się mną, zaprzyjaźniliśmy się do tego stopnia, że przedstawił mnie nawet swojej rodzinie. Co więcej, zainteresował się moją nauką, która nie wyglądała za dobrze – znalazł mi jakieś korepetycje, dzięki czemu zdałem później maturę. Wiele mu zawdzięczam, mamy kontakt do dziś.

Zachowując proporcje, brzmi jak pokazana w filmie „Johnny" historia Patryka Galewskiego i Jana.

Rozmawiając z Patrykiem – tym prawdziwym, pierwowzorem postaci z filmu – śmialiśmy się, że moje życie przypomina znacznie bardziej to jego, a nie ks. Kaczkowskiego.

To teraz, cóż zrobić, opowieść o złym księdzu.

To było jeszcze przed wypadkiem i zamieszkaniem na parafii. Prowadziłem dość rozrywkowe życie. Ośmiu, dziewięciu nastolatków grających koncerty, darmowe alko i fajki załatwiane przez księdza – wesoło, generalnie świetny czas. Po jednej z imprez, gdy nie było za bardzo miejsca do spania, ktoś rzucił: „Dawid, to ty dzisiaj śpisz z księdzem", mając na myśli duchownego będącego menedżerem naszego zespołu. Luz, znałem gościa, nie widziałem w tym niczego dziwnego. Kładę się, zasypiam, i nagle jego ręka ląduje na mnie. Ale nadal się zbytnio nie przejąłem – przecież wiem, co się dzieje z rękami, jak ktoś nie kontroluje snu. Więc mu ją odrzuciłem i znowu zasypiam. Nie mija minuta, a ona znowu ląduje na mnie – tym razem w okolicach krocza. Byłem sparaliżowany, leżałem jak kłoda. Dziś dzięki temu rozumiem brak reakcji niektórych ofiar, a śmieszą mnie ci, którzy mówią: „Gdyby mi tak zrobił, to bym jebnął w ryj"...

Do dziś nie wiem, jak to się stało, ale w którymś momencie jak gromem rażony przewróciłem się na drugi bok, żeby mu spojrzeć w oczy. On tak na mnie patrzył jeszcze przez chwilę, a potem się odwrócił i po prostu poszedł spać.

Dziś Kościół katolicki w Polsce to w odbiorze społecznym bardziej ten drugi ksiądz. Mówiąc inaczej: łatwiej zagrać w „Klerze" niż w „Johnnym".

Łatwiej. Może między innymi ze względu na tę trudność chciałem zagrać Jana.

Powiedziałeś gdzieś, że chciałeś tą rolą „urealnić Kościół". Tak jakbyś chciał mu pomóc, a przecież w nim nie jesteś.

Ale kocham Pana Boga.

„Urealniasz" Kościół, a nie Pana Boga.

Tylko że w Polsce są nadal miliony ludzi, którzy w tym Kościele pokładają nadzieję – również na swoją relację z Bogiem. Nie wszyscy wypierają skandale – niektórzy po prostu nie chcą, by ich Kościół był kojarzony wyłącznie z pedofilią. Wiedzą, że istnieje masa księży dobrych, jak mój ks. Marcin czy grany przeze mnie Jan.

Nawet on, jak twierdzą jego przyjaciele, miał moment, gdy dopuszczał myśl o odejściu z Kościoła.

Nie dziwi mnie to. Ale też nie dziwi, że w końcu tego nie zrobił. Zadaję sobie zresztą pytanie: czy w dzisiejszej sytuacji księżom jest trudniej odejść, czy trwać? Chyba jednak trwać. I Jan, tak myślę, wybierał to trudniejsze rozwiązanie. Uznał, że zostaje, a choroba go pewnie w tej decyzji utwierdziła.

Ty odszedłeś.

Nie odszedłem, tylko przestałem chodzić na msze, które – przynajmniej w moim odbiorze – nabrały większego znaczenia politycznego niż duchowego. Kościół w Polsce miał do wyboru: iść za polityką, trzymając przy sobie ileś milionów identyfikujących się z tą linią ludzi, albo zaryzykować i się od tej polityki radykalnie odciąć, stawiając wyłącznie na ludzi wierzących. Wybrał to pierwsze, a to nie moja bajka.

W protestanckiej wspólnocie, do której należysz, jest czysta wiara?

We wspólnotach, instytucjach, nigdy nie ma czystej wiary – zawsze są jacyś funkcjonariusze. Natomiast Społeczność Chrześcijańska Północ, do której rzeczywiście należę, zdecydowanie bardziej mi odpowiada. To nie tylko Kościół nabożeństw, ale też relacji, spotkań, pomocy charytatywnej, dialogu, pytań i wątpliwości. Tu nikt się panicznie nie boi, że ktoś inny odejdzie, albo że jak się zaprosi na spotkanie agnostyka Pawła Łozińskiego, żeby opowiedział o swoim filmie, to coś strasznego się stanie.

Gdzie byłby dziś, gdyby był, ks. Jan Kaczkowski?

Zadawałem sobie to pytanie podczas pandemii. Wyszło mi, że na pewno nie z kolegami księżmi, którzy mówili, by przychodzić do kościoła, bo „Bóg nas ochroni". Zdecydowanie bardziej w szpitalu covidowym albo na Stadionie Narodowym. Z ryzykującymi życie lekarzami. Z odchodzącymi w samotności i strachu ludźmi.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

REKLAMA

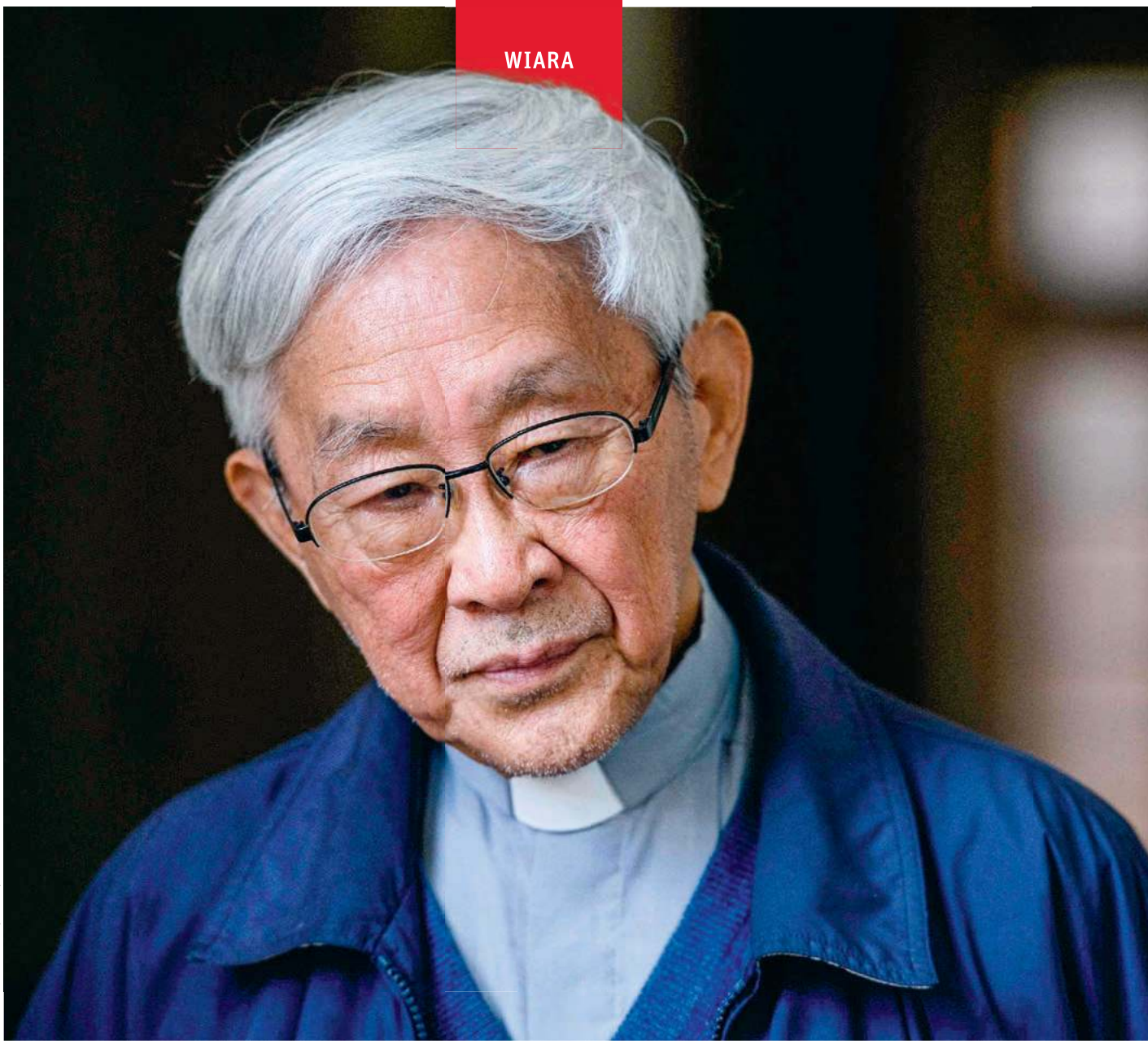

ANTHONY WALLACE / AFP / EAST NEWS

PROCA KARDYNAŁA ZENA

Krytykuje zarówno chińskie władze, jak i Watykan. Kard. Joseph Zen papieża się jednak nie wyrzeknie. 19 września stanie przed chińskim sądem.

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Kardynał Joseph Zen. 5 marca 2018 r.

Jest dla dziennikarzy wdzięcznym rozmówcą. Kard. Joseph Zen, w latach 2002-2009 biskup Hongkongu, nie dzieli włosa na czworo, z nazwiska krytykuje hierarchów Kościoła, zdradza kulisy pracy Watykanu, a komunistyczny system Chin uważa za wcielenie zła. Łatwo się przy tym emocjonuje, uderzając ręką w stół wykrzykuje: „to straszne!", „to niewiarygodne!". Taki styl bycia przyniósł duchownemu popularność i uznanie, ale też niechęć lub nawet wrogość tych, którzy znaleźli się na jego celowniku.

Areszt hierarchy 11 maja tego roku, potępiony przez Parlament Europejski i władze USA, spotkał się z aprobatą Pekinu i posłusznej mu administracji Hongkongu. Uwagę zwraca postawa Kościoła: diecezja hongkońska wyraziła „nadzwyczajne zatroskanie", ale komentarz Watykanu był już dużo bardziej stonowany. Papież Franciszek nie wspomniał o jednym ze swoich kardynałów ani słowem.

Pierwotnie zarzut postawiony Zenowi i czwórce innych zatrzymanych tego dnia dotyczył naruszenia ustawy o bezpieczeństwie narodowym, a konkretnie „zmowy z obcymi siłami", za co grozi nawet dożywocie. Potem oskarżenie zmieniono na złamanie rozporządzenia o stowarzyszeniach. Chodzi o rozwiązaną już fundację humanitarną, w której osoby te pełniły funkcję powierników, rozdzielając fundusze na wsparcie hongkońskich dysydentów. Proces sądowy rozpoczynający się w Hongkongu 19 września ma rozstrzygnąć, czy fundacja była stowarzyszeniem w świetle prawa. Jeśli tak, to brak jego rejestracji stanowi wykroczenie, a co za tym idzie Zen i pozostali byliby powiązani z nielegalną organizacją.

Cała piątka, zwolniona za kaucją, będzie odpowiadać z wolnej stopy. Jeśli sąd dochowa rzetelności postępowania, mają oni szansę uniknąć więzienia, w najgorszym przypadku skończy się wtedy na grzywnie albo zawieszeniu wyroku. Jednak – biorąc pod uwagę status Zena – sprawa już ma charakter precedensowy, zwłaszcza uwzględniając jego szczególną rolę w relacjach Kościoła katolickiego z Chinami.

„Będę się kłócił"

Całe dorosłe życie związany z Hongkongiem, 90-letni kardynał uważa się za Chińczyka. Hongkong zresztą stanowi dla niego naturalną część Chin, problemem są jedynie rządzący tym krajem komuniści. Zen urodził się w Szanghaju, w katolickiej rodzinie; jego przedwcześnie zmarły ojciec pragnął, aby syn, przed którym na świat przyszło pięć córek, został księdzem. 16-letni Joseph wyjeżdża zatem w 1948 r. do Hongkongu, gdzie podejmuje naukę u salezjanów. Rok później komuniści zdobywają władzę w Chinach i zaczynają prześladować chrześcijan. Przyszły kardynał nigdy nie ujrzy już matki, a jego młodszy brat z powodu obecności księdza w rodzinie zostanie usunięty ze studiów. Wyświęcony w 1961 r., po doktoracie przez lata wykłada filozofię i teologię. Kiedy Deng Xiaoping otwiera Chiny na świat, Zen jeździ nauczać tamtejszych kleryków.

Postacią, która zaważy na losach kapłana z Hongkongu, okaże się zmarły niedawno kard. Jozef Tomko, Słowak, wieloletni prefekt Kongregacji ds. Ewangelizacji Narodów. To jemu Zen zdawał raporty ze swoich pobytów w Chinach, a o sytuacji tamtejszego Kościoła debatowano na sekretnych watykańskich spotkaniach, m.in. z udziałem kard. Josepha Ratzingera. W 1996 r., z protekcji Tomki, Jan Paweł II uczyni Zena biskupem pomocniczym hongkońskiej diecezji. Dziesięć lat później Benedykt XVI mianuje go kardynałem. W okresie gdy Hongkong wracał do Chin, a jednocześnie rosły nadzieje na renesans chińskiego katolicyzmu, Watykan chciał mieć zapewne wyrazistego człowieka w tej części świata. „Wiedzieli, że będę się kłócił" – mówi kardynał.

Piastując wysokie funkcje, stał się najbardziej doniosłym głosem hongkońskiego Kościoła w obronie demokracji. Uczestniczył w wolnościowych protestach i stanowił oparcie dla więzionych dysydentów. Nigdy jednak nie ukrywał, że najbardziej przejmuje go los chińskich katolików. Na tym tle poróżnił się z watykańską hierarchią, a konflikt uległ zaostrzeniu w 2018 r., gdy Stolica Apostolska zawarła z Pekinem niejawne porozumienie o wyborze biskupów.

Porozumienie jako kłopot

Od przejęcia władzy przez komunistów funkcjonują w Chinach dwie wspólnoty katolickie: Kościół podziemny i Kościół oficjalny, liczące po około 6 milionów wiernych. Ten pierwszy, uznający tylko religijną zwierzchność papieża, podlega często prześladowaniom i ma około 30 biskupów. W drugim jest ich ponad 70 – wyznaczonych przez władze.

List Benedykta XVI do chińskich katolików z 2007 r. mówi o nienaturalnym podziale na oba Kościoły i o tym, że należy zmierzać do ich unifikacji. Formalne zbliżenie nastąpiło jednak dopiero za pontyfikatu Franciszka, choć szczegóły zawartej w 2018 r. umowy, odnawianej co dwa lata, pozostają ukryte. Wiemy, że papież uznał oficjalnych biskupów, z kolei część podziemnych hierarchów została zaaprobowana przez władze. Nowych zaś ma się wyłaniać kompromisowo: rzekomo to papież dysponuje ostatecznym słowem w ich zatwierdzeniu, ale wybiera z kandydatur pasujących Pekinowi. Od 2018 r. nominację przyznano sześciu nowym biskupom.

↦

LOUISE DELMOTTE / GETTY IMAGES

Wierni ustawiają się w kolejce, by wziąć udział we mszy celebrowanej przez kardynała Josepha Zena w kościele Świętego Krzyża. Hongkong, 24 maja 2022 r.

Kard. Zen uważa porozumienie za „zdradę wartości Kościoła". Jego zdaniem Watykan nie zyskał nic, tracąc przy tym swój autorytet. Biskupi zaaprobowani przez papieża są bowiem częścią Kościoła sterowanego przez partię komunistyczną i przynajmniej niektórzy z nich to wobec niej są w pierwszym rzędzie lojalni. Po drugie, hierarchowie przechodzący z podziemia do oficjalnego Kościoła wprawiają w konfuzję wiernych i księży ze swojej diecezji. Podobnie dzieje się, gdy na czele uznawanej odtąd przez Pekin nieoficjalnej diecezji staje biskup, który całe życie był posłuszny władzom.

Warunkiem porozumienia było też przyjęcie pod skrzydła Stolicy Apostolskiej ekskomunikowanych wcześniej siedmiu oficjalnych biskupów, z których dwóch, co nie jest wielką tajemnicą, złamało celibat i ma dzieci. „To niesłychane" – zapala się kard. Zen. Równie krytycznie wypowiada się on o „Wskazaniach duszpasterskich" – watykańskim dokumencie z 2019 r. dotyczącym rejestracji kapłanów na terenie Chin, a w istocie, zdaniem Zena, nakłaniającym ich do opuszczania podziemia.

Kardynał z Hongkongu idzie jednak dalej, palcem wskazując winnych zaistniałej sytuacji. Jego zdaniem Watykan zaczął błądzić w relacjach z Pekinem 20 lat temu, gdy na emeryturę odszedł kard. Tomko. Słowak, znający komunizm od podszewki, potrafił twardo negocjować z chińskimi przywódcami. Również w okresie jego urzędowania (1985-2001) oficjalni biskupi bywali uznawani przez Jana Pawła II, głównie ci, którzy pod groźbą prześladowań zostali zmuszeni do przyjęcia nominacji z rąk chińskich władz. O nawiązywaniu formalnych relacji z państwowym Kościołem nie było jednak wtedy mowy.

Następcą Tomki został kard. Crescenzio Sepe, zdaniem Zena niedoświadczony dyplomata, który „rwał się" do układania z Chinami. Ale prawdziwe armaty wytacza on dopiero wobec kard. Ivana Diasa, prefekta Kongregacji ds. Ewangelizacji Narodów za Benedykta XVI, oraz dzisiejszego sekretarza stanu kard. Pietro Parolina: mieli oni dopuszczać się manipulacji wolą dwóch ostatnich papieży.

Błędy dyplomacji

Po wyrugowaniu z Watykanu frakcji sceptycznej wobec Chin obaj kardynałowie nadali impet negocjacjom, których kulminacją stało się porozumienie z 2018 r. Wszystko to, mówi Zen, z powodu „zaczadzenia" tak zwaną Ostpolitik, której watykańskim patronem w stosunku do krajów Europy Wschodniej przed 1989 r. był kardynał Casaroli. Ta szkoła dyplomacji głosi, że pomimo trudności należy układać się z komunistami. Cel stanowi bowiem ratowanie tkanki Kościoła, a w przypadku Chin także próba ewangelizacji milionów ludzi. Kard. Zen, być może nieco wybiórczo, przywołuje jednak zawsze te wypowiedzi Jana Pawła II i Benedykta XVI, gdzie wskazują oni na fiasko Ostpolitik w Europie, twierdząc, że katolicyzm przetrwał tam dzięki wierze zwykłych ludzi. Inne jest też, zdaniem Zena, położenie oficjalnego Kościoła w Chinach, bezwzględnie posłusznego władzy partyjnej.

Wzorem zachowania wobec komunistów pozostaje dla niego kard. Wyszyński, o którym często wspomina. Dlatego tak rozjuszyła go wypowiedź Parolina na konferencji ku czci Casarolego – o przeciwnikach Ostpolitik jako „gladiatorach, którzy systematycznie sprzeciwiali się władzom, by sami zaistnieć politycznie". Nietrudno domyśleć się, że chodziło o kardynałów Mindszentyego, Berana i Wyszyńskiego. „Pogardzać tymi bohaterami to jakby pogardzać wiarą!" – mówi Zen. O ile jednak różne wizje w dyplomacji są czymś naturalnym, zapewne także watykańskiej, to całkiem inny problem już stanowi przeinaczanie woli papieża. Zen wskazuje tu na chiński list Benedykta, którego tłumaczenie znacząco różniło się od oryginału.

W swojej książeczce „Z miłości do moich ludzi nie mogę milczeć" wylicza on kolejne błędy: od lapsusów po fragmenty zmieniające znaczenie papieskich słów. Najjaskrawszy przykład dotyczy miejsca, gdzie Benedykt XVI wyraża zrozumienie dla chęci wyjścia z podziemia, dodając jednak od razu, że „w niemałej liczbie konkretnych przypadków, a właściwie prawie zawsze" władza narzuca przy tym warunki, które łamią sumienie osoby wierzącej. Tłumaczenie pomijało frazę „prawie zawsze", a urzędnikom watykańskim zajęło rok wprowadzenie stosownych korekt. Tymczasem list, z aprobatą Pekinu, rozszedł się wśród chińskich wiernych, którzy mogli odnieść wrażenie, że papież ma przychylny stosunek do oficjalnego Kościoła. Zen mówi o „zatrutym umyśle" Parolina, głównego negocjatora z Chinami, który dla poklasku gotów jest zawrzeć każde porozumienie.

Dyplomacja watykańska widzi to oczywiście inaczej: nikt nie gwarantował, że zbliżenie z Pekinem da od razu Chińczykom pełną swobodę praktyk religijnych. Stanowi ono raczej pierwszy krok w żmudnym układaniu wzajemnych relacji. Istniejące kanały komunikacji dają zaś choćby minimalną możliwość wpływania na władze Chin. Kard. Giovanni Battista Re mówi nawet, że umowa jest jak najbardziej w duchu pontyfikatu Jana Pawła II oraz Benedykta XVI, a inny kardynał – Fernando Filoni – grozi, że jej przeciwnicy „ryzykują wypłynięciem poza granice Kościoła". Zadowolony zdaje się być również papież Franciszek,

który liczy na przedłużenie porozumienia tej jesieni i konstatuje tylko, że dyplomacja pozostaje sztuką możliwości.

Joseph Zen, zarzekając się, że nigdy nie wypowie posłuszeństwa papieżowi, motywację dla postawy Franciszka (obok wpływów Parolina) widzi w jego pochodzeniu. Argentyna, gdzie dorastał Bergoglio, była często rządzona przez wojskowe dyktatury z poparciem Waszyngtonu. O los biednych ludzi troszczyli się tam zaś komuniści, sami politycznie prześladowani. Stąd sympatia obecnego papieża dla lewicy i dystans wobec Stanów Zjednoczonych, które krytykują umowę z 2018 r. Franciszek zdaje się jednak nie dostrzegać, mówi Zen, że Chiny, podobnie jak kiedyś Europa Wschodnia, znajdują się dziś we władzy komunistów i to oni represjonują społeczeństwo, także na tle religijnym.

Wspierać socjalizm

Kto ma rację w tym sporze? Przypomina on nieco dylemat wolnego świata: czy angażować się politycznie i biznesowo w relacje z Chinami bądź Rosją? Zacieśnienie kontaktów powinno prowadzić do liberalizacji tych państw. Następca Zena w Hongkongu, kard. John Tong Hon, popierający umowę z 2018 r., wskazuje, jak bardzo Państwo Środka zmieniło się przez ostatnie dekady, zarzucając przeciwnikom zbliżenia „krótkowzroczność". Do tego zarzut pychy stawiany watykańskim dyplomatom daje się przecież odwrócić: czy maksymalizm moralny zakazujący układania się z komunistycznym szatanem nie prowadzi ostatecznie do powierzenia mu chińskich katolików?

Kard. Zen odpowiada, że w negocjacjach z takim krajem jak Chiny łatwo zatracić moralny kompas. Snując wizje korzyści dotyczące nieokreślonej przyszłości, można sprzeniewierzyć się deklarowanym wartościom. Wszak pomimo ocieplenia między Watykanem a Chinami kościoły są tam wciąż burzone, wierni prześladowani, a hierarchowie, nawet ci posłuszni, upokarzani.

Co więcej, pod rządami Xi Jinpinga wszystkie religie podlegają w Chinach przyspieszonej „sinizacji". Według oficjalnych rozporządzeń kler ma obowiązek „kochać ojczyznę, wspierać socjalizm oraz przywództwo Komunistycznej Partii Chin". W praktyce wygląda to tak, że przedstawiciele oficjalnego Kościoła, którzy odwiedzają prowincję Hebei, pierwsze kroki muszą skierować do Xibaipo, mekki ruchu komunistycznego, a potem dopiero wizytują lokalne parafie. Można zapytać też, jak z katolicką doktryną pogodzić slogan partyjny: „Myśl Xi Jinpinga to esencja chińskiej kultury i chińskiego ducha"?

> Kard. Zen uczestniczył w wolnościowych protestach i wspierał dysydentów. Ku irytacji chińskich władz **jest głosem hongkońskiego Kościoła w obronie demokracji.**

Kard. Joseph Zen zdaje się twierdzić, że to niemożliwe, a chińskim wiernym udziela wskazówki: lepiej zejść do katakumb i czekać na lepsze czasy, niż sprzeciwić się własnemu sumieniu – nawet jeśli oznacza to rezygnację z przyjmowania sakramentów. Przypomina też, że Kościół ma w swoją historię wpisane męczeństwo: „Może będziemy musieli trochę pocierpieć, by wzmocnić nasze oddanie wierze". Przyszłość zaś wcale nie jest przesądzona: komuniści znajdują się na chińskiej ziemi dopiero sto lat, a jezuici od XVI wieku.

Papieski dystans

Zapewne chęć podtrzymania kontaktów z Chinami sprawiła, że Franciszek nie wsparł trzy lata temu uczestników wolnościowych demonstracji w Hongkongu. Za przyczynę niepokojów uważał raczej problemy bytowe, „tak jak w Chile czy Francji". Był w tym bliski narracji pekińskich władz, które dodatkowo atakowały zachodnich podżegaczy protestów. Sekretarz stanu USA Mike Pompeo bezskutecznie ubiegał się wówczas o audiencję u papieża.

Podobnie Joseph Zen – coraz bardziej marginalizowany, gdy odwiedza Rzym, bezskutecznie wyczekuje na możliwość kontaktu z papieżem. Traktuje się go tam dziś jako *enfant terrible* i chyba też nie do końca poważnie. Kardynał opowiada, jak podczas jednej z ostatnich wizyt w Watykanie papież Franciszek, rozpoznawszy go wśród duchownych na placu św. Piotra, „zrobił gest, jakby strzelał kamykiem z procy", dodając po chwili z uśmiechem: „tu jest ten, co staje do walki z procą". Kapłanowi z Hongkongu pozostaje już tylko pisanie listów do Stolicy Apostolskiej, często bez odpowiedzi.

Na koniec komunizmu

Joseph Zen nie zwykł trzymać języka za zębami, ale rozgłos zawdzięcza i temu, że jego miejscem na ziemi był Hongkong, który przez dekady stanowił oazę wolności w obrębie chińskiej cywilizacji. Zaczęło się to zmieniać dwa lata temu wraz z wprowadzeniem drakońskiej ustawy o bezpieczeństwie narodowym. W efekcie parafie, które do niedawna wspierały demokratów, trzymają się teraz z dala od polityki. Pierwszy raz tego roku zrezygnowano też z nabożeństw upamiętniających ofiary masakry na Tiananmen.

Pomijając rozpoczynający się proces, Zen mógłby dziś zostać pociągnięty do odpowiedzialności również za wiele swoich wypowiedzi, choćby: „Chcę odebrania Chin komunistom". Niektórzy mówią nawet, że ma on osobistego wroga w postaci Xia Baolonga, odpowiadającego z Pekinu za sprawy Hongkongu. Funkcjonariusz ten wsławił się kiedyś nadzorowaniem akcji strącania krzyży z kościołów. Sędziwy kardynał pozostaje jednak niewzruszony. Wciąż na chodzie, regularnie odwiedza z posługą więzienia – ostatnio wielu dysydentów. I czeka, wierny swojej maksymie: komunizm nie będzie przecież trwał wiecznie.

© PIOTR BERNARDYN

Autor jest dziennikarzem specjalizującym się w tematyce Azji Południowo-Wschodniej. Ostatnio wydał książkę „Hongkong. Powiedz, że kochasz Chiny". Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym".

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

Co wyrośnie z martwego ziarna

IGNACY DUDKIEWICZ, REDAKTOR NACZELNY „MAGAZYNU KONTAKT":

Nie uważam, by istniała jedna właściwa forma myślenia o chrześcijaństwie. Ale ja jestem chrześcijaninem lewicowym.

PIOTR SIKORA: Środowisko „Magazynu Kontakt", którego jesteś redaktorem naczelnym, definiuje się jako „katolewica". Czy ścisłe powiązanie katolickości i lewicowości nie jest formą upolitycznienia chrześcijaństwa i Kościoła? Analogiczną do – dominującego w Polsce – powiązania Kościoła z politykami prawicowymi?

IGNACY DUDKIEWICZ: To połączenie wynika stąd, że jesteśmy chrześcijanami, którzy mają lewicowe poglądy społeczno-polityczne i gospodarcze. Nie wspieramy – jako środowisko – żadnej partii politycznej.

Może jednak lepiej byłoby wyraźniej oddzielić przekonania religijne od poglądów politycznych. Użycie jednego słowa „katolewica" sugeruje sklejenie katolicyzmu z lewicowością.

Bo ja je w sobie kleję. Jestem jedną, integralną osobą. Podobnie moje koleżanki i koledzy. Jesteśmy w redakcji różni, nie wszyscy są katolikami, ale czerpiemy z obu tych źródeł inspiracje do czynienia świata lepszym, sprawiedliwszym. Dla nas podstawowym wymogiem moralnym jest stawanie po stronie słabszych, uboższych, dyskryminowanych, bitych. Inspirujemy się tu zarówno Ewangelią, jak i myślą lewicową. Można by nieco szumnie powiedzieć, że dla lewicy katolickiej człowiek słabszy, uboższy, poniżany jest przeżywany jako *sacrum*.

Nie umiem jednak oddzielić w moim pragnieniu, by sprawiedliwiej urządzić świat wokół mnie i stawać po stronie słabszych, części chrześcijańskiej i części lewicowej. Zatem to, że szukam raczej strukturalnych rozwiązań problemów, wynika i z lewicowości, i z katolickiej nauki społecznej.

Czy zatem katolicyzm musi być, Twoim zdaniem, lewicowy?

Nie. Nie uważam, by istniała jedna właściwa forma myślenia o chrześcijaństwie. Ale ja jestem lewicowym chrześcijaninem.

Skoro jednak istnieją inne formy chrześcijaństwa, to może Twoje odczytanie jest zdeterminowane albo nawet zniekształcone poglądami politycznymi?

Trudno powiedzieć, co determinuje co. Wierzę, że to moje poglądy polityczne są uwarunkowane Ewangelią. Ona jest dla mnie ważniejsza niż „Kapitał" Marksa czy program danej partii. Z drugiej strony, gdy spotykam prawicowe katoliczki i katolików, o co w Polsce nietrudno, to uświadamiam sobie, że mieścimy się w jednym Kościele, w jednym chrześcijaństwie i nie musimy się nawzajem z niego wykluczać. Owszem, lewicowych katolików w Polsce jest garstka, ale na świecie – znacznie więcej.

Dlatego w „Magazynie Kontakt" staramy się lewicy opowiadać o potencjale chrześcijaństwa dla budowy sprawiedliwszego świata, a polskim katolikom – przyzwyczajonym do określonej postaci Kościoła – mówić o lewicowych ideałach, które w wielu miejscach rymują się z Ewangelią, oraz o Kościele innym niż ten, który dominuje w Polsce.

To znamienne, że w Polsce pojęcie „lewica katolicka" jest niezrozumiałe, że spotykamy się z pytaniem: „jak wykonujecie ten szpagat?". W wielu miejscach na świecie to naturalny sposób przeżywania chrześcijaństwa. Bo Ewangelia w wielu miejscach jest *par excellence* polityczna.

Na przykład?

Tam, gdzie opisuje Jezusa stającego po stronie marginalizowanych i wyrzuconych poza nawias ówczesnego społeczeństwa, wywracającego do góry nogami sposób myślenia o hierarchii społecznej – kto jest pierwszy, kto ostatni. Najmocniejszą krytykę Chrystus kieruje wobec elit religijnych. Jego opowieść o królestwie Bożym, które jest tu i teraz, nie dotyczy tylko rzeczywistości eschatologicznej w niebie – że tam będziemy wszyscy równi. To wezwanie: tak powinniście żyć tu, tak powinniście urządzić ten świat. Obecne hierarchie społeczne są niezgodne z tym wezwaniem. Opowieść Jezusa to pewien postulat polityczny.

Opis pierwszej gminy chrześcijańskiej, której członkowie wszystko mieli wspólne i rozdawali każdemu według potrzeby, to nie opowieść o dobroczynności, tylko o redystrybucji dóbr, o sprawiedliwym urządzeniu społeczeństwa, w którym dzielimy się owocami naszej pracy również z tymi, którzy nie są w stanie ich samodzielnie wytworzyć.

Ewangelia nie jest partyjna, ale jest polityczna w tym sensie, że Chrystus prezentuje konkretną wizję relacji międzyludzkich – a polityka służy temu, by kształtować relacje międzyludzkie w społeczeństwie.

Z tego można wysnuć wniosek, że Ewangelia ma wbudowany aspekt polityczny, ale nie prawicowy (jak by wynikało z dominujących w Polsce powiązań kościelno-partyjnych), tylko lewicowy. Że zatem sprzyja bardziej lewicowym siłom politycznym.

Opowiedziałbym to inaczej. Kościół – chrześcijanki i chrześcijanie – powinien się politycznie sytuować po stronie słabszych przeciwko silnym. Niekiedy ci silni to mogą być ugrupowania lewicowe. Jeżeli lewicowe autorytaryzmy uciskają słabych, to rolą chrześcijan i chrześcijanek jest mówić: tak być nie może. Jeżeli robią to junty prawicowe, nawet wspierane przez instytucję Kościoła – jak to się działo w Ameryce Łacińskiej – to rolą chrześcijan jest być jak Oskar Romero i sprzeciwiać się temu uciskowi. Nieważne, czy uciskający mienią się prawicą, lewicą, liberalizmem, konserwatyzmem, kapitalizmem czy marksizmem.

MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Akcja „Zupa na Plantach" – wolontariusze gotują zupę dla osób w kryzysie bezdomności. Kraków, 9 kwietnia 2017 r.

Bywa jednak, że to kościelna struktura jest tym „silniejszym".

Dlatego jako katolewica postulujemy także zmiany w Kościele. W Polsce pewne nasze postulaty są traktowane jako skrajne, choć na świecie są często przyjętymi rozwiązaniami – gdy np. wysuwamy oczywisty dla nas postulat uregulowania w prawie państwowym związków jednopłciowych, odmawia się nam katolickości. A przecież taki postulat wysuwają też hierarchowie (choć ich zdanie nie jest dla mnie kluczowe) czy wiele kościelnych środowisk na Zachodzie.

Może te środowiska – jak i Wy – mają w tej kwestii spojrzenie na Ewangelię wykrzywione poglądami politycznymi?

Ale te środowiska zauważają, że wartości realizowane w wiernych, stałych związkach jednopłciowych są ważne także dla obecnie obowiązującej katolickiej nauki moralnej. A to nauczanie, jestem pewien, ulegnie zmianie. Można przywołać trafną uwagę kard. Christopha Schönborna – że w przypadku związków międzyludzkich musimy zaglądać najpierw do jadalni, a nie do sypialni.

Ważne, jak sugestia kard. Schönborna ma się do Ewangelii.

W perspektywie Ewangelii współżycie seksualne nie jest centralnym elementem relacji międzyludzkich. Ważniejsze jest, że ludzie się wspierają, obdarzają zaufaniem, są ze sobą w trudnych chwilach. W takim kontekście trzeba rozpatrywać współżycie seksualne – nie tylko w związkach jednopłciowych.

Źle się dzieje, że kwestie seksualne, obok bioetycznych, zdominowały nauczanie moralne Kościoła w Polsce. Parę lat temu przejrzałem wszystkie listy episkopatu do wiernych od 2000 r. Jedyne odniesienie do praw pracowniczych pojawiło się w sprawie płac katechetów. W okresie obejmującym bezrobocie końcówki rządów AWS, globalny kryzys lat 2007-08, wielką migrację zarobkową Polek i Polaków po akcesji do Unii Europejskiej! Jakby nie było tu żadnych problemów!

A dlaczego biskupi mieliby się zajmować kwestiami pracy?

Bo jest to ważny temat biblijny i ważny element ludzkiego życia. Ekonomia Starego Testamentu mówi o potrzebie dawania odpoczynku ziemi, o trosce o ubogich, sieroty, wdowy, przybyszów; o pozostawianiu niezebranych plonów dla ubogiego. A Jezusowe nauczanie o szabacie, który jest dla człowieka? A wspomniana już wizja idealnej wspólnoty z Dziejów Apostolskich? Sam Chrystus przez większość ziemskiego życia był człowiekiem pracy fizycznej, a nie słowa – czyż to nie symboliczne?

Może trzeba mniejszą uwagę przykładać do tego, co mówią biskupi?

Niewątpliwie. Głos biskupów jest coraz mniej ważny dla naszego środowiska. Nie sądzimy, by byli w stanie uratować chrześcijaństwo w Polsce.

Ale zależy Wam na ratowaniu chrześcijaństwa w Polsce?

Tak.

Skoro jednak nie zrobią tego biskupi, to kto i w jaki sposób mógłby to zrobić?

Trzeba odróżnić ratowanie chrześcijaństwa czy wspólnoty od ratowania instytucji Kościoła. Ta ostatnia nie bardzo mnie już interesuje. Choć chciałbym, by była gotowa sprzedać nieruchomości i wypłacić zadośćuczynienie osobom skrzywdzonym przemocą seksualną i pogardliwym traktowaniem ich przez cały system kościelny.

Myślę, że w pewnym sensie ziarno Ewangelii musi umrzeć, ale interesuje mnie, czy wyrośnie nowe – i w jakiej formie. Warto przemyśleć strukturalne powody, dla których hierarchowie niszczą przez swoje błędy kościelną instytucję ↦

↦ i – niestety – także powiązaną z tą instytucją wspólnotę.

Jakie to błędy?

Przede wszystkim czyny i zaniechania dotyczące skandali seksualnych. Ale także zbudowanie potwornie klerykalnej struktury, w której trudno o normalne, wspólnotowe relacje. Oderwanie od codziennych problemów wiernych. Wykluczanie kolejnych grup ze wspólnoty.

Nadziei poszukiwałbym w żywotności i rewolucyjności przesłania Ewangelii, która w każdym czasie jest w stanie zainspirować kolejnych ludzi. Po drugie w różnorodności istniejącej w Kościele powszechnym. Po trzecie – w oddolnych, małych wspólnotach, które, jak w Ameryce Łacińskiej, będą się zbierały na czytaniu Pisma i poszukiwaniu, jak słowo przeczytane odnosi się do ich życia, do pytań, które sobie stawiają.

Instytucja nie ma szans, choć będzie jeszcze długo upadać. Jest zbyt silna.

Odróżniłeś chrześcijaństwo od kościelnej instytucji. Na czym polegałby wzrost lub upadek chrześcijaństwa ujmowany nie w kategoriach instytucjonalnych?

W Polsce nie da się tego rozdzielić. Chrześcijaństwo przeżywane jest w większości wewnątrz instytucji. Upadek instytucji pociągnie za sobą zanik religijności dużych grup ludzi.

Może jednak patrzysz teraz zbyt klerykalnie. Czy np. pomoc, którą Polacy – w dużej mierze ochrzczeni – okazali Ukraińcom, podejmując nieraz duży wysiłek, oddając część przestrzeni życiowej, nie świadczy o żywotności chrześcijaństwa – niezależnie od jego instytucjonalnych przejawów?

Do pewnego stopnia masz rację. Znam przypadki, w których to parafialna struktura była zaangażowana w pomoc – jedni przyjmowali w domach, inni gotowali obiady, inni zapewniali transport.

Ale obraz chrześcijańskiego w duchu społeczeństwa polskiego burzy to, co się działo na granicy białoruskiej – w tym przypadku otwartość Polaków na pomoc przybyszom była znikoma. Nie można na podstawie ani pierwszego, ani drugiego zjawiska – każdego o skomplikowanych przyczynach – wyciągać wniosków o stanie chrześcijaństwa rozumianego jako troska o ubogich.

Jak mogłoby więc wyglądać ratowanie tego umierającego polskiego chrześcijaństwa?

Konieczne jest przepracowanie trzech wielkich tematów. Po pierwsze relacji jednostka–wspólnota, roli, jaką każda i każdy z nas, nie tylko duchowny, może odgrywać we wspólnocie; to jest też kwestia udziału we władzy, wpływu na decyzje dotyczące wspólnoty, także personalne. Ale też roli wspólnoty w życiu jednostki. Warto uczyć się od chrześcijan z innych krajów. Np. podczas pandemii w Polsce głównym tematem „eucharystycznym" była kwestia komunii na rękę. Na świecie dyskutowano, czy nie jest bardziej zgodna z Ewangelią sytuacja, gdy Eucharystię celebruje wspólnota bez księdza niż ksiądz bez wspólnoty.

Drugi wielki temat, z którym musimy się zmierzyć, to kwestia grzechu i zadośćuczynienia. I to grzechu nie tylko jednostkowego, ale też całego kościelnego systemu, który pozwalał na gwałcenie dzieci. Na łamach „Magazynu Kontakt" Agnieszka Piskozub-Piwosz sformułowała pytanie: jak uprawiać teologię po gwałtach? Jak możliwe jest mówienie o świętym Kościele po systemowym ukrywaniu gwałcicieli dzieci? Jak to było możliwe? Co to mówi o nas, jako o Kościele, który odwołuje się do Ewangelii? Jak w tym kontekście rozumieć doktrynę o chrystusowym zwycięstwie nad grzechem? I chodzi tu nie tylko o przemoc seksualną, tylko w ogóle o relacje, jakie budujemy w Kościele.

I trzeci wielki temat to różnorodność w Kościele. Gdzie są granice dogmatyczne, poza którymi trudno już mówić o chrześcijaństwie? Co w ogóle powinno być regulowane przez doktrynę, a co nie? Na świecie poziom różnorodności w rozumieniu Ewangelii, zwłaszcza w dziedzinie moralnej, jest bez porównania większy niż w Polsce, nawet na poziomie instytucji. Niektóre episkopaty w Afryce nie są w stanie wyrazić sprzeciwu wobec penalizacji relacji homoseksualnych. W innych krajach biskupi wspierają duszpasterstwa osób LGBT+. A są środowiska, w tym nasze, które uważają, że należy otworzyć możliwość błogosławienia związków homoseksualnych. Ta różnorodność istnieje i musimy w Polsce ją sobie po pierwsze uświadomić, a po drugie przemyśleć, bo nie będzie się dłużej dało po prostu odwoływać do tradycyjnie u nas przyjętego zbioru norm i zasad. One nie będą przystawać do rzeczywistości Kościoła powszechnego.

©℗ Rozmawiał PIOTR SIKORA

ARCHIWUM PRYWATNE

IGNACY DUDKIEWICZ jest bioetykiem, publicystą i dziennikarzem. Pisze doktorat na temat jakości polskiej debaty bioetycznej oraz kończy książkę o władzy w polskim Kościele. Redaktor naczelny „Magazynu Kontakt", który obchodzi w tym roku 15-lecie istnienia i z tej okazji organizuje szereg wydarzeń, rozpoczynających się Festiwalem Kontaktu. Więcej na stronie: magazynkontakt.pl.

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydziale Cywilnym w sprawie o sygnaturze akt I Ns 285/22 z wniosku GPM VINDEXUS Niestandaryzowanego Sekurytyzacyjnego Funduszu Inwestycyjnego Zamkniętego z siedzibą w Warszawie toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Arturze Dąbrowskim, zm. 24 stycznia 2019 r. w Chełmie, ostatnio zamieszkałym w Chełmie przy ul. Mickiewicza 30/21.

Wzywa się spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Lepiej nie żartuj z imama

MARCELINA SZUMER-BRYSZ

Edukacja religijna, przez dziesięciolecia spychana w Turcji na margines, ma się dziś lepiej niż kiedykolwiek. Ale dotyczy to tylko wyznawców islamu.

MURAD SEZER / REUTERS / FORUM

Uczniowie szkoły religijnej w oczekiwaniu na prezydenta Erdoğana. Stambuł, 26 maja 2017 r.

"Chodził do szkoły imam hatip, stąd ta jego perwersja" – niewinny żart wypowiedziany kilka miesięcy temu na scenie o jednym z muzyków kosztował turecką piosenkarkę Gülşen utratę wolności. W połowie sierpnia artystka została aresztowana za „podżeganie do nienawiści wobec określonej grupy". Tą grupą mieli być uczniowie i absolwenci islamskich szkół. „Ci, którzy obrażają święte wartości naszego narodu, nie uciekną przed konsekwencjami. Prowokacje przeciwko naszym świętym miejscom i naszym szkołom osiągnęły bardzo poważny poziom, ale nie damy się zastraszyć" – grzmiał na wiecu w Afyonie prezydent Recep Tayyip Erdoğan już po tym, jak sąd zgodził się zwolnić piosenkarkę z więzienia i osadził ją w areszcie domowym.

Szkoły dla imamów

By zrozumieć, dlaczego żart o szkołach religijnych wywołał wściekłość głowy państwa, nie wystarczy wiedzieć, że sam Erdoğan jest absolwentem takiej placówki. Trzeba też zrozumieć, że w czasach, gdy prezydent kończył „szkołę dla imamów" – bo właśnie idea kształcenia przyszłych duchownych legła u podstaw tworzenia takich placówek – nie cieszyły się one powszechnym szacunkiem. Poziom nauczania w szkołach religijnych uchodził za niski, a wiele ścieżek kariery, jak wojskowa czy urzędnicza, było przed ich absolwentami zamkniętych. Samych szkół nie powstało wiele, nie chodziło przecież o monopolizowanie kształcenia dzieci w świeckim kraju, radykalnie rozdzielającym kwestie religijne od państwowych.

Ale gdy islamistyczna partia Erdoğana wygrała przed 20 laty pierwsze wybory, zasady się zmieniły. Choć początkowo konserwatywni politycy skoncentrowali się na podniesieniu gospodarki z kryzysu i próbach wprowadzenia kraju do Unii Europejskiej, to po trzecich z rzędu wygranych wyborach przyszedł czas na nawracanie Turków. Jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać nowe meczety – Erdoğan lubi się chwalić, że w Turcji jest ich dziś najwięcej na świecie – nawet w miejscach, gdzie kiedyś było to nie do pomyślenia, jak kampusy uniwersyteckie. Kobiety noszące islamskie chusty zyskały możliwość studiowania (wcześniej, wybierając się na uniwersytet, musiały odsłonić włosy), zasiadania w parlamencie i obejmowania urzędniczych stanowisk.

Rewolucja nie ominęła też szkół *imam hatip*. Niszowe placówki urosły w siłę. Już wcześniej naukę w nich umożliwiono dziewczętom, mimo że w świecie islamu kobiety nie mogą pełnić posługi duchownej ani przewodzić modlitwom w meczecie. Późniejsza reforma edukacji sprawiła, że szkoły *imam hatip* otworzono również dla uczniów podstawówek (wcześniej były to szkoły średnie). Dzięki licznym trikom rządzących liczba uczniów zaczęła się zwiększać. Gdy partia Erdoğana przejmowała władzę, w szkołach religijnych uczyło się 60 tys. dzieci, dziś ponad milion. Diyanet, turecki urząd ds. religii, funduje też stypendia dla dzieci spoza Turcji, które chciałyby się uczyć w szkole religijnej.

A czego, prócz wiedzy ogólnej, tam się nauczą? Studiują Koran, życie proroków, historię islamu i – według podstawy programowej udostępnionej przez Diyanet – innych religii. Uczą się też arabskiego i oratorstwa. W programie jest też *tafsir* (wykładnia Koranu) i *fiqh* (prawo muzułmańskie).

Tyle że nie wszyscy uczą się tam z własnej woli. Turecka opozycja podawała przykłady wsi, z których dzieci jeździły do szkół odległych od ich domów. Postawiono więc bliżej nowe szkoły. Religijne.

Mniejszości w potrzasku

Podczas gdy prezydent Turcji spełnia marzenie o wychowaniu w kraju pokolenia religijnych muzułmanów, tureccy obywatele innych wyznań nie mają co marzyć o kształceniu dzieci czy przyszłych duchownych we własnych, prowadzonych przez fundacje albo wspólnoty religijne szkołach. Choć – jak podkreśla wielu tureckich chrześcijan – wraz z dojściem do władzy religijnych konserwatystów nacisk na świeckość państwa znacznie zmalał, ułatwiając życie i praktykowanie religii ↦

↦ przedstawicielom mniejszości; nikomu w Turcji nie zależy na tym, by np. prawosławny patriarchat Konstantynopola mógł na miejscu kształcić księży. By obsadzić parafie katolickie, trzeba sprowadzać księży z zagranicy. Problemy z rozwijaniem, a raczej reanimowaniem podupadającego szkolnictwa mają też Ormianie i Asyryjczycy.

Funkcjonowanie mniejszości religijnych w Turcji (przynajmniej tych, które już były na miejscu, gdy upadał sułtanat, a rodziła się republika) reguluje ratyfikowany wówczas traktat z Lozanny. Zapewnia im swobodę wyznania oraz korzystanie z praw i wolności umożliwiające ochronę własnej odrębności etnicznej i religijnej. Traktat mówi też o prawie do własnego szkolnictwa.

Ale twórcom nowej Turcji bardziej zależało na unifikacji niż kontynuowaniu tradycji wielonarodowego i wielowyznaniowego imperium. Zabór mienia, wywłaszczenia i wiele innych form utrudniania funkcjonowania to coś, z czym mniejszości borykają się od prawie stulecia. Efekt jest taki, że nawet jeśli szkoły istnieją, uczy się w nich niewiele dzieci. Uczniowie pochodzenia greckiego pytani, dlaczego nie chodzą do szkół pod auspicjami patriarchatu, odpowiadali, że poziom w nich jest za niski. Trudno, by był wyższy, gdy nie ma skąd brać nauczycieli. A mała liczba uczniów? Niektórzy nie znają greki, a to ona jest językiem wykładowym w szkole mniejszościowej. Dla innych to właśnie powód, by iść do zwykłej podstawówki czy liceum: tam nauka odbywa się po turecku. Turecki jest zaś językiem obowiązującym na egzaminach na studia.

W Turcji religijne szkolnictwo muzułmańskie bujnie się rozwija. Tymczasem tureccy obywatele innych wyznań nie mają co marzyć o kształceniu dzieci czy przyszłych duchownych we własnych szkołach.

Nie dla księdza Turcja

Nie ma skąd brać nauczycieli, nie ma też skąd brać duchownych, choć ich kształcenie na miejscu również gwarantują zapisy traktatu. Rum Ortodoks Ruhban Okulu – seminarium duchowne patriarchatu prawosławnego na wyspie Haybeli, którego mury w ciągu 130 lat funkcjonowania opuściło niemal tysiąc absolwentów, zamknięto w 1972 r. Stało się tak po wejściu w życie przepisów, które nakazywały wyższym szkołom religijnym połączenie się z wydziałem teologicznym któregoś z uniwersytetów. Walka o powtórne otwarcie placówki trwa i nosi dziś znamiona walki politycznej. By poprawić relacje z Grekami, władze Turcji sugerują, że może zgodzą się na otwarcie seminarium. Gdy relacje się ochładzają – temat upada. Erdoğan zasugerował kiedyś, że seminarium zostanie otwarte... jeśli w Salonikach stanie meczet.

Tureccy katolicy (0,07 proc. mieszkańców kraju) mają co prawda 23 szkoły i przedszkola, ale żadnego seminarium. Parafia św. Heleny w Izmirze przez lata stała pusta, zanim w 2017 r. zawitał do niej polski misjonarz ks. Dariusz Białkowski. Identyczny problem mieli przedstawiciele Kościoła asyryjskiego. Tamtejszy kościół Meryem Ana przez dwa lata pozostawał bez gospodarza po tym, jak ks. Yusuf Akbulut odszedł na emeryturę. Ostatecznie w grudniu odbyło się pierwsze od dwóch lat nabożeństwo, w którym zresztą wzięli udział liczni miejscowi oficjele.

Pusta stoi też połowa ormiańskich kościołów, w których nie ma kto prowadzić nabożeństwa. Ormiański Patriarchat Konstantynopola już nawet nie zabiega o to, by móc w Turcji kształcić duchownych, ale o to, by bez problemów ich ściągać z Armenii. Tymczasem napięte relacje między krajami znacznie to utrudniają. I tak nie do końca rozwiązuje to problem. Sprowadzony z zagranicy ksiądz nie jest obywatelem Turcji, musi starać się o pozwolenie na pobyt i wykonywanie pracy duszpasterskiej, a także przedłużać je co rok lub kilka lat. Bywało, że duchownym, bez podania przyczyny, takiego przedłużenia pobytu odmawiano.

Problemy mniejszości religijnych poruszył w parlamencie deputowany kurdyjskiej partii HDP Garo Paylan. „Nadajecie nowe prawa muftim i imamom, a odmawiacie podstawowych księżom i rabinom!" – mówił do parlamentarzystów. To było pięć lat temu.

© MARCELINA SZUMER-BRYSZ

Problem szkolnictwa mniejszości religijnych został omówiony w opracowaniu Magdaleny Szkudlarek „Polityka Turcji wobec mniejszości muzułmańskich i niemuzułmańskich w świetle standardów Unii Europejskiej", skąd pochodzą niektóre przykłady.

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

- **GLIWICE,** czwartek 15 września
  Spotkanie z Kazimierzem Tischnerem,
  „Mój brat – ks. prof. Józef Tischner"
  / stacjonarne /
- **BIELSKO-BIAŁA,** piątek 16 września
  Spotkanie z Kazimierzem Tischnerem oraz projekcja filmu o ks. prof. Józef Tischnerze,
  / stacjonarne /
- **SŁUPSK,** czwartek 22 września
  Spotkanie z prof. Andrzejem Rzeplińskim
  „Konstytucyjna demokracja"
  / stacjonarne /

REZERWUJ CZAS!

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

Więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ZUZANNA

Radzik: *Czy musimy odrzucić mężczyzn*

Drażni mnie ich rozmowa. Wielokrotnie mam ochotę przed nią uciec. Ta ich niepewność, słabość jakaś, niemożność obrony siebie. Trudno się z tym obcuje, a jednocześnie coś w tym, jak mówią i przez co przechodzą, hipnotyzuje. Być może przyciąga obcowanie z rodzącym się buntem. Te splatające się w dziwnej rozmowie o krzywdzie i konieczności ochrony siebie kobiece głosy budują ostatecznie plan ucieczki. Mimo niepewności i wielkiego tabu, które je cofa, zabrania myśleć, mówić czy decydować.

Najgorzej, że ta część historii nie jest prawdziwa. Wizja, że po fali gwałtów, która dotknęła kobiety w mennonickiej kolonii w Boliwii, ofiary buntują się i odchodzą z kolonii z dziećmi, to literacka fikcja. Prawdziwy jest zaś współczesny dramat kobiet żyjących w izolującej się od świata, patriarchalnej i religijnej społeczności. Kobiet niekończących szkół i niemówiących w języku kraju, w którym żyją, a jedynie w plautdietsch, archaicznej odmianie dolnoniemieckiego. Prawdziwe były gwałty dokonywane przez grupę mężczyzn, którzy odurzali kobiety środkiem używanym przy kastracji byków i gwałcili je w ich własnych łóżkach. Ofiar było 151, choć zapewne więcej. Równie prawdziwe było to, że męscy przywódcy zaprzeczali, iż coś się dzieje, że nie pozwolili na pomoc psychologiczną poszkodowanym kobietom, że wciąż uważają, iż należy sprawcom wybaczyć i najlepiej, by wcale nie siedzieli w więzieniu. Bo że religijna i tradycyjna wspólnota zarządzana jest wyłącznie przez mężczyzn, nie muszę dodawać.

To rzeczywistość. Jeśli ciężko w to uwierzyć, łatwo znaleźć informacje o tym, co się działo w mennonickiej kolonii Manitoba w Boliwii. Miriam Toews, która w powieści zmyśla rozmowę kobiet planujących odejść z kolonii, napisała właściwie przypowieść. I może to mnie drażni, że nie mogę pochylić się z wyższością nad zahukanymi mennonitkami, mówiąc: „No już, na co jeszcze czekacie, pakujcie się, czas w drogę". Bo to troszkę więcej. Kobiety odejdą, by być bezpieczne? A co z mężczyznami, którzy są im bliscy? Co z synami? Czy możemy ich wziąć ze sobą, czy nie znajdziemy się wtedy znów w niebezpieczeństwie? Każda mówi ze swojego doświadczenia, jedne mają wiele powodów, by swoim mężczyznom nie ufać, inne żadnych. „Czy musimy aż tak odrzucić mężczyzn, by ocalić siebie?" – pytają kobiety, podczas gdy mężczyźni z kolonii pojechali do miasta, by wpłacić kaucję za gwałcicieli siedzących w areszcie. Gdy wrócą, biskup będzie oczekiwał, że kobiety im wybaczą. Inaczej czeka je wieczne potępienie, może ekskomunika. Nie mają temperamentu buntowniczek, ale wizja przymusu wybaczenia każe im zakwestionować autorytety. Zaczynają się zastanawiać, co tak naprawdę mówi Biblia, i orientują się, że nie wiedzą dokładnie, bo nie umieją czytać. Biblię objaśniają im mężczyźni. I teraz pytanie – czy one mogą wziąć swoją wiarę we własne ręce, czy aby odejść, muszą ją porzucić? Szukają religijnego uzasadnienia dla intuicji, że muszą się chronić. Może nawet bardziej: że wolno im się chronić. Szukają poczucia własnej kompetencji w takiej interpretacji własnej religii, żeby nie była wymierzona przeciw nim. Drażni mnie ta przypowieść, ale czuję po tej niewygodzie i własnych ciarkach, że jest prawdziwsza, niżbym chciała. Oraz, jak to przypowieść – nie jest tylko o mennonitach.

Może mój odbiór zaburza to, że gdy czytam Toews, moje koleżanki właśnie siedzą w rzymskim areszcie za demonstrowanie w Watykanie przed spotkaniem kardynałów. Seksizm to grzech kardynalny – napisały na czerwonych parasolach. Protest w punkt. Co komu szkodzi, że grupa kobiet napisze na parasolach to, co i tak wszyscy wiemy: że kardynałowie to grupa sprawująca w Kościele katolickim władzę, i należą do niej sami mężczyźni. Oraz że są lata 20. XXI wieku i to już serio nie jest OK. Myślę o mennonitkach, które mają skrupuły przed burzeniem patriarchalnego porządku świata, w którym gwałty mogą pozostać nieukarane. Widzę nas, nasze strategie, niewychodzenie, negocjowanie z religijną wspólnotą, która nas i karmi, i krzywdzi.

Czy musimy odrzucić mężczyzn, by ocalić siebie? Co z naszymi synami? Czy wszyscy mężczyźni są zagrożeniem? – pytają powieściowe mennonitki. A ja im wtóruję: co z naszymi duszpasterzami? Co ze współkongregatami? Czy możemy ufać katolickim mężczyznom, którzy nie widzą krzywdy i niesprawiedliwości kościelnego patriarchatu? Jak im opowiedzieć, że to brutalna gra, która krzywdzi również ich? Jak pokazać, że katolicyzm walczący z genderem krzywdzi też ich synów? Usiadłam z tymi pytaniami i szukam pomocy u bell hooks, teoretyczki feminizmu, która pisze o mężczyznach gotowych na zmianę. Kiedyś może o niej opowiem, na razie czytam i myślę o tym, czego trzeba, by katolicyzm nie był sojusznikiem patriarchatu. ©

Serwisy specjalne: patrz szerzej

KRYZYS KLIMATYCZNY

Jak zatrzymać katastrofę

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/KRYZYS-KLIMATYCZNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

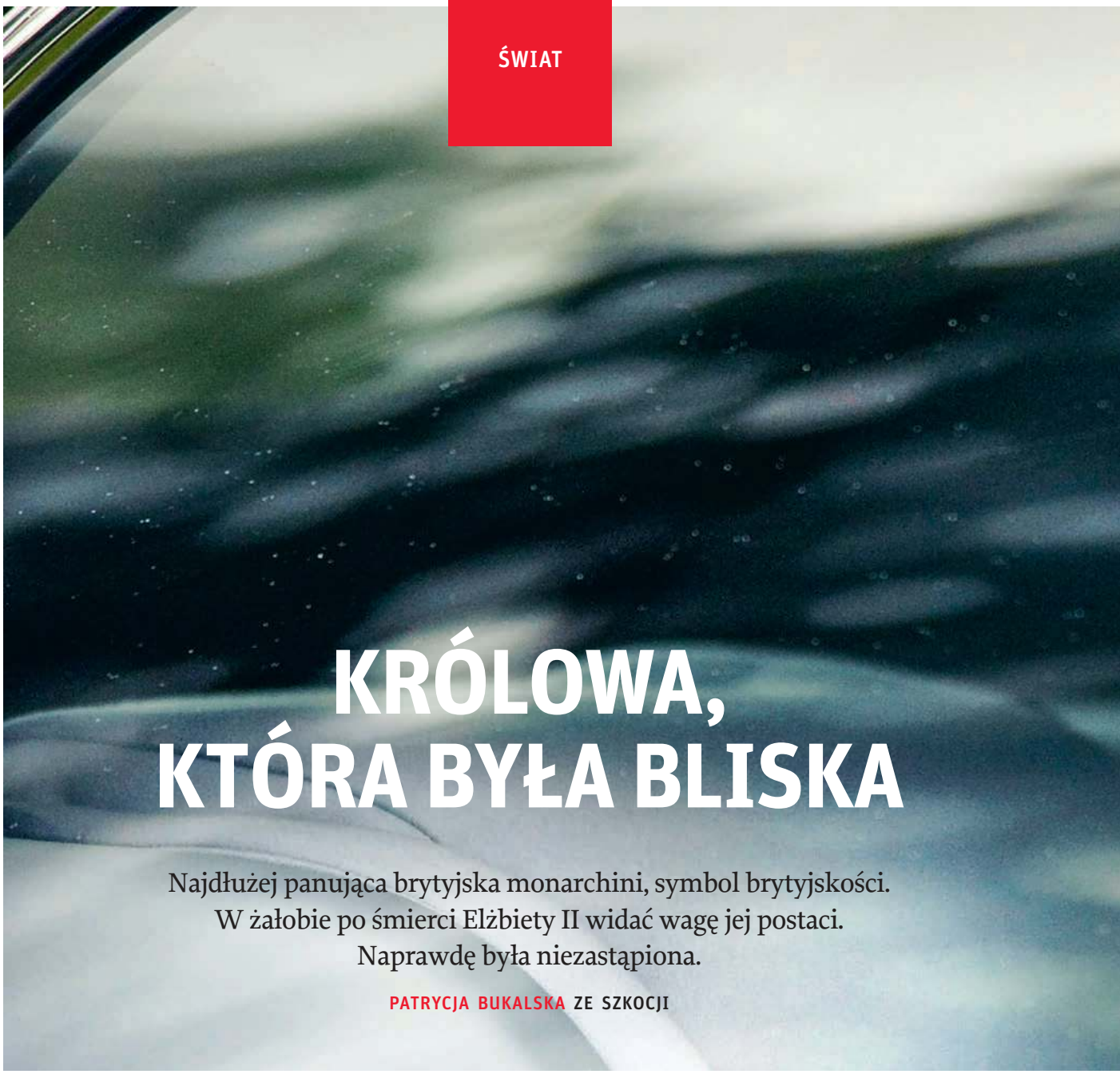

KRÓLOWA, KTÓRA BYŁA BLISKA

Najdłużej panująca brytyjska monarchini, symbol brytyjskości. W żałobie po śmierci Elżbiety II widać wagę jej postaci. Naprawdę była niezastąpiona.

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

Zapadał już zmrok, ale niebo jeszcze nie pociemniało i miało kolor ultramaryny. Odcinały się od niego podświetlone ściany zamku w Banff, małym nadmorskim mieście w szkockim hrabstwie Aberdeenshire.

Wtedy to Andrew Cook z miejscowej orkiestry dudziarzy stanął pod murem i zaczął grać „God Save the Queen". Boże, chroń Królową. To nie był przygotowany wcześniej oficjalny występ. Andrew Cook nie miał ani tradycyjnego szkockiego kiltu, ani białej koszuli, które podczas uroczystości zwykli nosić członkowie Banff Castle Pipe Band. – Nie spodziewałem się tego, co się stało. Miałem na sobie po prostu moje ubranie robocze – mówi nieco zmieszany, gdy rozmawiamy następnego dnia.

Jednak właśnie dlatego ten moment był tak przejmujący. Tego wieczoru, w czwartek 8 września 2022 r., chyba mało kto w Wielkiej Brytanii wiedział, jak w pierwszym odruchu wyrazić swoje uczucia.

Cook, mieszkający na północnym krańcu Aberdeenshire, 60 mil od królewskiej posiadłości Balmoral w Szkocji, gdzie kilka godzin wcześniej zmarła królowa Elżbieta II Windsor, po prostu zrobił to, co najlepiej robi od 24 lat: zagrał na dudach.

– Chciałem wyrazić mój szacunek dla królowej. Całe moje życie to ona była królową. Wszystko się zmieniało, ale ona nie. Nie miała nic wspólnego z polityką, była poza nią – opowiada Andrew „Tygodnikowi". – Była niezwykłą kobietą.

„For Elizabeth RIP" – tak nagranie występu Andrew ktoś opisał na Facebooku. Dla Elżbiety, niech spoczywa w pokoju.

Taki dzień

Tutaj, w Szkocji, jesień nadchodzi szybko. Ale teraz, w pierwszej dekadzie września, wrzosowiska jeszcze nie zakwitły we wszystkich swoich odcie-

MARTIN MCNEIL / GETTY IMAGES

Elżbieta II w Braemar. Szkocja, 5 września 2009 r.

niach fioletu. Krajobraz, który powoli pogrąża się w brązach i szarościach, ożywiają jeszcze owoce jarzębiny i dzikiej róży. Coraz częściej pojawiają się też mgły, tak jak w czwartek 8 września. Ten poranek był wyjątkowo szary i deszczowy. Dreich – mówią Szkoci na taką pogodę.

Tego dnia pierwsze komunikaty z Pałacu Buckingham mówiły o „zaniepokojeniu" lekarzy stanem zdrowia Elżbiety II. Ale dodawano w nich także, jakby mimo wszystko uspokajająco, że „Królowa czuje się dobrze i przebywa w Balmoral". Nic więcej.

Inne sygnały sugerowały jednak, że sytuacja jest znacznie poważniejsza. Do Balmoral, gdzie królowa przebywała od kilku tygodni, pospieszyli jej najbliżsi: syn – książę Karol – z żoną oraz córka, księżniczka Anna, a wkrótce także reszta rodziny.

W Izbie Gmin, gdzie nowa premier Liz Truss ogłaszała tego dnia swój energetyczny pakiet pomocowy – mający wesprzeć brytyjskie gospodarstwa domowe i przedsiębiorstwa w obliczu bezprecedensowego wzrostu cen energii – narastało poruszenie i niepokój. Najważniejsi politycy rządzącej Partii Konserwatywnej oraz opozycji przekazywali sobie z powagą karteczkę z jakąś informacją. Można się jedynie domyślać, iż była to informacja o tym, że sytuacja jest trudniejsza, niż sugeruje komunikat Pałacu. Potem premier Truss opuściła Izbę.

Ostatni z obowiązków

Wieczorem Pałac Buckingham wydał kolejne oświadczenie: „Królowa zmarła w spokoju dziś popołudniu w Balmoral. Król i Królowa Małżonka pozostaną dziś wieczorem w Balmoral, a jutro wrócą do Londynu". Nadmieniając o „Królu ↦

TIM GRAHAM / GETTY IMAGES

Królowa z księżną Dianą w Szkocji, 1985 r.

↦ i Królowej Małżonce", komunikat podkreślał niejako, że monarchia trwa, a na jej czele – jak zwykle w historii – z chwilą śmierci pojawia się od razu następstwo.

Elżbieta II miała 96 lat i jej odejścia można się było właściwie spodziewać w każdej chwili. – Jednak spodziewać się, a przygotować się, to dwie różne rzeczy. Na to nie można się przygotować – zauważa Andrew Cook.

Uważny obserwator mógł zresztą odnotować, że w ostatnim czasie coraz częściej zdarzało się, iż planowane spotkania i wizyty Elżbiety II odwoływano. Ustępujący na początku września premier Boris Johnson i obejmująca to stanowisko Liz Truss na tradycyjne podczas takiej zmiany audiencje musieli się udać do Balmoral – podróż do Londynu była już dla królowej zbyt męcząca.

Zdjęcia z tamtego spotkania z Liz Truss – jak się teraz okazuje, był to ostatni z oficjalnych obowiązków królowej – pokazują jednak Elżbietę II uśmiechniętą, jakby była w dobrej formie. I może też dlatego nikt się nie spodziewał, że wypadki mogą potoczyć się tak szybko. Albo nie chciał się spodziewać.

Jej czas

Elżbieta II objęła tron 70 lat temu, w 1952 r., mając zaledwie 25 lat.

Jej koronacja – przeprowadzona po niemal roku, w 1953 r. – była pierwszą taką uroczystością transmitowaną przez brytyjską telewizję.

Gdy odeszła 8 września 2022 r., wiadomość o tym błyskawicznie zalała media – społecznościowe i tradycyjne. Komentarze, zdjęcia, nagrania, animacje – wszystko to w próbie utrwalenia i opisania chwili, o której wiadomo, że jest historyczna.

Bo w zgranym już frazesie, że „śmierć Elżbiety II to koniec pewnej epoki", nie ma przesady. W ciągu tych siedmiu dekad Wielka Brytania straciła swój imperialny status, weszła do Unii Europejskiej i wyszła z niej, przechodziła przez okres gospodarczego kryzysu i przez *prosperity*. To czas, w którym człowiek wylądował na Księżycu, gdy toczyły się i kończyły wojny, zmieniała się mapa świata, społeczeństwo i jego normy.

Nie zmieniała się tylko królowa, dając mieszkańcom Wielkiej Brytanii poczucie stałości i bezpieczeństwa.

Piętnaścioro premierów

Była uosobieniem spokoju, poczucia obowiązku i godności. W 1947 r., jeszcze gdy była 21-letnią księżniczką, zapowiedziała: „Moje całe życie, czy będzie długie, czy krótkie, będzie poświęcone służbie wam". Swojej obietnicy dotrzymała.

Liczby pomagają uświadomić sobie, jak długi był czas, teraz chętnie nazywany już przez komentatorów „drugą epoką elżbietańską" (tę pierwszą, gdy w latach 1558-1603 panowała Elżbieta I Tudor, nazywa się „złotym wiekiem" Anglii).

W czasie swojego panowania Elżbieta II przyjmowała więc aż piętnaścioro premierów – dwunastu mężczyzn i trzy kobiety. Pierwszym z nich był jeszcze Winston Churchill, a ostatnim wspomniana Liz Truss, która urodziła się 101 lat po Churchillu. Elżbieta II odwiedziła sto krajów, spotykała się z trzynastoma kolejnymi amerykańskimi prezydentami i pięcioma papieżami.

Stała się ikoną popkultury – powstały o niej filmy i seriale (żeby wspomnieć choćby niezwykle popularny „The Crown"). Jej wizerunek widnieje na filiżankach, ręcznikach i grafikach, a z jej słynnych kolorowych kapeluszy można by ułożyć tęczę. Ona sama, a i królewska rodzina stały się w pewien sposób najlepszym brytyjskim towarem eksportowym – ściągając na Wyspy turystów i wzbudzając wszędzie zainteresowanie.

A jednak, mimo tej wszechobecności, niewiele jest pewnie osób, które naprawdę ją znały. Królowa była dla wszyst-

ANDREW MILLIGAN / GETTY IMAGES

Elżbieta II na zamku Stirling. Szkocja, 21 czerwca 2021 r.

kich poddanych, ale kobieta nosząca koronę – mimo pokusy spekulacji o jej uczuciach, odczuciach i poglądach – pozostaje tajemnicą, do której można tylko próbować się zbliżyć.

Nie dowiemy się pewnie nigdy, czy czuła się samotna, czy może spełniona. Czy korona jej ciążyła, czy chciałaby zmienić swoje życie. Pokazywała nam tyle, ile sama zechciała. W tych ostatnich tygodniach spędzonych w Szkocji miała być pogodna, spotykając się z bliskimi, chodząc na spacery w miejscu, z którym wiązało się dla niej tyle ważnych wspomnień jeszcze z dzieciństwa i młodości. To w Szkocji miała spędzić najszczęśliwsze chwile ze swoim mężem, księciem Filipem.

Filip, jej „źródło siły" – jak sama mówiła – zmarł w ubiegłym roku.

Małe wspomnienia

Co uderza wśród wspomnień o niej, którymi dzielą się teraz Brytyjczycy, to fakt, iż tak wielu z nich miało okazję zobaczyć ją na własne oczy. I to nie na uroczystościach w Londynie, ale w wielu, wielu małych miasteczkach, które niestrudzenie odwiedzała.

W sierpniu 1961 r. królewski jacht „Britannia" rzucił kotwicę na redzie przed portem w szkockim Macduff. Na przystani zgromadziły się setki mieszkańców, by zobaczyć, jak królowa wraz z księciem Filipem schodzą na ląd, witają się z oficjelami, a potem odjeżdżają samochodem. Od tamtych chwil minęło ponad 60 lat, ale wielu mieszkańców Macduff wciąż ten dzień dobrze pamięta, a tego lata stowarzyszenie historyczne Macduff Heritage Centre przypomniało to wydarzenie na wystawie fotografii.

– Dla Macduff to było wielkie wydarzenie. Miałem wtedy 12 lat i pracowałem w sklepie spożywczym jako chłopiec na posyłki – opowiada „Tygodnikowi" Stanley West. – Wyprosiłem godzinę przerwy w pracy, żeby pójść zobaczyć królową, ale oczywiście straciłem poczucie czasu i wróciłem do sklepu dopiero po dwóch godzinach. Szef nie był zbyt zadowolony, ale koniec końców wszystko się dobrze skończyło.

Z Macduff królewska para ruszyła wtedy do kolejnych miasteczek wzdłuż wybrzeża – sąsiedniego Banff, a potem dalej na zachód do Portsoy, Cullen, Buckie, Elgin i Nairn. Wszędzie tam ludzie zachowali wspomnienia z tego dnia i teraz chętnie się nimi dzielą. Czasem są to drobiazgi – ktoś jako dziecko biegł za samochodem, ktoś sądzi, że królowa mu pomachała, ktoś pamięta, że trzymał flagę. Te drobiazgi jednak sprawiają, że Elżbieta II stała się dla nich kimś realnym i bliskim.

Na jednym ze zdjęć z tej podróży po Szkocji królowa, jadąc samochodem, patrzy na księcia Filipa. Uśmiecha się promiennie i widać, że jest szczęśliwa. Mimo tłumu wokół wydaje się, że są tylko we dwoje.

Po zakończeniu tamtego przejazdu wybrzeżem w 1961 r. Elżbieta i Filip skierowali się do swojego Balmoral.

Co dalej z monarchią

Elżbieta II pozostawiła po sobie nie tylko wspomnienia, ale także wyzwania. Szczególnie dla swojego następcy syna Karola – teraz króla Karola III.

Wprawdzie większość Brytyjczyków deklaruje wciąż przywiązanie do monarchii, ale w znacznym stopniu tę monarchię uosabiała właśnie ona, Elżbieta. Karol III będzie musiał się dopiero bardzo starać, aby zasłużyć na podobne uznanie i szacunek. Tym bardziej że pragnienie utrzymania monarchii maleje wraz z wiekiem ankietowanych – najwięcej jej zwolenników jest wśród osób powyżej 50. roku życia, najmniej zaś, bo tylko 33 proc., wśród 18-24-latków. Demografia przemawia więc przeciwko Karolowi III.

Zmiana na tronie może być też bardziej odczuwalna w Szkocji niż w Anglii. ↦

↦ Szkoci generalnie są mniejszymi entuzjastami korony, ale Elżbietę II – jak podkreślała, składając kondolencje, premier szkockiego rządu autonomicznego Nicola Sturgeon – „kochali, szanowali i podziwiali”.

Wśród zwolenników szkockiej niepodległości – a przypomnijmy, że Sturgeon zabiega o przeprowadzenie kolejnego referendum w tej sprawie za mniej więcej rok – są i rojaliści, i republikanie. Jak dotąd w oficjalnych deklaracjach zakładano, że nawet suwerenna Szkocja pozostanie monarchią parlamentarną.

Czy teraz to się zmieni? Nie wiadomo. W badaniu opinii publicznej, przeprowadzonym przed platynowym jubileuszem królowej w czerwcu tego roku, 36 proc. Szkotów wyraziło przekonanie, że Elżbieta II powinna być ostatnią już ich monarchinią. Wiele będzie zapewne zależało nie tylko od króla Karola III, ale także od rozwoju sytuacji politycznej w Wielkiej Brytanii i na świecie.

Podobnie nie można jeszcze powiedzieć, czy i jak śmierć Elżbiety II wpłynie na *status quo* w państwach Wspólnoty Narodów, czyli w Commonwealth. Wiadomo jednak, że w wielu z tych krajów od dłuższego czasu trwa dyskusja o zmianie ustroju i porzuceniu monarchii – np. na Jamajce sprawa jest niemal przesądzona. Nieudana i obfitująca w protesty wizyta księcia Williama i księżnej Kate na Karaibach wiosną tego roku pokazała to dość jasno.

■■■

To wszystko pytania dotyczące przyszłości. Na razie trwa długie pożegnanie z Elżbietą. „Takiej królowej już nie będzie, nie w naszym życiu” – mówią zgodnie Brytyjczycy.

W pierwszy poranek bez Elżbiety II w Macduff na cały dzień otworzono kościół – dla pragnących się pomodlić czy po prostu dla potrzebujących teraz chwili refleksji.

Od tego dnia wieczorami budynek kościoła ma też być oświetlany na fioletowo.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Tekst ukończono 9 września po południu.

Ona wstrząśnie Italią

MARIA JÓZEFOWICZ Z WŁOCH

Blond faszystka, krzycząca baba – tak nazywają ją polityczni przeciwnicy. Kim jest Giorgia Meloni, najpewniej przyszła szefowa rządu w Rzymie?

Dziś, gdy trwa na dobre kampania wyborcza – głosowanie zaplanowano na niedzielę 25 września – każdego dnia we włoskiej prasie pojawia się mnóstwo informacji na jej temat i wszędzie słychać o rosnącym poparciu dla jej partii o nazwie Bracia Włosi (Fratelli d'Italia). Podnosi ciśnienie bardziej niż Berlusconi, rosnące ceny energii czy rywalizacja w Serie A. Drobna blondynka ma szansę stać się wkrótce pierwszą w historii kobietą na stanowisku premiera w Italii.

W wywiadzie dla włoskiej telewizji La7 Meloni wyznała, że gotowanie przynosi jej relaks, ale zaraz potem ze szczerością dodała, iż nie jest najlepszą kucharką na świecie. Jedyna rzecz, która zawsze wychodzi jej dobrze, to tradycyjna włoska zupa jarzynowa – *minestrina*. A co serwuje swoim wyborcom? Z jakich składników korzysta?

Kilka dni temu podczas wizyty we Włoszech, na festiwalu filmowym w Wenecji Hillary Clinton udzieliła wywiadu, odpowiadając m.in. na pytania dotyczące wrześniowych wyborów i kandydatury Meloni. Jej słowa uznania dla potencjalnej przyszłej premier zaskoczyły, zwłaszcza że nigdy nie ukrywała ona swojego poparcia dla Donalda Trumpa. Clinton przyznała, iż kobieta premier to zawsze zerwanie z przeszłością i pozytywna rzecz dla kraju. Tylko czy Meloni jest rzeczywiście gwarancją zerwania z przeszłością we Włoszech?

Giorgia bez wątpliwości

Z całą pewnością jednym z podstawowych składników politycznego sukcesu Giorgii Meloni (rocznik 1977) jest ona sama, jej wyrazista i silna osobowość.

Od lat systematycznie i pieczołowicie buduje swoją polityczną karierę. Konsekwencja to wyróżniająca ją cecha, którą nie tak łatwo znaleźć na włoskiej scenie politycznej. Jest typem profesjonalistki, prymuski. Charakteryzuje ją zdecydowany styl i od zawsze sprecyzowane, jasne poglądy. A ostatnie lata, zwłaszcza zaś miesiące, to triumfalny bieg, a raczej sprint – i samej Meloni, i jej partii Bracia Włosi: sondaże prognozują poparcie dla tego ugrupowania na ok. 26 proc., a jego popularność wciąż rośnie.

Giorgia to typ *self-made woman*, kobiety z biedniejszej dzielnicy Rzymu, która sama zapracowała na swój polityczny sukces. Takie historie Włosi lubią i takie historie premiują w wyborach.

Swoją polityczną przygodę Meloni rozpoczęła już w wieku 15 lat, wstępując do Frontu Młodzieży (Fronte della Gioventù) – organizacji młodzieżowej partii Włoski Ruch Społeczny (Movimento Sociale Italiano). Ugrupowanie to powstało w 1946 r. jako bezpośredni spadkobierca historycznego włoskiego faszyzmu i odwoływało się do podstawowych idei reżimu Mussoliniego.

W świecie skrajnej prawicy z biegiem czasu młoda Giorgia zaczęła odgrywać coraz większą rolę, zajmując wysokie stanowiska. W 2004 r. wybrana została na prezydentkę organizacji Azione Giovani, stając się tym samym pierwszą kobietą kierującą prawicową organizacją młodzieżową. Co istotne, do tego czasu historia skrajnej prawicy we Włoszech to była historia pisana przez mężczyzn, przez ich zmagania z niewygodną faszystowską przeszłością i ze sobą nawzajem.

Bombowiec przemawiający

W 2006 r., mając zaledwie 29 lat, Meloni dostała się do Izby Reprezentantów, a w 2008 r. została powołana do rządu Silvia Berlusconiego na stanowisko minister ds. młodzieży, stając się najmłodszą osobą sprawującą urząd ministra w całej historii zjednoczonych Włoch.

Od początku doskonale wiedziała, do czego dąży. Do dziś, pomimo zmieniających się niewygodnych międzynarodo-

ALESSANDRO DI MEO / EPA / PAP

Giorgia Meloni. Genua, Włochy, 12 czerwca 2022 r.

wych okoliczności i kolejnych kryzysów, Meloni jak mantrę powtarza polityczne *credo*, zdaje się niewzruszona w swojej postawie i poglądach. Posługuje się dosadnym językiem, wypowiada się jasno i stanowczo. Wyraźnie artykułuje poszczególne słowa, dba o to, by być zrozumianą przez wszystkich, co w przepełnionych najróżniejszymi dialektami Włoszech stanowi przemyślaną strategię, jasny sygnał i może przede wszystkim jest wyrazem swoistego rodzaju szacunku. Tego ostatniego nikt jej nie odmawia, Giorgia nie pali za sobą mostów, stara się rozmawiać ze wszystkimi i wszystkich (na swój sposób) wysłuchać.

Mówi dużo i szybko, ale jej wypowiedzi są przemyślane – wydaje się, że to pięta achillesowa jej potencjalnych przyszłych koalicjantów, Berlusconiego i Mattea Salviniego. Nie boi się kamer, nie boi się także przemawiać publicznie. Przez dziennikarzy i analityków politycznych nazywana jest *bomber del public speaking* (to gra słów: *bomber* we włoskiej nomenklaturze piłkarskiej to napastnik strzelający dużo goli; tu dodatkowo przemawiający publicznie). Wypowiada się z pełną naturalnością i niezwykłą pewnością siebie, czym m.in. zyskała posłuch i zjednała sobie koalicjantów. Nie ucieka od odpowiedzi i nie lawiruje jak jej polityczny partner Salvini. Ma zdanie na każdy temat. Rzadko miewa wątpliwości, a raczej nie ma ich w ogóle.

Konsekwentna opozycja

Na smak politycznej potrawy przygotowywanej przez Giorgię Meloni ma wpływ także jej stanowcza opozycyjna postawa w stosunku do wydarzeń, procesów i wartości, które dominują we włoskiej przestrzeni.

Potencjalna przyszła premier od lat krytykuje całą klasę polityczną, występuje przeciw układom, na których opiera się funkcjonowanie systemu władzy na Półwyspie Apenińskim. Wielokrotnie w wywiadach podkreślała swój sprzeciw i pogardę dla establishmentu oraz „pałacowych intryg".

Meloni mierzy wysoko. Demokracja parlamentarna ma być zamieniona w, jak ją nazywa, „demokrację decydującą". Kreśli wizję przejścia od Republiki Pałacowej (*Repubblica del Palazzo*) do Republiki Włochów (*Repubblica degli Italiani*), która ma nastąpić w wyniku fundamentalnych zmian w konstytucji. Jej idea to zburzenie pałaców, jednak na ich gruzach nie proponuje stworzyć placów spotkań, ale zbudować jeszcze wyższe mury i barykady, chroniące przed „innym".

Opozycyjna postawa Meloni przejawiła się także w jej dwóch ryzykownych posunięciach. Po pierwsze w czasach, gdy we Włoszech szalała pandemia covidu i rząd wprowadzał coraz bardziej restrykcyjne obostrzenia, przyjęła niejednoznaczną postawę w stosunku do tzw. antyszczepionkowców. Taki wybór wydawał się politycznym samobójstwem w społeczeństwie, które w ponad 90 proc. popierało wprowadzanie surowych zasad i obowiązek szczepień. Jak się później okazało, Meloni nie tylko nie chybiła, ale zdołała zdobyć przychylność niezadowolonej części wyborców.

Przeciwko Draghiemu i lewicy

Drugą jej ryzykowną decyzją było nieudzielenie poparcia dla rządu Maria Draghiego – w momencie, gdy wszystkie główne siły polityczne i zdecydowana większość Włochów nie tylko akceptowała go jako premiera, ale widziała w nim szansę na „zbawienie" kraju. To jej hazardowe zagranie wydawało się wtedy szaleństwem.

Od samego początku Bracia Włosi sprzeciwiali się kandydaturze Draghiego, byłego szefa Europejskiego Banku ↦

↦ Centralnego, widząc w nim „import" wszystkiego, co złe dla Italii – narzucanej na siłę „demokracji z zewnątrz", „dyktat świata finansów i znienawidzonej Brukseli". Decyzja Meloni obecnie procentuje, co widać w sondażach. W oczach części wyborców Liga i Forza Italia „skompromitowały się", udzielając poparcia Draghiemu, a partia prowadzona przez Meloni pozostała „nieskalana".

Przy czym Giorgia Meloni wyjaśnia rzeczywistość swoim wyborcom przez pryzmat dualistycznych postaw, manichejskich praw. Bezpardonowo dzieli świat na „my i oni", przeciwstawia sobie opozycyjne wizje.

Od początku politycznej kariery definiuje siebie w kontrze do lewicy, która staje się wrogiem numer jeden. W tym też kontekście często sięga po język wojny, definiuje siebie jako politycznego „żołnierza", samotną wojowniczkę stawiającą czoła współczesnym wyzwaniom.

Kulminacją takiego dualistycznego języka było jej wystąpienie w czerwcu 2022 r. w Hiszpanii, w Marbella, na wiecu wspierającym tamtejsze skrajnie prawicowe ugrupowanie Vox. Liderka Braci Włochów wykrzykiwała po hiszpańsku: „Tak dla naturalnej rodziny, nie dla lobby LGBT, tak dla tożsamości seksualnej, nie dla ideologii płci, tak dla kultury życia, nie dla kultury śmierci".

Głośne „nie" Meloni wystosowuje też przeciw imigrantom, „lobby LGBT" czy przeciw zwolennikom prawa do aborcji, stając w obronie „rdzennych", „prawdziwych" Włochów.

Powrót do przeszłości

Z promowanymi przez siebie ideami Giorgia Meloni nie eksperymentuje. Stawia w politycznej kuchni na sprawdzone przepisy. Odwołuje się do tego, do czego Włosi są najbardziej przywiązani – to metoda, która od lat przynosi jej sukcesy w polityce. Nie neguje przeszłości, ale raczej powraca do jej triumfalistycznych wątków. Jest jak prawdziwa włoska *mamma* – przygotowuje tradycyjne przepisy, odgrzewa kotlety (w wersji włoskiej *polpette*), bo wie, że te na pewno będą smakowały większości.

Składniki i jej słownik pozostają niezmienne: „Bóg, ojczyzna i rodzina" to triada, którą Meloni nazywa najpiękniejszym manifestem miłości (opozycja z kolei – faszystowskim mottem). Oliwy do ognia, *nomen omen*, dodaje sam symbol jej partii – płomień, nawiązujący wprost do symbolu partii faszystowskich. Gdy działacze opozycyjni wzywają do jego zmiany, ona jeszcze głośniej podkreśla: „Nie zrywamy z tym znakiem, bo to nasza historia".

Części wyborców nie przeraża skrajnie prawicowe pochodzenie polityczne Giorgii Meloni – mimo antyfaszystowskiego paradygmatu, w imię którego zbudowano powojenną Italię.

Chce podtrzymywać idee elektoratu najbardziej tożsamościowego – odwołuje się do przegranych, zapomnianych, którzy za jej rządów jak Feniks powstaną z popiołów. Meloni, jeszcze bardziej niż Berlusconi czy Salvini, zdaje sobie sprawę, że we Włoszech warto odwoływać się do poczucia tożsamości narodowej. Tej narodowej dumy i pewności siebie można się od Włochów uczyć i można im jej zazdrościć.

Tymczasem część włoskich mediów ostrzega, że „może nie będziemy mieli faszystów na Kwirynale, ale z całą pewnością coś podobnego". „Twarda" blondynka z Rzymu, zainspirowana poczynaniami Orbána na Węgrzech czy Marine Le Pen we Francji, stała się symbolem zachodniej skrajnej prawicy.

Tamten wiec w Marbelli zyskał status politycznego manifestu i uświadomił (oraz przestraszył) zachodnich polityków potencjalną nową premier. Słysząc dawne hasła w nowej odsłonie, europejscy komentatorzy zaczęli rozpisywać się o potencjalnym faszystowskim zagrożeniu. Meloni musiała zatem szybko sięgnąć po sprawdzony już polityczny makijaż, przykrywający niewygodne wątki i nieestetyczne bruzdy przeszłości.

Historia nie pierwszy raz lubi się powtarzać. Giorgia Meloni – jak w latach 90. XX w. jej polityczny guru Gianfranco Fini, ówczesny przywódca skrajnej włoskiej prawicy – wystosowała więc oficjalny komunikat, korzystając z nowoczesnych środków: w transmitowanym na żywo wideo po hiszpańsku, angielsku i francusku „wyrzekała się" niejako faszystowskiej przeszłości, zabiegając o złagodzenie politycznego wizerunku.

„Jestem kobietą"

W tym wszystkim Giorgii Meloni sprzyja szczęście.

Jej książka o odważnym, bo najprostszym tytule „Jestem Giorgia" („Io sono Giorgia") ukazała się w połowie 2021 r. i od tego czasu zdobywa coraz większą popularność. Idealny *timing*. Przedstawia w niej siebie, swoje słabości, wątpliwości i obawy. Opowiada o swojej młodości, dorastaniu bez ojca, o miłości do córki, matki i siostry. To nie przypadek, że wszystkie najbliższe jej osoby to kobiety.

Hasło „*Io sono Giorgia*" zyskało też status popkulturowego lejtmotywu. Wszystko za sprawą słynnego wystąpienia na placu św. Jana w Rzymie w październiku 2019 r. Wtedy to w emocjonalnym przemówieniu Meloni wykrzyczała: „Jestem Giorgia! Jestem kobietą, jestem matką, jestem Włoszką, jestem chrześcijanką! Nie zabierzecie mi tego!".

Nie uszło to uwadze nie tylko krytyków, ale również mediolańskich didżejów, którzy – zapętlając te hasła i dodając odpowiedni podkład muzyczny – stworzyli narodowy hit, przebój wielu dyskotek. Tym samym dość przewrotnie (i chyba wbrew intencjom) Meloni zyskała przychylność młodszej części społeczeństwa.

Rozczarowanie dla feministek

W oksymoronicznym układzie, na skrajnej prawicy przepełnionej męskimi postaciami walczącymi o władze, na pierwszy front wysunęła się więc kobieta, deklasując w ostatnich latach męskich rywali.

We wspomnianym wywiadzie Hillary Clinton powiedziała, iż „kobiety na prawicy dostają dużo większe poparcie ze strony partii. Są chronione przez patriarchat, ponieważ często jako pierwsze wspierają podstawowe filary męskiej władzy i przywilejów".

Choć przecież powinno być odwrotnie. Giorgia Meloni i jej program to bez wątpienia rozczarowanie dla feministek. Za jej kobiecością kryje się przywiązanie do tradycyjnych ról, ochrona i pielęgnowanie domowego ogniska, a nie feministyczne manifesty. Tych ostatnich nie ma w jej programie i słowach ani śladu.

Choć Clinton trafnie podsumowała wsparcie ze strony partii prawicowych dla swoich przedstawicielek, to jednak trudno zgodzić się z jej tezą dotyczącą zerwania z przeszłością. We Włoszech obserwujemy raczej paradoks innowacyjnej zmiany wstecznej – wydaje się, że pierwsza tu w historii kobieta premier zamiast do przodu będzie spoglądała do tyłu. Zamiast budować mosty i walczyć o prawa najsłabszych, będzie budowała kolejne mury i strzegła granic.

Można zaryzykować stwierdzenie parafrazujące wypowiedź Clinton: kobieta premier w wydaniu Meloni to zerwanie z przyszłością. Rewolucjonizm w postawie i hasłach głoszonych przez liderkę Braci Włochów to powrót do dawnych idei i tradycyjnych wartości.

Można by więc, razem z zaniepokojonymi włoskimi działaczkami, zadać pytanie: czy gdy władzę będzie sprawowała kobieta, młoda kobieta, to czy kultura patriarchalna zostanie pokonana czy po prostu zastąpiona przez równie brutalny matriarchat?

Recepta na ciężkie czasy?

Ale Giorgia Meloni nie została narzucona włoskim wyborcom. Nie spadła nagle z nieba i nie od dziś działa na scenie politycznej.

Mieszkańcy Półwyspu Apenińskiego mają słabość do wyrazistych, silnych postaci, pociągają ich osobowości. Może w momentach niepewności i zagrożenia wolą postawić na sprawdzony tradycyjny model, zamiast ryzykować bardziej nowoczesne rozwiązania? Meloni zapewnia stabilizację, jest uosobieniem takiej rodziny z kobietą-matką na czele, o której czytali w książkach, którą widzieli w serialach i znają z doświadczenia.

Części wyborców nie przeraża jej skrajnie prawicowe pochodzenie polityczne – mimo antyfaszystowskiego paradygmatu, w imię którego została zbudowana powojenna Italia. Faszystowska przeszłość nigdy nie została we Włoszech przewartościowana, zabrakło rzetelnej dyskusji i przejrzystego rozliczenia z byłym reżimem i jego pozostałościami.

Z drugiej strony sfragmentaryzowana lewica nie jest w stanie wyłonić i zaproponować ani dostatecznie silnego kontrkandydata, ani przekonującego programu, który przyciągnąłby wyborców. Od lat podnosi temat tzw. *quote rosa*, czyli parytetów, ale nie jest w stanie (nie chce?) znaleźć kandydatki-liderki.

Pobłażliwość, z jaką od lat spogląda się na scenę polityczną we Włoszech, usypia czujność i powoduje, że Europa może przespać moment ostrzegawczy. Giorgia Meloni ma szansę w krótkim czasie osiągnąć więcej i prześcignąć od lat budującą swoją pozycję Marine Le Pen. I stać się pierwszą damą skrajnej prawicy, która nie tylko wejdzie do rządu, ale także stanie na jego czele i będzie rządzić oraz zatrzęsie Włochami. W imię dawnych idei.

© MARIA JÓZEFOWICZ

Autorka jest doktorem nauk politycznych i dziennikarstwa, specjalizuje się w tematyce włoskiej pamięci zbiorowej i dziedzictwa ideologii faszyzmu. Mieszka w środkowych Włoszech.

„Borowik" idzie na wojnę

WOJCIECH PIĘCIAK Z BORYSŁAWIA (ZACHODNIA UKRAINA)

Ukraińskim przedsiębiorcom z klasy średniej zagrażają wojenna destabilizacja i rosnące koszty. Tymczasem w dużej mierze to od nich zależy kondycja gospodarki.

Był taki moment, gdy Myron Turczyn zwątpił. Kiedy myślał, że to koniec. A w ślad za tą myślą rozpoczął proces likwidacji ich rodzinnego przedsiębiorstwa „Borovyk" („Borowik"), które 20 lat temu założyli wspólnie z bratem Mychajłą.

Postanowili wtedy zebrać ostatnie partie hodowanych właśnie pieczarek, sprzedać towar (na ile tylko będzie to możliwe), wypłacić ludziom odprawy i zakończyć dobrze rozwijający się dotąd biznes.

Tak myśleli przez kilka pierwszych dni inwazji – wtedy gdy wydawało się, że Kijów za chwilę upadnie i że prędzej lub później Rosja dojdzie aż tu, do Borysławia, sennego 30-tysięcznego miasta w zachodniej Ukrainie, które do historii weszło już dawno temu, jeszcze za czasów austriackich, jako ośrodek wydobycia i przetwórstwa ropy.

Czy jednak można dziwić się Myronowi Turczynowi, skoro wtedy, pod koniec lutego i na początku marca, wielu zachodnich analityków oceniało, iż zorganizowany ukraiński opór potrwa najwyżej kilkanaście dni? Skoro niemal od pierwszego dnia w kolejkach do polskiej granicy ustawiły się setki tysięcy mieszkańców zachodnich przecież obwodów (nie dotarli tu jeszcze uciekinierzy ze wschodu)? Skoro na skrzyżowaniach na obwodnicy Lwowa koparki zaczęły prace ziemne przy budowie punktów umocnionych? I skoro także tu, na drogach w okolicy Borysławia, stanęły spontaniczne posterunki – organizowane przez mieszkańców, wyposażonych często tylko w broń myśliwską, mające zapobiec spodziewanemu przenikaniu rosyjskich grup rozpoznawczo-dywersyjnych?

NIE TYLKO O STRACH jednak chodziło w tamtych dniach, gdy Myron i Mychajło rozważali likwidację firmy. Inwazja wywróciła model biznesowy, według którego pracował „Borovyk" – przedsiębiorstwo zajmujące się produkcją i przetwórstwem pieczarek.

Przede wszystkim: przerwała dostawy torfu z obwodu żytomierskiego, do którego wdarli się Rosjanie. Torf z Żytomierszczyzny, mówi Myron (rocznik 1967), jest wśród ukraińskich torfów najwyższej jakości, podobnie jak ten z obwodu połtawskiego. Również tam trwały walki.

Tymczasem bez torfu nie ma pieczarek. Dobry torf to podstawa. To on, wsparty jakościowym kompostem, stanowi podłoże, na którym rosną one sobie w szesnastu halach należących do „Borovyka", na rozłożystych półkach-tarasach.

Gdy więc wtedy otrząsnęli się i postanowili, że nie zamkną firmy, że spróbują zaadaptować się do wojennych warunków – słowem: że na swój prywatny sposób stawią czoło Rosji – najważniejsze pytanie brzmiało: skąd wziąć dobry torf?

Przez pierwszy miesiąc kupowali go w Polsce, w firmie z Siedlec (Polska, zaznacza Myron, to w Europie pieczarkowa potęga, zarówno gdy idzie o produkcję grzybów, jak też o komponenty niezbędne do ich produkcji i technologię). Potem import stał się trudny – po tym, jak władze ukraińskie zniosły cła na importowane towary, zwłaszcza na używane auta, na granicy utworzyły się takie kolejki, że na odprawę celną trzeba było czekać, bywało, po kilka dni. To podnosiło koszty.

TERAZ „BOROVYK" sprowadza torf z Wołynia, z obwodu rówieńskiego. Żytomierz i Połtawa wciąż nie wchodzą w grę – działalność gospodarcza jest tam utrudniona, utrzymujące się rosyjskie zagrożenie zniechęca, część terenu jest zaminowana.

Myrona to martwi, bo torf z Rówieńszczyzny jest gorszej jakości – i w efekcie z jednego metra kwadratowego w „Borovyku" zbierają teraz po 31-32 kilo pieczarek, podczas gdy chcieliby uzyskiwać po 34-35 kilo. Albo więcej – w końcu Polacy, zaznacza Myron, jeśli tylko pracują na najlepszym torfie, uzyskują jeszcze więcej, do 38 kilo.

Oni w ciągu miesiąca produkują 110-120 ton pieczarek.

Spadek efektywności z metra to tylko jeden spośród problemów – albo, ujmując to inaczej, spośród wojennych uwarunkowań, do których musi adaptować się „Borovyk".

Nie można więc już liczyć na takie technologiczne wsparcie, jakie mieli wcześniej od kontrahentów z Polski. O ile wcześniej współpracowali tu intensywnie, o tyle teraz ci akurat Polacy, jak mówi Myron, boją się przyjeżdżać. Tłumaczył, że w Borysławiu jest spokojnie, że nie ma tu walk, i że choć alarmy przeciwlotnicze owszem wyją niemal codziennie (albo, precyzyjniej, co noc), to jak dotąd żadna rosyjska rakieta tutaj nie spadła. Nie pomogło.

Skoro o zagranicy mowa: przed inwazją „Borovyk" eksportował swoje pieczarki (świeże, nieprzetworzone) do Włoch. Współpraca rozwijała się nieźle, aż do marca – wtedy musieli wstrzymać wysyłkę. Przyczyna: problemy z logistyką, które podniosły koszty.

A jakby tego było mało, rosną też inne koszty produkcji, np. energia czy pensje (w ślad za coraz bardziej odczuwalnym wzrostem cen, np. żywności). Z drugiej strony, musieli nieco zmniejszyć cenę grzybów – widać, że siła nabywcza ludności maleje.

W efekcie bardzo zmniejsza się marża. A skoro marża maleje, brakuje środków na inwestycje. Tymczasem taka firma jak „Borovyk" nie powinna stać w miejscu – ona stale potrzebuje mniejszych czy większych inwestycji. Coś zmienić, coś ulepszyć (np. dobudować cztery hale albo żeby komputer podlewał pieczarki; teraz robią to ludzie).

– No ale, Bogu dziękować, pracujemy. To najważniejsze – mówi Myron.

Nie wszyscy mogą tak powiedzieć – jak jego znajomi: jeden z branży budowlanej, drugi hodowca kwiatów. Kto w Kijowie kupuje dziś kwiaty?

STU LUDZI: za tylu pracowników odpowiadają Myron z bratem. Po 24 lutego utrzymali zatrudnienie. Przez chwilę bali się, że pracownicy mogą uciec do Polski – Myron wie, tam branża pieczarkarska przyjęłaby ich z otwartymi rękami (w przeszłości polscy koledzy pro-

WOJCIECH PIĘCIAK

Myron Turczyn w hali swojego zakładu pieczarkarskiego. Borysław, 22 sierpnia 2022 r.

sili go nawet, by podesłał im trochę ludzi). Na koniec wyjechało tylko troje.

Obecnie prawie cała produkcja – pieczarki świeże i przetworzone (te drugie pod postacią grzybków suszonych albo w słoikach: marynowanych, faszerowanych, pasztetów warzywnych itp.) – trafia do odbiorców ukraińskich, głównie do sieci supermarketów. Ale, przyznaje Myron, na rynku zrobiło się trudniej – do niektórych regionów nie sposób czegoś sprzedawać. Np. do Charkowa: sporo grzybów suszonych trafiało do charkowskiego zakładu Nestlé. Teraz jest on zamknięty, koncern chce przenieść produkcję do Równego.

Tylko od czasu do czasu uda się sprzedać coś za granicę, ostatnio do Mołdawii.

Liczą, że gdy sytuacja się poprawi, może uda się wznowić eksport na Zachód. Ostatni ich pomysł, powstały także z myślą o eksporcie, to pieczarki suszone. Pakowane w torebki, są trwałe – i przez to odporne na kłopoty logistyczne. Można z nich zrobić zupę, można zjeść prosto z torebki. Myron mówi, że jako „pieczarkowe czipsy" smakowały żołnierzom, gdy wysłał ich partię walczącym.

Wysyłką na front – nie tylko ich produktów, ale także wszelkich innych rzeczy, które akurat są tam potrzebne – zajmuje się fundacja, którą założyli, a w której działa także Olga, żona Myrona (z zawodu lekarka, specjalistka od chorób zakaźnych i wykładowczyni na Akademii Medycznej we Lwowie). Fundację nazwali imieniem św. Judy Tadeusza – patrona spraw uchodzących za beznadziejne, niewykonalne.

DZIEWIĘĆ LAT TEMU, jesienią 2013 r., Myron Turczyn był wśród tych, którzy wyszli na Majdan po tym, jak skorumpowany i uzależniony od Rosji prezydent Wiktor Janukowycz odmówił podpisania umowy o stowarzyszeniu Ukrainy z Unią Europejską.

Jadąc wtedy do Kijowa, wiele ryzykował. Być może wszystkim, co udało mu się zbudować – można tak sądzić, znając dziś kulisy funkcjonowania kliki Janukowycza, która, bywało, zmuszała przedsiębiorców do „przepisywania" firm na ludzi z otoczenia prezydenta (czytaj: do oddawania za darmo), pod groźbą uwięzienia. Gdyby wtedy Janukowycz wygrał, dla takich jak Myron nie byłoby w tym kraju miejsca.

Jednak pojechał na Majdan, z grupą przyjaciół z Borysławia i Drohobycza – ludzi w podobnym jak on wieku, jak on mających życiowy dorobek: ktoś nieduże wydawnictwo, ktoś prywatną klinikę stomatologiczną. W kolejnych latach, gdy Rosja zajęła Krym i rozpętała wojnę w Donbasie, niektórzy z nich mieli rzucić się w wolontariat, wielu aż do wypalenia.

Gdyby jakiś socjolog badał fenomen Majdanu, mogliby być oni dowodem, że tamta rewolucja była nie tylko dziełem ludzi młodych, gotowych rzucać się „na szaniec", lecz również tych z pokolenia w średnim wieku. Dla nich Majdan to była walka o normalność, tę rozumianą jako rządy prawa, reguły, porządek, bez korupcji i strachu. Dla nich Janukowycz i stojąca za nim Rosja byli uosobieniem wszystkiego, przed czym oni chcieli ocalić swój kraj.

TAKI BYŁ SENS MAJDANU i taki jest sens walki, która trwa – teraz pod postacią pełnowymiarowej wojny. A Myron i Olga uczestniczą w niej – poprzez „Borovyka" i swoją fundację. Wierzą, że Ukraina się obroni i uda się wyrzucić Rosjan. I że znajomy Myrona będzie mógł wrócić – ten, który zbudował w Mariupolu firmę rolniczą (pieczarki, pomidory). Udało mu się uciec wraz z rodziną. Zdołali zabrać dwa auta i to, co w autach. Zamieszkali po sąsiedzku, w górach w Schodnicy; rodzina Myrona pomagała im. Zakład zajęli Rosjanie. Wierzą, że wrócą.

Dziś nikt już się nie boi, że Rosja tu dojdzie. Mniej jest strachu – ale za to więcej bólu: lokalne media, także te z Borysławia, co chwila żegnają kolejnych krajan, którzy oddali życie pod Bachmutem czy Chersoniem. Wielu wraca z ranami, fizycznymi i psychicznymi.

O nich myślał Myron, gdy niedawno usiadł pod figurką Matki Bożej. Figura, pomalowana na kolorowo, w stylu wiejskich Madonn, stoi przed ich domem. Myron lubi przy niej siadać. Pomodli się, pomyśli nad dniem, który minął.

Tam właśnie przyszedł mu do głowy pomysł: aby zbudować w górach (a góry są tu za pasem – karpackie stoki zaczynają się za rogatkami Borysławia) ośrodek rehabilitacyjny dla weteranów z problemami psychicznymi. Ośrodek składałby się z domków, w których by mieszkali i pracowali, i leczyli się, przy wsparciu terapeutów.

Tylko czy uda się na to zebrać pieniądze w czasie, gdy trwa wojna egzystencjalna i priorytetem jest raczej wsparcie dla frontu?

Ale przecież dziewięć lat temu, gdy Myron z przyjaciółmi przemykali się kijowskimi zaułkami na atakowany Majdan, gdy sytuacja wydawała się, jak dziś przyzna, krótko mówiąc straszna – przecież wtedy też mogli mieć poczucie, że rzucają się na sprawę beznadziejną. ©℗

Stracone złudzenia

MAGDALENA BARTCZAK

Niemal dwa lata temu większość Chilijczyków poparła zmianę konstytucji. Teraz jednak w referendum jej projekt spotkał się ze zdecydowanym odrzuceniem. Skąd taka zmiana?

Protestujący z transparentem „Obudźcie Chile" podczas demonstracji na rzecz nowej konstytucji. Santiago de Chile, 5 września 2022 r.

W Santiago de Chile zaczyna się wiosna – coraz dłuższe dni są jej zwiastunem. Również ta pierwsza wrześniowa niedziela, wyjątkowo ciepła, zdawała się należeć do nowego porządku. Tak czuła się Susana, gdy zmierzała do lokalu wyborczego w chilijskiej stolicy, gdzie miała spędzić ten dzień – wyznaczono ją do pracy w komisji. Obserwowała referendum konstytucyjne z bliska. Gdy otwarto urny i zaczęto liczyć głosy, jej entuzjazm zaczął gasnąć. Na początku pojawiło się niedowierzanie. Potem bezradność, która ustąpiła miejsca wściekłości. Później nadszedł smutek, który pozostał z nią do dziś.

– To miała być przełomowa niedziela. Jedna z najważniejszych w naszej historii. Rano obudziłam się z wiarą, że zwycięży zmiana. W nocy, gdy poznałam oficjalne wyniki, nie mogłam dojść do siebie. Miałam wrażenie, że cofnęliśmy się do lat 80. XX wieku – opowiada Susana.

W niedzielę 4 września była jedną z 4,8 mln ludzi, którzy oddali głos na *apruebo*, czyli za przyjęciem nowej konstytucji. Ale to poparcie okazało się niższe, niż zakładali najwięksi sceptycy: wyniosło 38 proc. Z kolei za odrzuceniem (*rechazo*) projektu opowiedziało się aż 62 proc. (czyli 7,8 mln) Chilijczyków. Tymczasem niespełna dwa lata wcześniej olbrzymia większość głosowała za odrzuceniem dotychczasowej konstytucji.

PROJEKT NOWEJ ustawy zasadniczej od tej, która wciąż dziś obowiązuje, dzieli wszystko. Liczy 178 stron i 388 artykułów, i został napisany przez Zgromadzenie Konstytucyjne, wyłonione w drodze wyborów. Szybko stał się bestsellerem: w ciągu miesiąca od momentu jego publikacji sprzedano niemal 100 tys. egzemplarzy.

Dotychczasowa ustawa zasadnicza, w chwili przyjęcia otoczona znacznie większą aurą tajemnicy, jest bardziej zwięzła: ma 95 stron i 178 artykułów. Powstała w 1980 r. i jest jedną z najbardziej namacalnych pozostałości po dyktaturze Augusta Pinocheta. Przygotowało ją grono prawników i polityków wybrane przez juntę wojskową, a jednym z redaktorów tekstu był senator Jaime Guzmán, ideolog reżimu i założyciel skrajnie prawicowej Niezależnej Unii Demokratycznej (UDI), obecnej w polityce do dziś.

Konstytucję tę wprowadzono w życie w 1981 r. na podstawie sfałszowanego przez władze plebiscytu. I choć odtąd modyfikowano ją ponad 50 razy, wciąż odzwierciedla Chile, które domaga się przebudowy. Odpowiada skrajnie neoliberalnemu modelowi narzuconemu w czasie dyktatury, określając m.in. udział państwa w gospodarce jako minimalny i ustanawiając pełen prymat tego, co prywatne, nad tym, co publiczne i wspólne.

Projekt nowej ustawy zasadniczej zawierał skrajnie odmienne propozycje. Ważną rolę otrzymało w nim państwo, rozumiane jako „socjalne" i oparte na „zasadach sprawiedliwości społecznej". To instytucje publiczne, a nie prywatne, miałyby odpowiadać za edukację, opiekę zdrowotną i system emerytalny. To byłby przełom: z kraju stawiającego na gospodarkę wolnorynkową i indywidualizm, Chile miałoby się stać czymś w rodzaju państwa opiekuńczego.

Nacisk położono też na prawa kobiet – projekt proponował budowanie „demokracji opartej na zasadach parytetu", co miałoby się przekładać na równą reprezentację kobiet oraz mężczyzn w instytucjach i w życiu publicznym. Znaczną część tekstu poświęcono też kwestiom ochrony przyrody, a „nowe Chile" byłoby „republiką ekologiczną", gdzie instytucje państwowe miałyby obowiązek „dbania o prawa świata naturalnego".

WIELE Z TYCH IDEI spotkało się z aprobatą, ale obok nich pojawiły się fragmenty, które wzbudziły kontrowersje, m.in. pomysł zniesienia Senatu i powołania w jego miejsce Izby Regionalnej, która nie miałaby funkcji ustawodawczej. Z krytyką spotkała się też proponowana definicja Chile jako państwa wielonarodowego, zamieszkałego przez 11 różnych nacji (m.in. Mapuczy, Ajmara i Rapa Nui), co według przeciwników tego terminu przeczy idei wspólnoty narodowej

JAVIER TORRES / AFP / EAST NEWS

i może pogłębić wewnętrzne konflikty. Dezaprobatę wzbudziła też propozycja utworzenia osobnego systemu jurysdykcji dla rdzennych mieszkańców, co oznaczałoby pogwałcenie idei równości obywateli wobec prawa. Wiele innych przepisów przyjęto jako niespójne lub niejasne, często sprzyjające zbyt otwartym interpretacjom bądź nadużyciom.

„Ten projekt nie proponuje rozwiązania dla pogodzenia różnic, jakie dzielą nasze społeczeństwo. Przede wszystkim dlatego, że nie jest neutralny i bezstronny – mówił Jorge Correa Sutil, prawnik i polityk należący do Chrześcijańsko-Demokratycznej Partii Chile. – Konstytucja musi mieć charakter uniwersalny, nie może stanowić formy rewanżu na przeciwnikach. Powinna dążyć do przekształcenia odmiennych stanowisk w jedno wspólne, a nie jeszcze bardziej polaryzować. Konstytucja z 1980 r. podzieliła Chile, ale z tą jest podobnie: znaczna część jej tekstu świadczy, że należy tylko do jednego sektora politycznego".

Mimo swojego wcześniejszego entuzjazmu dla procesu konstytucyjnego, Correa Sutil uczestniczył w kampanii na rzecz *rechazo*.

KRYZYS GOSPODARCZY: to także on miał być czynnikiem zniechęcającym społeczeństwo do poparcia nowej ustawy zasadniczej. Tak uważa prof. Claudio Salinas z Instytutu Komunikacji i Obrazu na Universidad de Chile. – Społeczny krajobraz jest złożony i wiele diagnoz wydaje się spóźnionych w stosunku do rzeczywistości. Ale jedno jest pewne: to nie jest tak, że Chile nagle przesunęło się na bardziej skrajne prawo – mówi mi Salinas i wskazuje na inflację sięgającą 14 proc. (najwyższa od 20 lat), znaczne podwyżki stóp procentowych, ogólne poczucie braku stabilności ekonomicznej.

– Chilijczycy ostrożnie podchodzą do wszelkich decyzji, które oznaczałyby radykalne zmiany. A biorąc pod uwagę aktualną niepewność gospodarczą, jest to czas niesprzyjający przełomom. Sądzę też, że w pewnym sensie rzeczywistość została pomylona z tym, co podpowiadało pragnienie. Nasze społeczeństwo nie jest tak progresywne, jak można by sądzić. Dlatego wiele propozycji zawartych w projekcie spotkało się z odrzuceniem – przyznaje Salinas.

– Chilijczycy pragną postępu, ale jednocześnie są dość konserwatywni, boją się nieznanego – dodaje profesor. – A kampania na rzecz projektu nie potrafiła tego strachu zamienić w nadzieję. Po drugiej stronie dużo zresztą było dezinformacji, co wpłynęło na wzmocnienie społecznych lęków. Sprawiło też, że frakcja *apruebo* dużo czasu musiała poświęcać prostowaniu przekłamań na temat nowej konstytucji. Sama kampania nie była zresztą równa; większość mediów sprzyjała opcji *rechazo*, a środki finansowe włożone w obie kampanie nie były porównywalne. To przyczyniło się do przegranej *apruebo*, choć z pewnością nie było czynnikiem decydującym.

Salinas wskazuje też na problem tkwiący w samym Zgromadzeniu Konstytucyjnym: jego członkowie nie potrafili wystarczająco dobrze komunikować się ze społeczeństwem.

Podobny argument powraca często w poreferendalnych diagnozach. Według sondażu firmy badawczej CADEM aż 40 proc. Chilijczyków wśród głównych powodów odrzucenia projektu wymieniło niezadowolenie z tego, jak wyglądały prace Zgromadzenia. I, co za tym idzie, spadek zaufania wobec jego członków.

KLĘSKA PROJEKTU wydaje się szczególnie pokaźna, jeśli weźmiemy pod uwagę wyjątkowo wysoką frekwencję: w referendum, które było obowiązkowe, wzięło udział niemal 85 proc. Chilijczyków. Opcja *apruebo* przegrała wśród wszystkich grup społecznych i we wszystkich 16 regionach kraju.

Jednym z miejsc, gdzie miała najgorszy wynik, był region Araukanii – przeciw projektowi opowiedziało się tam aż 74 proc. głosujących. Należał do nich Mapucz, Jaime Huenchuñir, dyrektor Związku Gospodarczego Mapuczy i pomysłodawca stowarzyszenia ZOFRAMA, promującego rozwój gospodarczy rdzennej ludności.

Gdy pytam go o powody decyzji, odpowiada bez wahania: – Głosowałem za odrzuceniem projektu, bo mimo że popieram 80 proc. treści w kwestiach praw rdzennych mieszkańców, pozostałe 20 proc. było dla mnie nie do przyjęcia. Nie zgadzam się z propozycją gospodarczego i politycznego uzależnienia naszej społeczności od państwa. Z przyznaniem Mapuczom praw zbiorowych kosztem niektórych praw indywidualnych. Szczególnie że myślenie kolektywne nigdy nie stanowiło podstawy naszej kultury. Mapucze zawsze byli ludem handlowców, ceniącym sobie rozwój ekonomiczny i przywiązanym do swobód. Propozycja praw przeznaczonych rdzennym mieszkańcom, jaka znalazła się w nowej konstytucji, wzorowana na modelu panującym w Boliwii i Ekwadorze, nie pomogłaby polepszyć naszej sytuacji gospodarczej. Przeciwnie: prowadziłaby do jeszcze większego zubożenia – sądzi Huenchuñir.

Dodaje, że już wcześniej, przy wyborach do konstytuanty, dał o sobie znać brak entuzjazmu Mapuczy dla jej składu zdominowanego przez środowiska lewicowe.

– Duża część naszej społeczności w ogóle nie brała wtedy udziału w wyborach. Wśród ponad 1,7 mln Mapuczy głos oddało zaledwie 20 proc. Niewielu z nas czuło też potem, że utożsamia się z wyborami, które zwyciężyły. Wynika to w dużej mierze z niskiego poparcia Mapuczy dla propozycji lewicowych. Przeszkadza nam m.in. pewna forma romantyzowania ubóstwa, jaką niektóre sektory chilijskiej lewicy czynią w stosunku do naszej społeczności – mówi mapuczański aktywista.

CO DALEJ? Gdy pytam Jaimego Huenchuñira, jak teraz wyobraża sobie przyszłość ustawy zasadniczej, mówi, że wyjście z tej sytuacji będzie trudne. Konieczne jest jednak zbudowanie wspólnej drogi. Otwarcie się rządu na oferty opozycji i przedstawienie pomysłu na to, kto miałby podjąć próbę napisania nowego projektu: czy znów konstytuanta, czy raczej wybrana komisja ekspertów.

O konieczności dialogu mówi też prof. Salinas: wskazuje, że szukając wyjścia z impasu politycy rządzącej lewicy być może zdecydują się negocjować formę dalszego procesu konstytucyjnego z centroprawicą. Bo żadna przegrana nie jest definitywna, jakieś rozwiązanie zawsze jest możliwe.

Podobny głos słyszę od Susany: – Wśród autorów projektu powinien teraz nadejść moment na autokrytykę: „co zrobiliśmy nie tak". I może my wszyscy powinniśmy pomyśleć o tym, co zostało po drodze przegapione. A potem trzeba ruszyć dalej.

Choć więc szanse na nową konstytucję zostały odsunięte w czasie, jedno jest pewne: Chile nadal pragnie zmiany i nie wyobraża sobie kroku wstecz. Czeka je jednak długa droga. Pełna społecznych paktów, trudnych wyborów i nieuniknionego zderzania się przeciwieństw. ©

Wygnańcy z Wileńszczyzny

78 LAT TEMU, późnym latem 1944 r., rządy sowieckich republik – litewskiej, białoruskiej i ukraińskiej – podpisują z polskimi komunistami (z woli Stalina aspirującymi do tworzenia rządu) umowy o „ewakuacji" ludności polskiej z ziem wschodnich II RP na tereny mające stanowić powojenną Polskę.
Przesiedlenia, które potem nastąpiły, zupełnie zmieniły także oblicze Wileńszczyzny. Po II wojnie światowej Litwini zaczęli zdecydowanie dominować w tym regionie. Tymczasem jesienią 1939 r. skład narodowościowy tej części województwa wileńskiego, którą Sowieci przekazali Litwie, przedstawiał się następująco: Polacy stanowili ok. 60 proc. ludności, Żydzi ok. 22 proc., Litwini ok. 17 proc., a inne narodowości ok. 1 procenta. W samym Wilnie Polacy stanowili wówczas 60 proc. ludności (tj. 120-130 tys. osób), Żydzi ok. 30 proc. (60 tys.), Rosjanie ok. 6 proc. (12-13 tys.), Białorusini ok. 2 proc. (4 tys.), a Litwini jedynie ok. 3 proc. (6 tys.). Przesiedlenia ludności z Litewskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej do pojałtańskiej Polski objęły ok. 175 tys. osób, w tym 170 tys. ludności polskiej oraz ok. 3 tys. żydowskiej i ok. 2 tys. osób innych narodowości (byli to Karaimi, Tatarzy, Białorusini, a także Litwini, którzy postanowili wyjechać z Sowietów).
Wileńszczyznę opuściło wówczas ok. 50 proc. ludności polskiej zamieszkującej ten region przed rokiem 1939.

ARCHIWUM PRYWATNE

O tym wszystkim rozmawiamy z litewską historyczką. **VITALIJA STRAVINSKIENĖ** jest jedną z niewielu osób, które badają temat przesiedleń ludności polskiej i żydowskiej z Litwy po II wojnie światowej. Pracuje w Instytucie Historii Litwy, jest autorką wielu książek, m.in. „Między krajem rodzinnym i ojczyzną: repatriacja mieszkańców Litewskiej SRR do Polski (1944-1947, 1955-1959)".

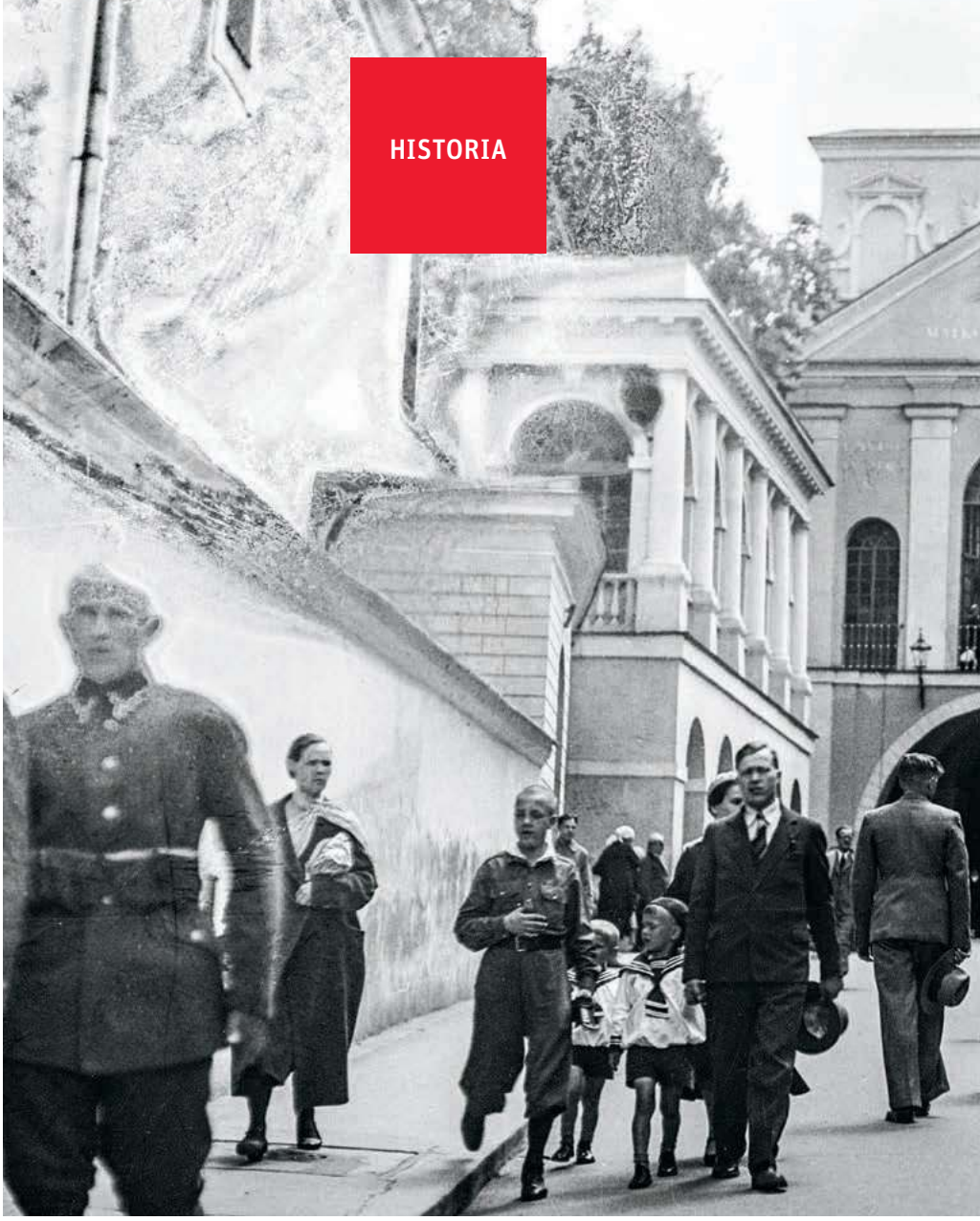

POPOLSKIE ZIEMIE

VITALIJA STRAVINSKIENĖ, LITEWSKA HISTORYCZKA:

Po roku 1945 na skutek wysiedleń Polaków z Wileńszczyzny rozpadła się miejscowa wspólnota. Wraz z polską inteligencją zniknęła część wspólnego dziedzictwa tych ziem.

ZBIGNIEW ROKITA: Pochodzę z Gliwic, które należą do Polski od kilkudziesięciu lat. Podejrzewam, że większość dzisiejszych mieszkańców mojego miasta nie wie, że przed 1945 r. Polacy nie stanowili w nim większości. A czy na Litwie wiedza o obecności Polaków na Wileńszczyźnie jest powszechna?

VITALIJA STRAVINSKIENĖ: Oczywiście, że większość Litwinów nie wie, iż Polacy stanowili tu przed II wojną światową większość. Ale nie jest to też tabu. Szczególnie młodzi interesują się tym, kto mieszkał w tej czy tamtej

NAC

Ulica Ostrobramska z widokiem na kaplicę z cudownym obrazem Matki Bożej. Wilno, czerwiec 1935 r.

kamienicy, co stało się z ich dawnymi lokatorami. Poza tym w Wilnie o tę pamięć dbają Polacy, organizuje się projekty popularyzujące historię.

Późnym latem 1944 r. zaczęły się wywózki Polaków. Czy przesiedlenia z terenu obecnej Litwy, Ukrainy i Białorusi różniły się od siebie?

Z jednej strony umowy o tzw. ewakuacji ludności polskiej z Ukrainy, Białorusi i Litwy zawarto na polecenie Moskwy – choć zachowano pozory, że powstały one z inicjatywy rządów sowieckich republik Ukrainy, Białorusi i Litwy – i dlatego nie mogły się różnić. Podobnie planowano przebieg akcji, terminy itd. Moskwa nie dawała zbytniej niezależności swoim republikom. Ale z drugiej strony akcje przesiedleńcze rzeczywiście nie były identyczne, każdy region miał swoją specyfikę. Relacje polsko-ukraińskie różniły się od polsko-białoruskich czy polsko-litewskich, inna była działalność partyzantki antykomunistycznej, wreszcie różne były interesy republik, które bądź hamowały „repatriację" – to przypadek Białorusi i Litwy – bądź ją przyśpieszały, jak na Ukrainie.

Jak było na Litwie?

Tutaj proces był bardziej liberalny i lepiej zorganizowany. Po pierwsze, Litwini zapewniali najlepsze warunki. Ludzie nie byli przewożeni zimą w otwartych wagonach-platformach. Osobne wagony przeznaczono dla matek z dziećmi i osób starszych, oferowano pomoc medyczną. Zwierzęta wieziono oddzielnie. Na Ukrainie i Białorusi tego wszystkiego nie było. W efekcie w transportach z Litwy zmarło kilkadziesiąt osób, a w tych jadących z pozostałych republik znacznie więcej.

Dlaczego Litwini hamowali przesiedlenia?

Przedstawiciele litewskiej republiki sowieckiej i powojennej Polski odmiennie interpretowali układ. Podstawową kwestią sporną było to, kto ma prawo do wyjazdu. Zdaniem strony polskiej Litwę mogli opuścić wszyscy Polacy i Żydzi, którzy do 17 września 1939 r. byli obywatelami Polski. Przyjęto, że podstawą ustalenia narodowości ma być dobrowolna deklaracja danej osoby. Za Polaka uważano więc osobę, która twierdziła, że jest Polakiem. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego [rząd powołany przez Stalina – red.] pozwolił też wyjechać Tatarom i Karaimom, którzy „przyjęli polską kulturę". Polska zamierzała przyjąć co najmniej 500 tys. Polaków spośród 600 tys. żyjących na Litwie. To zrozumiałe, gdyż w latach II wojny światowej Polska poniosła olbrzymie straty demograficzne i przesiedlani mieli częściowo je rekompensować. Władzom powojennej Polski zależało ponadto, by na jej ziemie zachodnie, niegdyś należące do Niemiec, przybyło jak najwięcej Polaków. Terenom tym groziło opustoszenie po wysiedleniu Niemców.

Jednak Litwini chcieli wypuścić jedynie 200 tys. Polaków.

Litwini obliczali liczbę Polaków na 300 tys. osób. Utrudniano przede wszystkim przesiedlenia ludności wiejskiej, gdyż w obliczu trudnej sytuacji gospodarczej nie chciano, by wieś opustoszała – ziemia miała być uprawiana. Np. w punkcie ewakuacyjnym Rzesza w powiecie wileńskim zarejestrowanych na wyjazd do Polski było ok. 41 tys., a wyjechało ok. 13 tys. osób.

Warto pamiętać, że w końcu II wojny światowej i w pierwszych latach powojennych Polacy i sowiecka administracja Litwy rywalizowali ze sobą o wpływy na Wileńszczyźnie. Proces przesiedlenia pomógł stłumić polski ruch narodowy i umocnić pozycję Litwinów w regionie oraz w jego centrum – w Wilnie. Dlatego chętnie puszczano mieszkańców miast, ↦

↦ zwłaszcza Wilna. Chciano, aby zyskało ono jak najbardziej litewski charakter i stało się prawdziwą stolicą sowieckiej Litwy. Nowo utworzona stolica republiki potrzebowała też pomieszczeń dla urzędów i mieszkań dla urzędników.

Początkowo sama strona polska spowalniała nieco proces przesiedlenia, bo nie była przygotowana na przyjęcie tak wielkiej masy ludzi. Później, w roku 1946, starano się to nadrobić. Litwini postępowali odwrotnie.

Polaków z Wilna postrzegano jako Litwinów spolonizowanych tak bardzo, że nie dałoby się ich już zlituanizować?

Pierwsze zderzenie Litwinów z wileńskimi Polakami jesienią 1939 r. było trudne. Wówczas na mocy umowy litewsko-sowieckiej Wilno – zajęte we wrześniu 1939 r. przez Armię Czerwoną – zostało przekazane przez Stalina Litwie, a litewskie władze przeniosły się tam z Kowna, międzywojennej stolicy. Związek Sowiecki przekazał Wilno Litwinom na niespełna rok, bo już latem 1940 r. sam wkroczył na Litwę i na pół wieku ją zsowietyzował.

W 1939 r. Litwini zdali sobie sprawę, że współpraca z inteligencją polską nie jest możliwa, a zwłaszcza z – jak ich nazywano – „kolonistami", którzy zjawili się na Wileńszczyźnie po akcji Żeligowskiego. Po przejęciu Wileńszczyzny jesienią 1939 r. Litwini weryfikowali mieszkańców przyłączonych ziem i zdecydowanej większości Polaków z Wilna w ogóle nie nadano obywatelstwa litewskiego.

A na wsi?

Tam prawie wszyscy otrzymali litewskie paszporty, które później, już po wojnie, stały się właśnie przeszkodą dla wyjazdu tych ludzi do Polski. Na początku 1945 r. w Wilnie liczono, że Polaków uda się zastąpić przesiedlanymi z Polski Litwinami, głównie z Suwalszczyzny, ale tych po pierwsze było niewielu, a po drugie niechętnie wyjeżdżali oni do Związku Sowieckiego. Dlatego polscy mieszkańcy wsi na Wileńszczyźnie musieli pozostać.

Wszystko to sprawiło, że charakter żywiołu polskiego na Litwie po wojnie się zmienił: zabrakło inteligencji, a pozostała ludność wiejska, gorzej wykształcona. Miało to skutki także później, gdy Litwa odzyskała niepodległość – widać to choćby w retoryce Akcji Wyborczej Polaków na Litwie.

90 proc. Polaków wyjechało z Wilna bezpośrednio po wojnie, potem wielu zrobiło to w kolejnych latach. Polacy na Litwie sprzed II wojny światowej i ci powojenni to dwie różne społeczności.

Polacy musieli wyjeżdżać?

Nie musieli, mogli zostać, ludzie zgłaszali się sami.

Co ryzykowaliby ci, którzy chcieliby zostać?

Ci spośród polskiej inteligencji i mieszczan, którzy zostali w Wilnie, ponosili ogromne ryzyko. Często sprowadzało się to do wyboru: albo jechać do Polski, albo zostać wywiezionym na Syberię, do Kazachstanu lub trafić do więzienia w Rosji. Szacuje się, że od lipca 1944 r. do listopada 1945 r. struktury sowieckiej służby bezpieczeństwa poddały tutaj represjom ponad 12 tys. Polaków.

Polski profesor nie miał szans znaleźć zatrudnienia na uczelni?

W najlepszym razie zostałby robotnikiem. Uniwersytet Stefana Batorego przekształcono na Uniwersytet Wileński, który miał być wyłącznie litewsko-rosyjski. Polska inteligencja nie miała już możliwości pracy na uczelniach czy w biurach.

Co trzymało Polaków na Litwie?

Umowy ewakuacyjne podpisano na pół roku przed konferencją jałtańską, która była w lutym 1945 r. Początkowo ludzie nie wiedzieli więc, jaki będzie ostateczny kształt granic. Dokonywał się radykalny przewrót, powszechne było poczucie zagubienia. Niełatwo rzucić wszystko i wyjechać w nieznane, np. do Wrocławia, który mógł przecież wrócić do Niemiec. Dla ludności wiejskiej dużą wartością była własna ziemia, dom i sad. Dla wilnian ważny był patriotyczny obowiązek trwania tutaj. Ludzie wybierali między ojczyzną w sensie politycznym a ojcowizną w sensie duchowym.

> Polska inteligencja, która została w Wilnie, ponosiła ogromne ryzyko. Od lipca 1944 r. do listopada 1945 r. **sowiecka bezpieka poddała tu represjom 12 tys. Polaków.**

I trudno było im w taki czy inny ich kształt uwierzyć – na przestrzeni poprzednich 30 lat w Wilnie byli Rosjanie, potem podczas I wojny światowej Niemcy, później na chwilę w 1919 r. bolszewicy, Polska, znowu Sowieci...

Zgadza się, z tym że w przeszłości zmieniała się przynależność państwowa, a ludzie na ogół zostawali w swoich domach. Poza tym do pozostania namawiał polski Kościół i podziemie antysowieckie. Wszystko zmienił jednak początek roku 1945: konferencja jałtańska, a następnie przeprowadzona przez Sowietów na szeroką skalę akcja informacyjna, że dawne polskie Kresy pozostaną już w Związku Sowieckim. Trzeba też pamiętać o represjach sowieckiej bezpieki, które wpłynęły na zmianę zdania Polaków.

Jednak do dziś w Wilnie jest sporo Polaków, a Litwa ma obecnie najwyższy na świecie odsetek mniejszości polskiej.

Ale ogromna część z polskich wilniuków przybyła do Wilna dopiero po wojnie. Według moich szacunków po przesiedleniu w Wilnie pozostało ok. 15-20 tys. dawnych wilnian-Polaków.

Skąd przybyli?

Z dwóch miejsc: z okolicznych wsi oraz z Białorusi. W roku 1989 prawie 30 tys. litewskich Polaków pochodziło z Białorusi. Albo nawet jeszcze więcej, gdyż kolejnych kilka tysięcy wyjechało do Polski w latach 1956-59.

Polacy tu ściągali, bo na Litwie żyło się lżej, były tu też warunki dla zachowania polskiej tożsamości narodowej. Władze sowieckiej Białorusi nie pozwoliły na polskie szkoły już w 1947 r., podczas gdy na sowieckiej Litwie takie szkoły funkcjono-

CAF / PAP

Polacy z ziem wschodnich przyjeżdżają do Bielawy koło Dzierżoniowa, 1946 r.

wały przez cały okres sowiecki, działały też polskie zespoły ludowe czy teatralne. To wówczas, po ustaniu stalinizmu, ogłoszono polską autonomię kulturową, na którą Polacy nie mogli liczyć na Białorusi i Ukrainie.

Niektórzy historycy twierdzą, że wspieranie polskiej kultury miało w zamyśle Moskwy osłabić kulturę litewską.

Jest taka teza, choć wydaje mi się, że najważniejszy był tu splot paru czynników. W latach 50. Moskwa zadecydowała, że Wilno stanie się nowym sowieckim centrum kształcenia inteligencji polskiej. Było na czym budować: działały tu polskie instytucje, pozostały resztki inteligencji, migrowali tu Polacy z innych regionów Związku Sowieckiego – poza Białorusią głównie z Ukrainy i Łotwy. Polska społeczność miała wewnętrzną siłę, chęć walki o swoje prawa narodowe. Taka zwarta i aktywna postawa zwróciła uwagę Moskwy i przyczyniła się do oficjalnego wspierania kultury polskiej.

Czy jednak największymi wygranymi nie byli przesiedleńcy, bo dostali bilet ze Związku Sowieckiego do Polski?

Oczywiście, że tak. Ci Polacy potracili swoje ojcowizny, ale uratowali życie. Trudno wyobrazić sobie, że po 1945 r. np. polski ziemianin, właściciel dużej kamienicy w Wilnie czy gospodarz wiejski mający 50 hektarów ziemi nie trafiłby na Sybir, z którego na ogół się już nie wracało.

Po co Sowieci wymyślili przesiedlenia? Dlaczego nie woleli pozostawić sobie dużą społeczność polską na dawnych Kresach?

W międzywojniu w tym regionie narosło wiele konfliktów wyznaniowych, klasowych czy narodowościowych, które w czasie II wojny światowej przerodziły się w zbrojne walki, takie jak konflikt polsko-litewski o Wileńszczyznę czy polsko-ukraiński o Galicję Wschodnią i Wołyń. Sowieci się tych konfliktów obawiali. Zdecydowano, że lepszym rozwiązaniem jest homogenizacja Europy Środkowej, tzn. zorganizowanie przesiedleń – tak aby w krajach regionu odsetek mniejszości był jak najmniejszy. O tym, że Polacy znikną z terenów, które Stalin przyłączy do Związku Sowieckiego, przywódca z Kremla zdecydował już na konferencji trzech mocarstw w Teheranie w 1943 r. Rooseveltowi i Churchillowi powiedział, że zamierza anektować tylko te polskie ziemie, na których nie będzie Polaków.

Na ziemiach wschodnich II RP Polacy jednak byli.

Dlatego Stalin wiedział, że gdy pod koniec wojny będą zapadały ostateczne decyzje w sprawie granic, Polaków należy się pozbyć i prowadzić politykę faktów dokonanych.

Co Litwa straciła, pozbywając się Polaków?

Władze zyskały bardziej monoetniczny kraj, natomiast stracili ludzie. Rozpadła się miejscowa wspólnota, a wraz z inteligencją wyjechała część wspólnego dziedzictwa tych ziem. Rodziny się podzieliły, bo często jeden brat wyjeżdżał, a drugi zostawał – i później nie mieli długo ze sobą kontaktu, nie wiedzieli nawet, czy krewni żyją.

Czy po tym, jak z Wilna zniknęła większość Polaków, zaczęto niszczyć polskie ślady w mieście?

Niszczono dawne ślady i polskie, i litewskie. Pozmieniano nazwy ulic, niszczono materialne dziedzictwo, uważając je za nic niewarte, bo „burżuazyjne". Podam przykład: polskie książki i dokumenty przerabiano na nowy papier, nawet archiwa miały odgórnie ustalone normy dostarczania makulatury. Dla historyków to dziś ogromna strata.

Polacy nie mogliby bezkonfliktowo żyć po wojnie z Ukraińcami na Wołyniu czy w Galicji. A czy gdyby nie było przesiedleń, Polacy i Litwini mogliby żyć w powojennych latach w Wilnie? Czy też może jednak napięcie byłoby zbyt duże?

Napięcie było bardzo duże, wiele dokumentów w tym czasie wspomina o „dzikiej nienawiści" Polaków do Litwinów, którzy „odebrali im Wilno".

To dziedzictwo międzywojnia?

Raczej II wojny światowej i m.in. zaangażowania Litwinów w Holokaust. Myślę, że gdyby nie było przesiedleń, z czasem napięcie mogłoby wygasać. Trzeba też pamiętać, że totalitarne rządy sowieckie sprawiałyby, iż konflikt polsko-litewski nie mógłby eksplodować. A po 1990 r., gdy Litwa odzyskała niepodległość, tamte napięcia pewnie nie odrodziłyby się już z takim natężeniem. Może też część polskiej mniejszości nie szukałaby pomocy w Moskwie, jak robiła to w przeszłości.

© Rozmawiał ZBIGNIEW ROKITA

NAUKA

STARUNIA

Nie zobaczymy tu potoków spływającej lawy, ale możemy zostać ochlapani błotem. Poczujemy też zapach ropy naftowej i przekonamy się, jak historia naturalna może się spleść z industrializacją.

MARTA PANAS-GOWORSKA, WALERY OMIELCZENKO

Wulkany kojarzą nam się ze zniszczonymi antycznymi miastami, gorącą magmą, skalistymi wyspami, tsunami czy odwołanymi lotami. To dobre skojarzenia, jeśli myślimy o wulkanach magnowych, występujących na powierzchni lub pod wodą. Istnieje jednak inny typ wulkanów, które wiążą się z ropą naftową i industrializacją, a zamiast magmy i pyłów – wyrzucają błoto. I mogą powstać z dnia na dzień.

Historia najbliższego polskiej granicy wulkanu błotnego zaczyna się w Rumunii, na styku Zewnętrznych i Wewnętrznych Karpat Wschodnich. Co kilka dekad obserwuje się tam wzmożenia sejsmiczne, ale do najpoważniejszego w dziejach regionu trzęsienia ziemi doszło 4 marca 1977 r. Wstrząsy

KATERINA RADŁOWSKA

o sile 7,4 stopnia w skali Richtera poczyniły ogromne zniszczenia, przyniosły śmierć przeszło tysiąca osób, a drżenie ziemi można było odczuć w południowej Polsce czy głęboko w Rosji. W połowie drogi zaś między Lublinem a epicentrum, 34 km od Iwano-Frankiwska, na obszarze borysławsko-pokuckiego zapadliska przedkarpackiego, w ciągu nocy wyrósł wulkan.

Najpierw go poczujemy

Daleko mu do wulkanów z najczęstszych wyobrażeń i próżno zadzierać głowę, żeby zobaczyć jego krater i unoszące się dymy. Raczej będziemy się do niego przedzierać przez chaszcze, a potem spoglądać pod nogi i najpierw go poczujemy, a dopiero potem zobaczymy.

Objawił się 100 metrów od zabudowań wsi Starunia na wzniesieniu zwanym Fabryką. Początkowo był to metrowy stożek, przypominający termitierę, z maleńkim kraterem, wypluwającym błoto i śmierdzące gazy. Przez kolejne lata rozwijał się i dziś jest to 8 czynnych i 12 nieczynnych kraterów. W miejscach aktywnych wulkan wyrzuca nie tylko ilasto-piaszczystą maź, ale i pluje ropą. Materiały, opalizujące kolorami tęczy, spływają w dół. Takie minipotoki liczą od 10 do 60 m i w żaden sposób nie zagrażają ludności.

Miejscowi, przynajmniej do niedawna, mieli jednak ambiwalentny stosunek do wulkanu: obawiali się wyziewów i stronili od niego. Naukowcy przebadali okolicę i oprócz charakterystycznych gazów wulkanicznych, zawierających m.in. siarkowodory, czy bąbli gazu ziemnego, wykazali nieznacznie tylko podwyższoną radiację, niemającą wpływu na zdrowie. Okoliczna fauna i flora zdaje się mieć na ten temat odmienne zdanie i wokół kraterów nie spotkamy ani ptaków, ani drobnych gryzoni. Wokół stożków nie rośnie też trawa, co przypomina do złudzenia ślady po sporych ogniskach.

I choć wulkan ten nie jest czymś niespotykanym nawet w Karpatach, wart jest uwagi. Po pierwsze, w odróżnieniu od innych rumuńskich wulkanów błotnych, wypiętrzenie w Staruni było tylko częściowo naturalne, bo dynamika procesów, zainicjowana trzęsieniem ziemi, współzależała od istniejących tu podziemnych szybów i sztolni. Naocznym dowodem tej kooperacji przyrody i przemysłu jest tzw. wieczny ogień, na który natrafimy nieopodal. Nie jest on bezpośrednio związany z wulkanem i od 30 lat nieprzerwanie płonie w miejscu, w którym kiedyś znajdowała się rura, odprowadzająca gaz ziemny. Inaczej niż w przypadku słynnych tureckich Ogni Chimery, nie doszło do samozapłonu i raczej, jak w turkmeńskich Wrotach Piekieł, to człowiek podpalił wydzielający się tu gaz. Ale to pokazuje, że sam wulkan, jak i prawie niewidoczna dziś pokopalniana infrastruktura stanowią unikalny kompleks, łączący historię naturalną z dziejami industrializacji.

Wulkan błotny w Staruni, Ukraina. Kilka niewielkich kraterów powstało po trzęsieniach ziemi, na terenie, z którego kiedyś pozyskiwano mieszaniny węglowodorów. Obok płonie ulatniający się gaz ziemny.

Po drugie, wulkanczik, czyli wulkanik, jak pieszczotliwie nazywają go badacze, okazał się bardzo czułym wskaźnikiem procesów sejsmicznych, zachodzących w promieniu aż 6 tys. km. Przekonano się o tym już w 1979 r., kiedy po trzęsieniu ziemi we Włoszech, 60 m na zachód od istniejącego już staruńskiego krateru, pojawił się kolejny, a w 1981 r., po wstrząsach w Iranie, wypiętrzyły się cztery następne.

Nasza Alaska

Starunia nie zawsze była cichą, dwutysięczną wsią – od drugiej połowy XIX w. do lat 30. XX w. liczyła się na górniczej mapie Galicji i Lodomerii. Wydobywano tam wosk ziemny, który najpierw za Stanisławem Staszicem zwano woskiem górskim, choć szybko rozpowszechniła się stosowana do dziś nazwa ozokeryt (od gr. „śmierdzący wosk"). Początkowo z tej mieszaniny węglowodorów, po oczyszczeniu, odlewano świece; taki materiał był dużo tańszy od wosku pszczelego.

Ale prawdziwy boom na tę kopalinę rozpoczął się w latach 80. XIX w., gdy elektryk Sebastian Ziani de Ferranti zaczął używać papieru nasączonego ozokerytem jako izolatora dla przewodników. Rozwiązanie to wykorzystano do zabezpieczenia transatlantyckiego kabla i zapotrzebowanie na ozokeryt pikowało. Na świecie głównym miejscem jego wydobycia był okręg borysławski oraz nieco mniejszy, choć liczący się, rejon Staruni. I tu właśnie, chaotycznie i gęsto, nieraz po dwa na działce o powierzchni 10 metrów kwadratowych, powstawały szyby kopalniane i wyrobiska.

Na żyły czy pokłady tej substancji można było natrafić stosunkowo płytko, bo od 10 do 25 m pod ziemią i ok. 1870 r. naliczono w okolicy 100 starych studni i wyrobisk oraz 70 nowych szybów. Eksploatowano ok. 50 z nich, wydobywając rocznie do kilku ton ozokerytu z każdego. Wizja dużych zysków ściągnęła do Staruni Niemców i na początku XX w. oszacowali oni, że tutejsze zasoby mogą wynosić nawet 1 mln ton. W dwudziestoleciu międzywojennym substancja ta zaczęła jednak tracić na znaczeniu, a wobec okolicznych, rentowniejszych złóż gazu i ropy, jej wydobycie przestało się opłacać. Równocześnie zagłębia Galicji przestały się liczyć w skali globalnej i nikt już nie nazywał tutejszych miast i wsi „naszą Klondike" czy „naszą Alaską", także ↦

↦ dlatego, że nowo wytyczona granica podzieliła ową „naszość”. Mimo to po II wojnie światowej w okolicach Staruni Sowieci kontynuowali wydobycie i ostatnią z kopalń zamknięto w 1960 r. Szacuje się, że łącznie wyeksploatowano mniej niż procent dostępnego surowca. I dziś wulkan błotny co i rusz wypluwa drobiny ozokerytu, przypominając o tych zasobach.

Nosorożec celebryta

Starunię, bardziej nawet niż kopaliny, rozsławiły jednak odkrycia paleontologiczne i na imię tej miejscowości natkniemy się m.in. w londyńskim Muzeum Historii Naturalnej. Znajduje się tam gipsowy odlew nosorożca włochatego, tzw. „drugiego”, wydobytego właśnie w Staruni. Oryginał wyeksponowano w krakowskim Muzeum Przyrodniczym, gdzie stał się symbolem i wizytówką tej instytucji. I nie ma co się dziwić, bo jest to jedyny na świecie kompletny, ze skórą, mięśniami, organami wewnętrznymi i szkieletem, okaz tego wymarłego w końcówce epoki lodowcowej gatunku.

W gablotach krakowskiego muzeum ustawiono także „trzeciego” oraz „czwartego” nosorożca ze Staruni, ale żaden z nich nie zachował się już w całości. Przy czym historia tych odkryć jest nieprosta i, jak twierdzi prof. Stefan W. Alexandrowicz, niejednoznaczna. Zdaniem geologa z AGH losy zwierząt musiały być powiązane z jakąś zmienną, np. klimatyczną. Wielu badaczy przyjęło też hipotezę powodzi oraz materialnej przegrody, znajdującej się w Staruni, na której zatrzymywałyby się zwłoki, przykrywane później ilastą skałą.

Obecność węglowodorów i soli – w okolicy odkryto aż 11 rodzajów solankowych wód mineralnych – sprzyja procesowi fosylizacji, a więc beztlenowemu kamienieniu. W ten sposób powstały niegdyś złoża węgla i tak też nosorożce i mamut ze Staruni nie rozłożyły się i przekształciły w częściowe skamieliny. Badacze z Iwano-Frankiwska, którzy prowadzili tam wykopaliska na przełomie lat 70. i 80., twierdzili, że do paleontologicznej intrygi mogli przyłożyć się również ówcześni ludzie, budujący pułapki, w które wpadały zwierzęta. Za takim scenariuszem miały przemawiać odkryte w okolicy ślady różnych osad, ale późniejsze badania sugerowały, że ślady te są znacznie młodsze od szczątków nosorożców.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Bardziej niż kopaliny Starunię rozsławiły odkrycia paleontologiczne, m.in. szczątki nosorożców włochatych, żyjących 35-40 tys. lat temu. Na zdjęciu: „drugi” nosorożec, zachowany w najlepszym stanie, zakonserwowany w występujących tu ozokerycie i soli kamiennej, odkryty w 1929 r.

Uporządkujmy historię tych znalezisk – na które z pewnością wpływ wywarł „czynnik ludzki”. W ostatnich dekadach XIX w. nieopodal Staruni, przy ujściu potoku Rynne do Wielkiego Łukawca, odkryto „pierwszego” nosorożca włochatego i szczątki mamuta. Nikt się nimi nie zainteresował i wrzucono je do nieużywanego szybu i zasypano. Po kilku latach nad Rynnem działało już przedsiębiorstwo z Hamburga i jego pracownicy w 1907 r. trafili na te same szczątki. Tym razem mieli świadomość doniosłości znaleziska, które ostatecznie trafiło do Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie, choć nie obyło się bez zamieszania i jeden z robotników wyciął kawałek skóry mamuciej, aby uszyć z niej buty. Sprawa trafiła do sądu i nakazano zwrot przywłaszczonego fragmentu.

Na tym się nie zakończyło – prof. Maciej Kotarba z AGH w jednej ze swoich prac cytuje list starosty lokalnego powiatu Seweryna Wasilewskiego do namiestnika Galicji Andrzeja Potockiego, wychwalający dyrektora kopalni, który przekazał „bez żadnego wynagrodzenia” okaz „nie tylko bardzo doniosłej wartości naukowej, ale i wartości realnej”. Dalej zaś Wasilewski prosił, aby takiego dobrodzieja uhonorować tytułem Cesarskiego Radcy i Krzyżem Orderu Franciszka Józefa.

Przerwa na wojnę

Mimo perypetii znaleziska trafiły w końcu do gablot i do dziś pozostają w zbiorach lwowskiego muzeum przyrodniczego. Wtedy też zrobiło się głośno o Staruni jako miejscu obfitującym w skarby historii naturalnej. Wybuch I wojny światowej przerwał badania i wrócono do nich dopiero po dekadzie. Region został włączony do Polski, ale krakowscy uczeni, pod kierownictwem Eugeniusza Panowa z AGH, długo zabiegali o środki. W końcu, wsparci przez Fundusz Kultury Narodowej, pojawili się w 1929 r. Poszukiwania zaczęli latem, a w październiku odnaleźli w kawernie wypełnionej ropą i solanką świetnie zachowanego, kompletnego nosorożca. „Drugi” miał nawet kępki sierści.

Po 1944 r. Starunia znalazła się w Ukraińskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej i Polacy mieli utrudniony dostęp do tamtejszych stanowisk badawczych. Dopiero po 1992 r., już w niepodległej Ukrainie, krakowscy naukowcy, przy wsparciu logistycznym uniwersytetu w Iwano-Frankiwsku, mogli wrócić, a do badaczy z AGH dołączyli też członkowie PAN-u. Niedawno zaś naukowcy z Iwano-Frankiwska powołali tam Ukraiński Narodowy Rezerwat Geologiczny „Starunia” i wespół z mieszkańcami organizują „Park epoki lodowcowej”, aby uczyć najmłodszych oraz ściągać turystów.

Niestety rosyjski atak na Ukrainę uniemożliwia, przynajmniej na razie, kontynuację badań i działalność popularyzatorską. Potwierdzono natomiast, że wulkan reaguje nie tylko na wstrząsy naturalne, ale też przemysłowe i kiedy wydarzają się silne tąpnięcia kopalniane, jego aktywność wzrasta w sposób mierzalny. Okolice Staruni zaś to także na południe: Przełęcz Tatarska i Worochta (w linii prostej ok. 50 km), Jaremcza (25 km), Delatyn (20 km) oraz na północ lotnisko w Iwano-Frankiwsku (ok. 25 km). Wszystkie te miejsca zostały ostrzelane przez Moskwę m.in. z broni hipersonicznej.

Na razie jeszcze nie badano reakcji błotnego wulkanu w Staruni na takie wstrząsy, ale, jak twierdzi Katerina Radłowska z katedry ekologii na uniwersytecie w Iwano-Frankiwsku, „taki wpływ bez wątpienia istnieje – i wymaga zbadania”.

© MARTA PANAS-GOWORSKA, WALERY OMIELCZENKO

TOMASZ

Stawiszyński: *Gra o władzę*

Statystyki czytelnictwa i oglądalności jednoznacznie wskazują, że zbiorową wyobraźnią globalnej Północy niepodzielnie włada dzisiaj George R.R. Martin. Amerykański pisarz, autor monumentalnej sagi *fantasy*, która – choć językowo nie nazbyt wyrafinowana, w każdym razie, jeśli porównać ją pod tym względem z dziełami Tolkiena czy Le-Guin – z rozmachem, a zarazem bezwzględną precyzją opisuje świat wojen i krwawych konkurów o władzę. Nie ma co ukrywać, jest w tym Martin – jak również podążający za jego wizją scenarzyści i reżyserzy, wcześniej „Gry o tron", a teraz „Rodu smoka", który niedawno zadebiutował w serwisie HBO Max – mistrzem. Jak nikt potrafi sportretować rzeczywistość całkowicie pozbawioną złudzeń, ozdobników i zasłon dymnych. To zaś, co z niej pozostaje, po skrupulatnym usunięciu wszystkich tych kulturowych i cywilizacyjnych mimikr w postaci mitów, ideałów czy wyższej moralności, jako żywo przypomina krajobraz rodem z późnego okresu twórczości Zygmunta Freuda.

A mianowicie: pole bezwzględnej walki pomiędzy Erosem i Tanatosem. Biologicznym instynktem życia o proweniencji seksualnej oraz biologicznym instynktem śmierci – pragnieniem destrukcji, a zarazem, paradoksalnie, powrotu do poprzedzającego świadomość prastanu nieorganicznego znieruchomienia. Nie od rzeczy byłoby tu jeszcze uzupełnienie tego opisu diagnozami pierwszego psychoanalitycznego heretyka, czyli Alfreda Adlera, niesłusznie dziś niemal zapomnianego. Ten austriacki lekarz, który odważył się przeciwstawić charyzmatycznemu twórcy nowego paradygmatu w psychologii (co, nawiasem mówiąc, kosztowało go tę znajomość), widział człowieka jako istotę pochłoniętą bez reszty pragnieniem dominacji. Nic innego – powiadał Adler – się nie liczy. Oto podstawowy silnik wszelkich ludzkich fantazji i działań, oto podstawowy silnik wszelkiej ludzkiej kultury: przemożna chęć podporządkowania sobie innych, pragnienie triumfowania nad nimi. Reszta to bajki.

Wydaje się, że autor „Gry o tron" w całej rozciągłości te pesymistyczne psychoanalityczne diagnozy podziela. W realiach jego powieści środki służące sublimacji instynktów – mitologie, instytucje, kulturowe narracje, słowem: bogata tkanka społeczna, w której drobiazgowych demaskacjach i dekonstrukcjach tak lubował się Freud – są niemal przezroczyste i nie trzeba się zanadto wysilać, żeby dostrzec przezierającą przez nie straszną prawdę. Quasi-średniowieczny i wzbogacony elementami fantastycznymi – nawiasem mówiąc, ziejące ogniem smoki doskonale nadają się na symboliczne upostaciowienie rozmaitych nieokiełznanych popędów – sztafaż jest tu oczywiście nieprzypadkowy. W porównaniu jednak ze światem Targaryenów i Lannisterów, nasze historyczne średniowiecze jawi się niczym epoka spokojna i niemal wolna od przemocy.

Że autor ma ochotę przenosić na papier – inni zaś na ekran – swoje własne, choćby i najczarniejsze, najbardziej brutalne wizje, to sprawa wiadoma i oczywista. Ale że cieszą się one akurat dzisiaj tak niesłychaną popularnością – nad tym warto się z pewnością zastanowić. Mając przy tym w pamięci rozpoznanie pewnego XX-wiecznego mitoznawcy, który powiadał, że popkultura jest czymś na kształt oceanu zbiorowych snów, fantazji, pragnień, a także powszechnie przyjmowanych, choć nie zawsze uświadamianych i artykułowanych wprost przekonań.

Czy zatem faktycznie gigantyczna popularność „Gry o tron" – a wcześniej np. serialu „House of Cards", który choć z pozoru zupełnie inny, operuje przecież podobnym rozpoznaniem ludzkich spraw – świadczy o tym, że znaczna część z nas tak właśnie postrzega rzeczywistość? Jako bezwzględną, brutalną walkę o władzę, prestiż, pieniądze i seks? Cała reszta natomiast to tylko mniej lub bardziej wymyślne formy kamuflażu mającego odwrócić uwagę od tego, co tu jest esencją?

To pytanie rzuca nieco inne światło na wciąż aktualny spór pomiędzy tzw. realistami a tzw. idealistami, którzy kłócą się o napaść Rosji na Ukrainę. Wedle realistów – na czele z Johnem Mearsheimerem, ale i Noamem Chomskym, o którym pisał niedawno na łamach „TP" Jakub Majmurek – międzynarodowa polityka przypomina jako żywo „Grę o tron". I – nie ma wyjścia – trzeba się z tym po prostu pogodzić. A w każdym razie przestać udawać, że jest inaczej, bo ostatecznie wszystko i tak się do tego sprowadza, czy tego chcemy czy nie. Logika polityki jest bezwzględna i bezlitosna, silny wygrywa, słaby musi się podporządkować (jak u Adlera) – twierdzą owi realiści. Wedle idealistów natomiast, nawet jeśli tak jest, to nie znaczy, że tak być musi, a tym bardziej, że tak być powinno.

Cóż, pozostaje mieć nadzieję, że Martin z Freudem i Adlerem jednak nie mają racji. Choć przyglądając się temu, co dzieje się w Ukrainie, oraz – a może przede wszystkim – wielkim interesom i kalkulacjom, które temu wszystkiemu towarzyszą, trudno nie poczuć się niczym bezradna jednostka zagubiona gdzieś na rubieżach Siedmiu Królestw. I może właśnie dlatego fantazje o mocarnych a pozbawionych skrupułów wojowniczkach i wojownikach, którzy siłą lub podstępem sięgają po absolutną władzę, cieszą się dzisiaj taką popularnością. ©

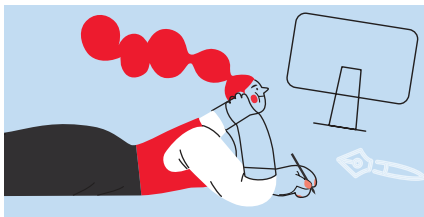

Serwisy specjalne: patrz szerzej

POLSKA SZKOŁA

Uczniowie, nauczyciele i lekcje do odrobienia

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/SZKOLA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

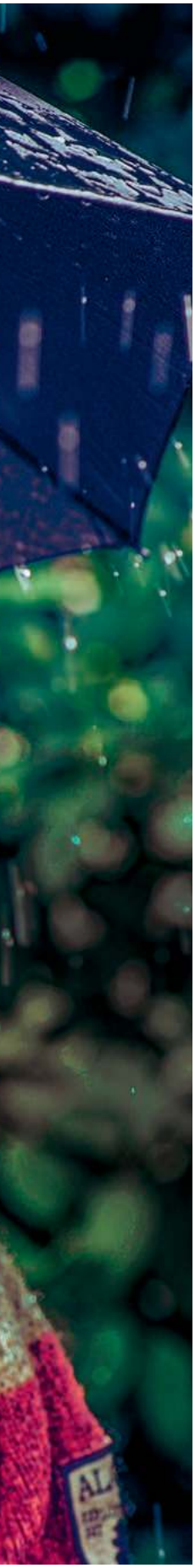

ŁUKASZ GIZA / AGENCJA WYBORCZA.PL

ŻYCIOPISANIE

FILIP ZAWADA, PISARZ:

I w matriarchacie, i w patriarchacie ktoś będzie bity, bo to zawsze walka o władzę, o bycie lepszym. Czy nie czas, by w końcu zacząć się dogadywać?

FILIP ZAWADA (ur. 1975 we Wrocławiu) – poeta, prozaik, muzyk i fotograf. W 2011 r. za debiutancki zbiór opowiadań „Psy pociągowe" otrzymał nominację do Nagrody Literackiej Gdynia. W 2019 r. ukazało się „Rozdeptałem czarnego kota przez przypadek" (finał Nagrody Nike 2020). Wydał sześć tomów poezji, za „Trzy ścieżki nad jedną rzeką sumują się" nominowany do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius (2014). Grał m.in. w zespole Pustki, skomponował muzykę do kilkunastu przedstawień teatralnych i filmów. Autor i współreżyser monodramu „Widzę nic" (Wrocławski Teatr Współczesny, premiera marzec 2022 r.). Właśnie ukazała się jego nowa książka „Weź z nią zatańcz".

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Pierwsze skojarzenie ze słowem rodzina?

FILIP ZAWADA: Kalafior. O, widzę, że cię zaskoczyłem.

Zaskoczyłeś.

Kalafior to kwiat, który nie do końca jest uznawany za kwiat, większość myśli, że to warzywo. Poza tym ma w sobie nieskończoność.

Istnieje coś takiego jak zbiór Mandelbrota. Polega na tym, że gdy się rozcina jakąś rzecz, to ta rzecz jest coraz mniejsza, ale identyczna. Powtarza się ten sam, bardzo skomplikowany wzór – fraktale pączkują. W ten właśnie sposób myślę o rodzinie. Jakkolwiek byśmy ją dzielili albo próbowali zniszczyć jej kształt, będzie on identyczny, tylko być może mniej zauważalny. I choć od zawsze rodzina była kwiatem, to często traktujemy ją jak pożywne warzywo. Tak o tym teraz sobie myślę, chociaż na twoje pytanie odpowiedziałem bez zastanowienia.

Po zastanowieniu dalej kalafior?

Tak, myślę, że fantastycznie mi się to wymyśliło. W ogóle w ten sposób staram się pisać. Jeżeli nie odpuszczę przekonania, że muszę stworzyć coś wspaniałego, mądrego, wyjątkowego, rzucającego mnie i innych na kolana, to nie jestem w stanie nic zrobić. Pisanie musi przyjść do mnie skądś.

Skąd?

Ciężko namierzyć źródło, impuls. Być może jak pan Wiesław Myśliwski nie złapie wszystkiego, jakaś część z tego dolatuje do mnie.

To żart. Kiedy odpuszczam i nic nie muszę, pojawiają się myśli. Mam do nich zaufanie. Wiem, że przyjdą, gdyż mam życiopisanie.

Życiopisanie?

Budzik nastawiam na za piętnaście ósma – teraz już jestem starszy i wstaję późno. Piszę od rana do trzynastej. Później obiad, idę do pracy, czyli uczyć fotografii. Kładę się spać o 23.00 i następnego dnia to samo.

Czyli pisanie bierze się z prozy życia?

Bierze się z tego, że ciągle na nie czekam i jestem ciekawy, co przyniesie. Jednak by nie zwariować, muszę tę ciekawość zamknąć w ramach godzinowych.

„Weź z nią zatańcz" – Twoja ostatnia książka, dotycząca relacji syna i matki – też wynika z czekania i ciekawości?

Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że to opowieść o matce, ale ta książka jest również o relacji syna z nieobecnym ojcem. Ojcem umarłym. *De facto*: o relacji syn – duch ojca.

I jednocześnie jest próbą zobaczenia męskości z różnych perspektyw, w tym poprzez związki z kobietami.

↦

↦ Niechętnie mówię o kobietach, ze względu na to, że teraz kobiety stoją na piedestale. Nadszedł ich czas i nie wolno ich niczym urazić, powiedzieć czegokolwiek krytycznego, bo robi się afera, szum, oskarżenia. Teraz mnóstwo agresji skierowanej jest na mężczyzn, zbierają cięgi za patriarchat, uprzywilejowaną pozycję w świecie, za to wszystko, co było.

To wszystko, co było przez wieki i co kobiety w milczeniu znosiły.

Dla mnie istotne jest, by w mojej książce pokazać, że autor nie jest za kobietami ani za mężczyznami, tylko za relacją między nimi.

Czyli poszukiwanie złotego środka?

I w matriarchacie, i w patriarchacie zawsze ktoś będzie bity. Bo to zawsze walka o władzę, o bycie lepszym. Czy nie czas, by w końcu zacząć się dogadywać? Niedawno została zatruta Odra, na naszych oczach umiera wielka rzeka i my jako ludzkość musimy mieć świadomość, że zostało nam coraz mniej czasu na to, by zdążyć się pokochać i wysłuchać. A to przecież bardzo ciekawe, że mężczyźni nie zrozumieją kobiet do końca i to samo dzieje się w drugą stronę. Ta część nieznanego jest dla mnie pociągająca, wręcz pieprzna.

Istnieją sprawy, które załatwiają kobiety z kobietami, a mężczyźni z mężczyznami. Ale są też i takie, które załatwiają wspólnie. Przykłady? Jak mężczyzna staje przed lodówką i szuka masła, to jeżeli obok jest kobieta, pyta ją, gdzie jest masło i jeszcze ciężej mu je znaleźć. Gdyby obok stał facet, to obaj uznaliby, że masła nie ma, nawet jakby było. Kobiety razem nawet nie muszą sobie zadawać tego pytania, bo jak jest, to jest.

Mężczyzna z mężczyzną czują jedność we współzawodniczeniu, a kobieta z kobietą poruszają się w dużym stopniu w sferze uczuć. Oczywiście jest w tym pewna generalizacja, ale to też punkt wyjścia do zastanowienia się nad samym sobą. Ja ostatnimi czasy na 70 proc. jestem pewien, że masło musi być za czymś ukryte.

Ojej, jakie naiwne jest to, co mówię.

W takim razie oboje jesteśmy naiwni.

Mój bohater trochę jest do mnie podobny. Choćby w fajtłapowatości. Ja tę cechę akurat lubię, uważam, że ona jest zabawna, lecz kobiety to wkurza. Myślę: dlaczego? Przecież super być fajtłapowatym, jaka to moc.

I pojawia mi się ta sama wizja fajtłapowatości: wychodzisz na pełen stadion San Siro, rzut karny, o dziwo nie ma bramkarza, być może cię zlekceważył, nie przejmujesz się tym, podbiegasz do piłki i strzelasz ponad bramką. Ten rodzaj fajtłapowatości przechodzi do historii sportu, wszyscy o nim pamiętają. Kształtuje pokolenia kibiców – to najfantastyczniejsza fajtłapowatość, jaka jest możliwa. 80 tysięcy kibiców ryczy – jedni ze śmiechu, inni z wściekłości. Polubienie swojej niezdolności, niemożności, nieudaności jest czymś fenomenalnym. Mężczyzna ma poprzeczkę oczekiwań zawieszoną bardzo wysoko: ma być twardy, zaradny, przedsiębiorczy.

Ciężko to unieść?

Niedawno na spotkaniu autorskim powiedziałam, że kiedy wzruszam się, to płaczę, także przy moim synu. Potem podeszła do mnie pani, pytając z ogromnym przejęciem, jak syn reaguje na mój płacz. Mówię, że przyjmuje to. Super, jak tata pokazuje dziecku, że ma emocje, że czasami jest smutny i że w tym smutku może być z synem, może się z nim podzielić. Pani: „Mój tata nigdy nie płakał". Ja: „Z mojego męskiego punktu widzenia wydaje mi się, że musiało mu z tym być ekstremalnie ciężko".

I wtedy ta pani się popłakała. Okazuje się, że trzymanie w sobie niepłakania idzie dalej, z pokolenia na pokolenie. Mamy emocje i nie ma co się ich wstydzić. Czasami wydaje mi się, że łatwiej się wzruszyć przy kocie czy psie niż przy innym człowieku. Dlaczego? Uczucia to nie powód do wstydu.

Twój ojciec płakał?

Nie przypominam sobie. To jest ta część, która by była przyjemna, gdyby okazało się, że faceci mogą być *sexy*, płacząc przy swoich dzieciach i kobietach. Taki wypłakany facet pewnie jest mniej agresywny. No bo ile w sobie można pomieścić twardości i wspaniałości? Ogromnym obciążeniem jest wpasowywanie się w idealny wzorzec.

Mnie w bohaterze „Weź z nią zatańcz" irytuje, że jest upiornym maminsynkiem. Pod pantoflem matki, a jednocześnie toczy z nią zaciekłe boje na emocje.

Miłość do dzieci to jedna z najokrutniejszych miłości, jakich się doświadcza. Gdyby się o tym mówiło więcej, to ludzie nie chcieliby się rozmnażać. Więc czasami wygląda to jak spisek milczenia. Masz obok siebie kogoś, kogo kochasz bardzo często ponad życie, to twój największy skarb. I twój największy skarb w wieku 19 lat mówi: „Na razie, mamo, jesteś do bani, spadam". To oczywiście kulturalna wersja pożegnania. Serce krwawi, ale z drugiej strony rozumiesz, że ten młody człowiek musi iść w świat, musi cię opuścić, oderwać się, bywa, że w sposób bezwzględny. Więc rozumiesz, a i tak czujesz coś bolesnego, dławiącego. Trudny los samotnych matek wychowujących synów. Ojciec najczęściej kojarzy się z tym, że albo jest w robocie, albo czyta gazetę, w niedzielę zabierze dzieci na karuzelę lub na lody i to byłoby na tyle, na tym polega jego wychowanie. Nadal mnóstwo ojców jest nieobecnych, a matki są ciągle i bardzo blisko. Może czasami za blisko.

Mimo urlopów tacierzyńskich i większej świadomości, jak ważna jest rola ojca?

Może ci obecni w skali społecznej stanowią kilka procent... I te kilka procent będzie miało dzieci, które będą patrzyły na nowy wzorzec męskości, na ojca, który ma uczucia, który połączy się z żoną w trudzie wypuszczania dziecka z gniazda. Być może nowa generacja ojców będzie w stanie poświęcić więcej czasu żonie niż ukrywaniu się w pracy.

Ojcowie są nieobecni, a matki nadgorliwe?

Nie tylko. Matki mogą być fajne, ale mogą też być wobec swoich synów trudne. Mogą być nadmiernie kontrolujące. Rywalizujące z żonami synów albo szukające w synach ojców. Matki hipochondryczne, wzywające ciągle pogotowie i powtarzające dzieciom, że zaraz umrą. Matki uzależnione od alkoholu. Matki nieobecne. Mityczne macierzyństwo jest dobre i karmiące, ale nie jest to pełen obraz.

Mam pokusę, by zapytać o kobiety, które robią na Tobie dobre wrażenie.

Ale z której epoki? Bo lista jest długa. W każdym momencie życia jest inaczej. Jak byłem mały, ważna była moja mama, dzisiaj najistotniejsza jest moja mał-

żonka. Niedawno na Festiwalu w Szczebrzeszynie poznałem Andę Rottenberg. Jestem pod jej wrażeniem. Ujmuje mnie to, że pięknie potrafi mówić, a w dialogu zadbać o drugą osobę, przytulić ego.

Ego artysty, które jest przeogromne?

Gdyby artyści nie mieli dużego ego, to nie byliby często artystami. Można o tym ego powiedzieć: „co to za gówno, przeszkadza mi w życiu". A można to artystyczne ego przytulić, bo ono jest częścią osoby, na której nam zależy.

Twoje ego ktoś przytula?

Na szczęście przytula je moja małżonka Ola. Dzięki niej rozumiem, że jestem wspaniały, ale w rozsądnych granicach. Czasami sam siebie staram się przytulić, ale jest to dużo trudniejsze. Widziałem ostatnio statuetkę Nagrody Nike Czesława Miłosza. Mam podobną, dostałem ją w roku 2020, kiedy byłem nominowany za „Rozdeptałem czarnego kota przez przypadek". Te statuetki wyglądają identycznie, różnią je wyłącznie nazwiska autorów. Ale popłakałem się, kiedy to zobaczyłem. Poczułem, że przynależę do czegoś większego.

Do cechu pisarskiego?

Wcześniej wydawało mi się, że to robota indywidualistów. A ja się wzruszyłem, dlatego że czuję się kundlem. Pochodzę z Wrocławia, nie mam korzeni, jak – wyobrażam sobie – mogą mieć ludzie z Krakowa. Na ziemiach odzyskanych mój syn jest trzecim pokoleniem Polaków. Jako chłopiec długo bałem się sytuacji, że ktoś przyjdzie i wprowadzi się do naszego domu. Pradziadkowie, w których mieszkaniu teraz żyję, zawsze byli na to gotowi – wiedzieli, że ktoś w każdej chwili może przyjść, że oni będą musieli wrócić tam, skąd przybyli, czyli do Lwowa i okolic. Wszystko w ich domu było tymczasowe. Czekali tylko na jakiś moment w historii, czyli kolejną wojnę światową, która pozwoli im wrócić do miejsca, gdzie się wychowali i czuli się najlepiej.

Płakałeś przy synu, płakałeś, kiedy zobaczyłeś nagrodę. Twoja największa bezbronność pojawia się w tych dwóch życiowych rolach: ojca i twórcy?

A teraz coraz bardziej nachodzą mnie momenty wzruszeń, kiedy myślę o małżeństwie, o tym, że w ten sposób mogę być blisko z kobietą. Że bliskość wzbogaca o siłę.

> Wypłakany facet jest mniej agresywny. No bo ile w sobie można pomieścić twardości i wspaniałości? **Ogromnym obciążeniem jest wpasowywanie się w idealny wzorzec.**

Jestem odludkiem: jak są ludzie, wolę stać z boku. A moja małżonka robi zupełnie inaczej: pierwsza łamie bariery, zagaja. To idealne uzupełnianie się: ona z kimś gada, potem z tą osobą podchodzi do mnie i okazuje się, że po 10 minutach wszyscy są dookoła mnie i nie muszę się wstydzić, spotkanie po prostu samo się toczy. A co ja jej daję? Chyba poczucie humoru i dziwaczność. Kiedy jest zmęczona i po pracy wraca do domu, to np. przywiązuję balonik do sufitu w kuchni albo strugam z patyków aktorów i robię wieczorem teatr w pudełku po butach.

Przyjemne, że możemy dawać sobie wsparcie w drobnych sprawach.

To fundament relacji?

Moja książka poniekąd jest przeciw przemijaniu. Stąd w „Weź z nią zatańcz" duch ojca. Od duchów czerpiemy siłę. Np. dziadkowie: mimo śmierci nadal czuwają w uczuciach. W momentach trudnych, w których nie wiadomo naprawdę, do kogo się zwrócić, myślę o dziadku Antonim: że był twardym facetem, potrafił wiele rzeczy zrobić i skoro spędziłem z nim tyle czasu, to może też to potrafię.

To jest właśnie nieśmiertelność.

W sensie?

Dobre wzmacniające doświadczenia starszych pokoleń często pomagają nam żyć. A dziadek Antoni od samego początku traktował mnie po partnersku. Jako pięciolatek sporo czasu spędzałem na dachu, układałem z nim dachówki. Zakładał mi pasek do spodni i przybijał go gwoździem do żerdzi. Byłem królem wszechświata: „Mam pięć lat, jestem na dachu, patrzcie, widzicie mnie!? Kładę dach, robię coś, co robią dorośli!". Stąd płynęła moc: ze sprawczości i przydatności.

Dziś nie jestem takim mocarzem, są momenty, kiedy się zapadam. Chyba w ogóle twórca skazany jest na zapadanie się i wydobywanie się z zapaści. Zawód dla psychiki raczej koszmarny: sinusoida rozpięta między szybowaniem w przestworzach a czołganiem się po piachu. Szybkie wzloty i nagłe spadki są wyczerpujące.

Zapadanie jak wygląda?

Uważam się za ofiarę losu, jestem w tym jakoś podobny do bohatera „Weź z nią zatańcz". Czasami ta zapaść odbywa się poza rozumem. Książka ma świetne recenzje, a mimo to zaliczam potężny zjazd.

Mam też na koncie złą książkę. Podczas pracy czułem, że coś z nią nie tak, ale nie umiałem się zatrzymać, brnąłem w ślepą ulicę. Kiedy już leżała w koszu, trochę podniosło mnie na duchu to, że podobna sytuacja przydarzyła się Amosowi Ozowi.

Pytasz, co ja zrobiłem? Kupiłem trzy browary, włączyłem YouTube'a, słuchałem rzewnych piosenek i płakałem całą noc. Potężne rozstanie: miliardy godzin przesiedziane nad opowieścią i nic z tego nie wynika. Tak myślałem, a okazało się, że jednak z tego, wydaje się, tragicznego zdarzenia wyniknęło dużo.

Co?

Najpierw trzymał mnie stan wielkiej niepewności. Pisałem: „Ala ma kota" i zastanawiałem się, czy poprawniej nie byłoby: „Ma kota Ala". Myślałem: nie umiem poukładać tych słów w kolejności takiej, w jakiej mają być. I to był bardzo ważny moment, bo uczyłem się pisać od nowa. Co za koszmar: mam 40 lat, wydałem wcześniej książki, byłem nominowany do nagród, a tu regres, znowu raczkuję. Mogłem się buntować, ale nie było wyjścia. Stałem się sam dla siebie nauczycielem. Pewnie takim, jakiego mi brakowało – to jest to coś, co musiałem zrobić.

Twoje wszystkie książki koncentrują się na relacjach w rodzinie. A Ty robisz krok dalej: zdobywasz wiedzę terapeuty Gestalt. Po to, by lepiej rozumieć swoje powieściowe postaci? By mieć nowe pisarskie narzędzia?

To nie zaczęło się nagle. Ja już mam za sobą psychologię sportu, jestem jej absolwentem.

A narrację w książkach prowadzę w ten sposób, że część niby-akcji dzieje się w głowach moich bohaterów: psychika gra tu istotną rolę. Nie mam pojęcia, czy ↦

↦ zostanę terapeutą, na razie to dla mnie i nauka o człowieku, i nauka o pisaniu. Może z czasem, pod wpływem studiów, moi bardziej fajtłapowaci bohaterowie zmienią się w supermenów? To cały czas eksperyment na mnie samym – ja siebie kroję. W pewien sposób te studia nad psychiką to też część mojej inwestycji w kolejne książki.

Pisanie traktuję jak fizjologiczną czynność, jak jedzenie, spanie, oddychanie. A wszystko zaczęło się na schodach w szkole średniej o godzinie siódmej dziesięć przed lekcją języka polskiego. Czytałem wiersz Białoszewskiego (nie pamiętam tytułu), którego nikt nie rozumiał, a ja byłem nim olśniony. Zrozumiałem, że język może być czymś namacalnym jak glina u rzeźbiarza. W głowie zrobił mi się klik i wiedziałem, że chcę pisać.

Wróciłem do domu i w czerwonym zeszycie napisałem pierwszy wiersz. Był ekstremalnie gówniany. I od tego momentu już się nie rozstałem z pisaniem. Nawet wtedy, kiedy remontowałem dom na wsi. Wstawałem o szóstej rano, wracałem o dziewiątej wieczorem totalnie zrypany fizycznie i by nie zwariować od pracy z budowlańcami, którzy mnie ostro dojeżdżali, siadałem przy biurku i pisałem. Za każdym razem towarzyszyła mi ta sama myśl: nie wiem, co napisać, nic się przecież ciekawego nie wydarzyło. Kiedy jednak napisałem pierwsze zdanie, to okazywało się, że się wiele wydarzyło. Pisanie to stan umysłu i rodzaj zwolnienia w pędzie, wyhamowanie.

Nie jeżdżę samochodem, nie jeżdżę motorem, jeżdżę rowerem i hulajnogą. To chyba moje tempo myślenia i ogarniania świata. I może ja sobie tłumaczę coś z tego życia przez pisanie?

Co sobie wytłumaczyłeś przez „Weź z nią zatańcz”?

Że miłość potrafi być krzywdząca. Nie miałem pojęcia, jak ta opowieść się skończy, w którym kierunku ewoluuje mój bohater. Podążałem za nim, na pewien sposób to on mnie prowadził. Gdy w końcu postawiłem kropkę i popatrzyłem na całość, zobaczyłem wyraźnie, o czym jest ta książka, co jest jej głównym tematem. Jednocześnie dotarło do mnie, że sam bywam szkodliwy w miłości.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

ADOBE STOCK

STEVE BISGROVE / REX / EAST NEWS

Willa Farnese w Caprarola, Viterbo

Trzy billboardy za Caprarola, Viterbo

DOROTA KOZIŃSKA

Rozwiązły kompozytor, który zginął z rąk skrytobójców, procesja z relikwiami świętej w pięciotonowej wieży – i świetna muzyka w papieskiej fortecy na planie pięciokąta. Takie festiwale to ja rozumiem!

Pamiętają Państwo „Trzy billboardy za Ebbing, Missouri”? A ściślej muzykę, której Mildred Mayes słucha w samochodzie na samym początku filmu? Większość kinomanów dała się przekonać, że ma do czynienia ze współczesnym opracowaniem tradycyjnej melodii irlandzkiej, tymczasem Renée Fleming śpiewa arię Lady Harriet „Letzte Rose” z opery „Marta” Friedricha von Flotowa, tyle że z oryginalnym tekstem Thomasa Moore’a, zaczerpniętym z wydanego w 1813 r. zbioru „Irish Melodies”.

Kompozytor istotnie nawiązał do popularnej w owym czasie piosenki, przerobił ją jednak po swojemu i uczynił z niej tworzywo nie tylko wspomnianej arii, lecz i przewijającego się przez utwór tematu miłosnego. „Marta”, wystawiona w 1847 r. w Wiedniu, okazała się drugim, a zarazem ostatnim sukcesem operowym Flotowa. Znana dziś melomanom z kilku nieśmiertelnych przebojów, usunęła w cień jego poprzednie dzieło: operę „Alessandro Stradella”, której tryumf w Operze Hamburskiej zaowocował późniejszą umową na wystawienie „Marty” w wiedeńskim Theater am Kärntnertor.

Flotow nie był ani pierwszym, ani ostatnim spośród XIX-wiecznych kompozytorów, którzy bohaterem swoich oper postanowili uczynić jednego z najbardziej wpływowych, a zarazem tajemniczych kompozytorów włoskiego ba-

ANTONIO MASIELLO / GETTY IMAGES

Procesja z wieżą św. Róży w Viterbo, wrzesień 2009 r.

Mieszkańcy Viterbo podczas procesji z wieżą św. Róży, wrzesień 2018 r.

roku. Nie interesowała ich jednak jego muzyka, tylko sensacyjny życiorys, opisany m.in. w „Histoire de la musique et de ses effets", pierwszym kompendium dziejów muzyki w literaturze francuskiej, autorstwa Pierre'a Bourdelota, libertyna, wolnomyśliciela i medyka Ludwika XIII, uzupełnionym później przez jego bratanka Pierre'a Bonneta-Bourdelota i wydanym dopiero po śmierci obydwu, w roku 1715, przez kolejnego spadkobiercę rodu.

Niejasności biografii Stradelli, sukcesywnie obrastającej opowieściami o jego trudnym charakterze, skłonności do intryganctwa i hazardu oraz rozwiązłości, która ostatecznie sprowadziła nań zemstę wystrychniętych na dudka rywali i śmierć z rąk skrytobójców – stały się idealną pożywką dla romantycznych librecistów. Zamiast jednak przyprawiać mu czarną legendę na wzór tragicznej postaci Caravaggia, wypuszczano na sceny coraz to bardziej powikłane historie spod znaku płaszcza i szpady, z kochliwym Stradellą skutecznie psującym szyki oprawcom i strażnikom cnót niewieścich, zakończone obowiązkowym happy endem. Ta swoista stradellomania dosięgła nawet nastoletniego Césara Francka, który w 1841 r. – cztery lata po klęsce pięcioaktowej *grand opéra* Louisa Niedermeyera na deskach Salle Le Peletier w Paryżu – skomponował własnego „Stradellę", zatrzymał się jednak na etapie głosów z fortepianem i schował niedokończone dzieło do szuflady.

Widmowy kompozytor

Zainteresowanie Stradellą przygasło na przełomie XIX i XX w., żeby odrodzić się dopiero w ostatnich dziesięcioleciach: m.in. za sprawą nowych badań, które wreszcie pozwoliły spojrzeć na jego życie i twórczość w szerszym kontekście historycznym i estetycznym. Wiadomo już, że nie urodził się w 1639 r. w Nepi, tylko cztery lata później w Bolonii, ale najbardziej formatywny okres w jego życiu przypadł na dzieciństwo i młodość spędzone w Rzymie i odebraną tam edukację muzyczną. Że wrodzona niezależność w połączeniu z ogromnym talentem i niepospolitą ambicją nie raz wpędziły go w tarapaty i w sumie trudno orzec, czy tragiczna śmierć z rąk genueńskich zbirów – w wieku niespełna 40 lat – więcej miała wspólnego z jego skłonnością do lekkomyślnych miłostek czy też z nieumiejętnością poruszania się w labiryncie ówczesnych intryg politycznych i obyczajowych.

Stradella zostawił po sobie potężny i niezwykle wartościowy dorobek, oryginalnością dorównujący spuściźnie Purcella i Bibera, nowatorstwem i wyobraźnią wykraczający daleko poza ramy stylistyczne epoki. Był prekursorem *concerto grosso*. W eksperymentach nad bardziej śpiewną, swobodniejszą rytmicznie, pełną dysonansowych napięć odmianą kontrapunktu ubiegł Corellego o kilkanaście lat. Wymyślił ideę arii *da capo*, zanim zdążył na dobre oblec ją w kształty.

W twórczości Stradelli jest coś widmowego. Słychać w niej rzeczy, których jeszcze fizycznie tam nie ma, których zalążek dopiero kluł się w wizjonerskiej wyobraźni kompozytora. Zapewne dlatego takim podziwem darzy ją Salvatore Sciarrino, współczesny mistrz muzycznych niedopowiedzeń, rozrzedzonych współbrzmień, ciszy głośniejszej niż dźwięki.

W 2017 r. Sciarrino napisał operę „Ti vedo, ti sento, mi perdo" („Widzę cię, słyszę cię, siebie tracę"), której bohaterem znów jest Stradella – a raczej jego nieobecność. Akcja utworu rozgrywa się w roku 1682, w jednym z rzymskich pałaców, gdzie toczą się próby przed wykonaniem kantaty Stradelli. Wszyscy czekają na obiecaną przez kompozytora nową arię, doczekując się w zamian wiadomości o jego nagłej śmierci. Prawdy o twórcy, który stał się legendą za życia, trzeba odtąd szukać we wnikliwej refleksji nad jego muzyką.

Projekt Stradella

W tym wiedzie prym Andrea De Carlo, jeden z najwybitniejszych na świecie specjalistów od spuścizny Alessandra Stradelli, artysta dobrze znany także naszym melomanom, jeszcze z czasów współpracy z zespołem Concerto Italiano ↦

VINCENZO SCUDIERI / MATERIAŁY PRASOWE

Inauguracja Festival Barocco Alessandro Stradella, koncert Ensemble Mare Nostrum, Palazzo Farnese, Caprarola, 31 sierpnia 2022 r.

Rinalda Alessandriniego, nie wspominając już o poprowadzonym z udziałem polskich muzyków i zarejestrowanym na DVD studenckim spektaklu opery komicznej Stradelli „Il Trespolo tutore" (2018). Karierę rozpoczął jako kontrabasista jazzowy, później grał m.in. w orkiestrze Teatro Massimo di Palermo, by ostatecznie – po studiach u gambisty Paola Pandolfa – poświęcić się niemal bez reszty praktyce i teorii wykonawstwa historycznego. W 2005 r. założył własny zespół Mare Nostrum, który z biegiem lat przeistoczył się z jednorodnego konsortu viol w niezwykle wszechstronny i dynamiczny ansambl muzyki dawnej.

Po pierwszych, doskonale przyjętych przez krytykę koncertach i nagraniach barokowej muzyki niemieckiej i francuskiej De Carlo i jego muzycy zaczęli skupiać coraz baczniejszą uwagę na twórczości XVII-wiecznych kompozytorów związanych z Rzymem. I tak, naturalną koleją rzeczy, zrodził się The Stradella Project – zapoczątkowany w ramach kierowanego przez De Carlo Festiwalu Barokowego w Viterbo, który zaowocował już ośmioma doskonale opracowanymi albumami nagrań monograficznych dla francuskiej wytwórni Arcana. Kuźnią młodych talentów i przyszłych współpracowników De Carlo jest uruchomiona w 2011 r. inicjatywa edukacyjno-badawcza Stradella Young Project, której adepci regularnie uczestniczą w jego kolejnych przedsięwzięciach.

Skrzynia na barkach

W tym roku miałam przyjemność skorzystać z zaproszenia organizatorów imprezy i monachijskiej agencji Ophelias Culture na pierwsze dni Festival Barocco Alessandro Stradella. A tym samym nie tylko nacieszyć się muzyką, lecz i dosłownie zachłysnąć się pięknem historycznego regionu Tuscia, kolebki cywilizacji etruskiej, krainy rozpostartej wśród wzgórz między Tybrem a łańcuchem Apeninów, na terytorium pokrywającym się nie tylko z dzisiejszą prowincją Viterbo w najdalej wysuniętej na północ części Lacjum, ale też z całym obszarem Toskanii i znaczną połacią Umbrii.

Viterbo, jedno z najlepiej zachowanych miast średniowiecznych w środkowych Włoszech – z imponującą katedrą św. Wawrzyńca, wzniesioną ponoć na gruzach etruskiej świątyni Heraklesa, i potężnym Palazzo dei Papi, gdzie od listopada 1268 do września 1271 r. trzymano kardynałów o chlebie i wodzie podczas najdłuższego konklawe w dziejach Kościoła, przed wyborem papieża Grzegorza X – szykowało się właśnie do procesji Macchina di Santa Rosa.

Przemarsz z relikwiami św. Róży, tercjarki franciszkańskiej wypędzonej z miasta przez katarów, odbywa się rok w rok w nocy z 3 na 4 września, wzdłuż ponadkilometrowej trasy od Porta Romana aż po strome podejście pod kościół patronki Viterbo. Stu mężczyzn z Sodalicji Tragarzy (Sodalizio dei Facchini di Santa Rosa) dźwiga ulicami blisko 30-metrową, ważącą pięć ton wieżę dosłownie po omacku, kierując się tylko wskazówkami *capofacchini*, maszerujących przy czterech rogach monstrualnej machiny.

W dniach poprzedzających procesję mieszkańcy krzątają się przy budowie trybun w miejscach tradycyjnych postojów tragarzy, a członkowie Sodalicji dumnie wywieszają jej sztandary w oknach mieszkań, witrynach sklepów, restauracji i zakładów rzemieślniczych. Dopuszczenie do grona tragarzy uchodzi za wyjątkowy zaszczyt wśród tutejszej społeczności – nie tylko dlatego, że kandydat w ramach testu musi dźwignąć na własnych barkach 150-kilogramową skrzynię i przenieść ją na odległość co najmniej stu metrów.

Pałac iluzji

W tych okolicznościach nie dziwi, że pierwsze koncerty Festiwalu odbyły się poza stolicą prowincji. Trudno jednak o lepsze miejsce na inaugurację z operą Stradelli w programie niż manierystyczna Villa Farnese, perła późnego renesansu włoskiego, górująca nad przyklejonym do wulkanicznych wzgórz Cimini miasteczkiem Caprarola. Młody, zaledwie trzydziestokilkuletni kardynał Alessandro Farnese wszedł w posiadanie tych dóbr na samym początku XVI w. Wychowany przez Pomponiusza Letusa w umiłowaniu klasycznych proporcji, postanowił wznieść nad osadą pałac obronny i zlecił przygotowanie projektu najlepszym architektom działającym w ówczesnym Rzymie, m.in. Baldassare Peruzziemu, który rozrysował kształt przyszłej fortecy na planie pięciokąta.

Budowę fundamentów ukończono zaledwie kilka lat przed wyborem kardynała na papieża, który przeszedł do historii jako Paweł III. Prace ze zrozumiałych względów wstrzymano. Blisko 30 lat później powrócił do nich imiennik, a zarazem wnuk papieża, Alessandro Farnese: kardynał, dyplomata i hojny patron artystów, który pomysł dokończenia *palazzo di fortezza* zastąpił ideą postawienia na jej fundamentach okazałej wiejskiej willi. Karkołomnej misji wkomponowania bryły pałacu w pięciokąt fortyfikacji podjął się Jacopo Barozzi da Vignola, jeden z najwybitniejszych architektów drugiej połowy XVI w., nie tylko we Włoszech.

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM Nowy Sącz – 90,0 FM | Gorlice – 97,4 FM Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM Rabka Zdrój – 87,6 FM | **www.radiokrakow.pl**

Powstała budowla niezwykłej urody, w formie pięciokątnego graniastosłupa, ale z regularną, czteropiętrową fasadą, kryjąca wewnątrz okrągły arkadowy dziedziniec. Każde z pięter willi służyło innym celom, inaczej też zostało urządzone. Olśniewające wrażenie robi Sala dei Fasti Farnesiani na poziomie *piano nobile*, bogato zdobiona freskami braci Zuccari, przedstawiającymi największe dokonania rodu Farnese. Taddeo Zuccari i jego asystenci są też twórcami alegorycznych malowideł w dostępnej z dziedzińca Sali Jowisza, która służyła jako coś w rodzaju sali przyjęć dla gości i przedsionka letnich apartamentów. Żeby do niej wejść, trzeba wpierw wzrok oderwać od iluzji szemrzącego na wietrze listowia, roztrzepotanych ptasich skrzydeł i przebłysków słońca na lazurze fresków w sklepieniach arkad.

Moro per amore

W tej właśnie sali odbyło się inaugurujące Festiwal wykonanie „Moro per amore" – ostatniej opery Stradelli, ukończonej w 1681 r., na kilka miesięcy przed jego śmiercią. W podobnej willi, *castello* bądź pałacu mogłyby odbywać się pierwsze próby przed wystawieniem dzieła na scenie któregoś z teatrów w Rzymie bądź Genui. Wśród podobnych fresków mogliby zażywać uciechy z muzykowania kardynałowie, książęta i ich kochanki, zwłaszcza że autorem libretta był kolejny świetnie wykształcony i rozmiłowany w sztuce arystokrata: Flavio Orsini, pisujący czasem pod anagramicznym pseudonimem Filosinavoro.

VINCENZO SCUDERI / MATERIAŁY PRASOWE

Andrea De Carlo, dyrektor Festival Barocco Alessandro Stradella

Siedmioro solistów i zespół Mare Nostrum w dziewięcioosobowym składzie pod dyrekcją Andrei De Carlo wkroczyli w tę przestrzeń bogatsi o wiedzę i doświadczenia, jakich pionierzy wykonawstwa historycznego mogliby im tylko pozazdrościć. Muzycy De Carlo są w pełni świadomi, że nikt już dziś nie wychwyci wszelkich aluzji, odniesień i gier słów w absurdalnym rzekomo libretcie, ale i tak trzeba się starać. Skoro pułapka kryje się już w dwuznacznym tytule utworu (tak naprawdę nikt tu z miłości nie umiera, za to potrzeba Maura, żeby pewna piękna królowa jednak się zakochała), to każdy wyłapany kalambur trzeba dodatkowo wesprzeć odpowiednim gestem, afektem w muzyce, wymownym spojrzeniem. Zwrócić uwagę na fragment, który z jakichś powodów uwypuklił sam Stradella: wzmocnić artykulację w śpiewie, uderzyć na odlew w korpus instrumentu. Nie załamywać rąk nad poczuciem humoru Orsinich bądź innych Farnese, tylko śmiać się z tego, z czego się wtedy śmiano (choćby z podstarzałej, śpiewającej kontraltem piastunki i oświadczającego się jej w finale kastrata-sopranisty). Muzycy Mare Nostrum potrafią jednocześnie porwać słuchacza i czegoś go nauczyć – a to coraz rzadsza umiejętność, nawet wśród ludzi zajmujących się edukacją na co dzień.

■■■

Festival Barocco Alessandro Stradella trwa w tym roku do końca września. Nie samym Stradellą stoi. Przez następne dwa dni odbyłam dwie podróże sentymentalne w stronę repertuaru, od którego zaczęły się moje doświadczenia z wykonawstwem historycznym: tańców instrumentalnych epoki Ars Nova (znakomity lutnista Peppe Frana, godnie partnerujący mu flecista Alessandro de Carolis i perkusista Antonino Anastasia); oraz muzyki wędrującej między Iberią a Nowym Światem od pierwszej fali podbojów konkwistadorów (uczestnicy Stradella Young Project). Pierwszy koncert odbył się w pomieszczeniach Torre Monaldesca w Civitella d'Agliano: wieży, z której szczytu tutejsi gwelfowie wypatrywali kiedyś wrażych gibelinów. Drugi – pod gołym niebem w Borgo Fantasma, jednym z setek rozsianych po Tuscii „miast widm", zniszczonych przez osuwiska, trzęsienia ziemi i inne klęski żywiołowe.

Trzeba będzie kiedyś tam wrócić. Po surowe piękno kamiennych miasteczek, po feerię barw fresków w willach kardynałów, po muzykę Stradelli – wróconą z zaświatów przez ludzi, którzy idą naprzód pełni miłości i nie oglądają się za siebie.

© DOROTA KOZIŃSKA

TYGODNIK POWSZECHNY

Zareklamuj swoje wydarzenie w najciekawszym przewodniku „Tygodnika"!

JESIENNY WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

Już w środę 28 września w „Tygodniku" jesienny dodatek, a w nim pomysły na spędzenie jesieni – z dobrą lekturą, muzyką; w teatrze, operze czy na wystawie. Kulturalne rekomendacje tygodnikowych autorek i autorów w jednym przewodniku.

Uwaga! Sprawdź ceny dla instytucji kultury – szczegóły pod adresem reklama@tygodnikpowszechny.pl lub nr. tel.: Mateusz Gawron 602 33 17 91 i Anna Pietrzykowska 602 590 416

Zapraszamy na łamy i do lektury!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Dom podzielony

ANITA PIOTROWSKA

To z pewnością najbardziej „ludzki" spośród filmów Gaspara Noégo. Uważany za dyżurnego skandalistę francuskiego kina reżyser zadedykował go „tym wszystkim, których mózg ulegnie rozkładowi wcześniej niż serce".

MATERIAŁY PRASOWE

Życie to krótka impreza, o której za chwilę przestanie się pamiętać" – w taki sposób zapowiadany był najnowszy film Noégo. Lecz „Vortex" nie jest dalszym ciągiem imprezowej orgii z „Climaxu" i powstał niejako wbrew cynizmowi tych słów. Reżyser „Nieodwracalnego", „Wkraczając w pustkę" czy „Lux Æterna" tym razem nie zamierza prowokować, choć skierował kamerę na największe z możliwych skandali: na starzenie się, chorobę, śmierć. I zrobił to bez spodziewanej pornografizacji tematu czy wrodzonego efekciarstwa, za to z tkliwością rzadko spotykaną u tego twórcy.

Film rozpoczyna się od napisów końcowych, lecz nic już tutaj się nie odwróci, nic nie zatrzyma tytułowego wiru, innego końca nie będzie. Tak jak niczego nie uda się skleić w jeden obraz. Bohaterowie, przedstawieni w tej historii jako Ona i On, to bowiem schorowane małżeństwo w podeszłym wieku, niemal całkowicie zamknięte w czterech ścianach, ale żyjące w osobnych, słabo przenikających się mikroświatach. Ona ma postępującą demencję, on jest po udarze; ona z zawodowej psychiatry stała się nieuleczalną pacjentką, podczas gdy on, krytyk filmowy, ciągle pracuje nad nową książką. Toteż po idyllicznym prologu Noé zdecydowanym gestem dzieli ciasny, prawie kwadratowy ekran na pół i podpatruje ich osobne w gruncie rzeczy funkcjonowanie. Nawet wówczas, gdy para pojawia się w jednym kadrze i dochodzi między nią do jakichś interakcji, owo rozdzielenie przestrzeni i wyraźne zróżnicowanie punktów widzenia nadal funkcjonuje. Z jednej strony mamy więc fizyczną bliskość, troskę, serdeczność, z drugiej zaś wspólne uwięzienie, skazanie na siebie nawzajem i coraz bardziej dojmującą samotność we dwoje. Można jedynie zastanawiać się, czyja część kadru zgaśnie pierwsza i jak poradzi sobie z owym wygaszeniem druga strona.

To z pewnością najbardziej „ludzki" spośród filmów Noégo. Zadedykował go „tym wszystkim, których mózg ulegnie rozkładowi wcześniej niż serce", nakręcił pod wpływem doświadczeń z chorobą matki i własnych problemów zdrowotnych, w warunkach pandemicznych ograniczeń, stąd też wybór takiej, a nie innej metody filmowania. Lockdown, ten fizyczny i mentalny, doskonale odzwierciedla sytuację Jej i Jego. Ich mieszkanie przypomina pieczarę, wypełnianą gromadzonymi przez dziesiątki lat książkami, czasopismami, tonami lekarstw i różnymi niepotrzebnymi rzeczami, co tworzy swojskie, bezpieczne gniazdo i zarazem pułapkę. On, ciągle aktywny i przytomny, jeszcze porusza się tutaj pewnie i swobodnie, tymczasem dla niej, tracącej kontakt z rzeczywistością, dom stał się istnym labiryntem, pełnym znanego i jednocześnie nieznanego. Dwie kamery, przyklejone non stop do obojga bohaterów, pracują uważnie i niespiesznie, niczym cierpliwi, zmuszeni do nieustannej asysty domownicy, rejestrując dwie całkiem różne krzątaniny i zamykając widza w dwóch równoległych światach.

W tego rodzaju kinie, dialogującym z przemijaniem i śmiercią, zawsze łatwo o grandilokwencję, o szafowanie formalnymi czy emocjonalnymi fajerwerkami. Noé wybrał ton kameralny i osobisty, niemalże paradokumentalny, a przebija on z ekranu na różne sposoby, również poprzez liczne, bliskie jego sercu odniesienia filmowe. Listę wypisów z rozmaitych tytułów, od Dreyera przez Godarda po Tarkowskiego, można znaleźć już na samym początku.

Nie przypadkiem w głównych rolach obsadził reżyser dwie legendy kina: francuską aktorkę Françoise Lebrun, znaną choćby z „Mamy i dziwki" (1973) Jeana Eustache'a, oraz Daria Argento, włoskiego reżysera, mistrza horrorów z nurtu *giallo*. Na każdym kroku widać także kinofilską pasję Jego, szczególnie miłość do Nowej Fali i do psychoanalitycznych rozkmin, czego wyrazem pisana przez niego książka pod tytułem „Psyche", o związkach kina i snu. W tym akurat można się dopatrzyć ze strony Noégo pewnej ironii – bo czymże, jak nie prześnieniem, była ucieczka bohatera w fikcyjne krainy? Kiedy podczas dyskusji nad esejem w gronie przyjaciół mowa jest o śniącym, który nagle się ocknął, można to odnieść bezpośrednio do postaci Jego. Czymże, jak nie

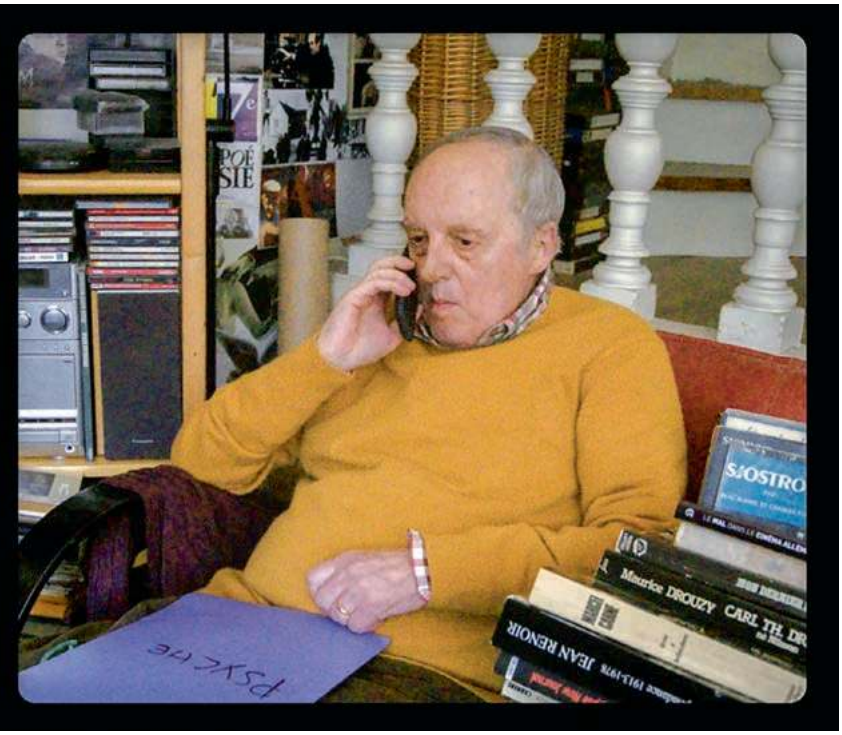

Françoise Lebrun i Dario Argento w filmie „Vortex”, 2021 r.

podwójną iluzją, owym „snem we śnie” wziętym z Edgara Alana Poego, było życie u boku Jej i przez dwie dekady romansowanie z Claire? Dlatego „Vortex” może być czytany jako film o niewczesnym, acz dotkliwym i nieuchronnym spotkaniu z realnym.

Jako studium wieku sędziwego, związanych z nim utrapień i dylematów, „Vortex” musi skojarzyć się z „Miłością” (2012) Michaela Hanekego. W 2015 r. w filmie pod tym samym tytułem Noé też zgłębiał to zjawisko, choć z zupełnie innej, bo młodzieńczej i psychoseksualnej perspektywy. Teraz, w portrecie związku mocno dojrzałego, o wiele bardziej niż austriacki kolega skomplikował sobie zadanie i osiągnął dzięki temu mniej gładki efekt.

Już samo otwarcie, czyli przywołany w całości czarno-biały klip z piosenką „Mon amie la rose” w wykonaniu Françoise Hardy, imienniczki i rówieśnicy głównej aktorki, boleśnie wskazuje na upływ czasu i zapowiada nieco eksperymentalny charakter tej opowieści. Zresztą wszyscy aktorzy, podobnie jak sam reżyser, w czołówce mają przy nazwisku podany swój rok urodzenia, a poprzez wpisane w tkankę fabuły audycje telewizyjne czy radiowe na tematy ostateczne zyskuje ona istotny autokomentarz.

Inaczej wygląda także tło społeczne. Wykwintny, burżuazyjno-artystyczny świat bohaterów poprzedniego filmu zastąpiła istna graciarnia spraw nieuporządkowanych – socjalnych, finansowych, rodzinnych. Gdy wreszcie między sędziwymi rodzicami a ich dorosłym, pogubionym w swoim życiu synem dochodzi do szczerej rozmowy, na pojednanie jest zdecydowanie za późno. Ona nie jest w stanie świadomie w niej uczestniczyć, choć czasami miewa jeszcze zadziwiające prześwity przytomności.

„Vortex” sprawia wrażenie filmu opowiedzianego zdławionym głosem syna marnotrawnego. Bo tylko ktoś taki, bardzo bliski i jednocześnie patrzący trochę z zewnątrz rodzinnego układu, dostrzeże całą jego złożoność, jego świadome bądź nieuświadomione okrucieństwo. Na ile starość i choroba, które z konieczności połączyły na nowo jego rodziców, jednocześnie doprowadziły do ich definitywnego rozejścia się? A może jednak coś sobie wtedy nawzajem dali? I chociaż do samego końca ekran pozostanie przepołowiony, kamera zadba o godne pożegnanie w ostatnim, zgoła metafizycznym ujęciu, będącym odwróceniem jazdy kamery z otwarcia filmu. Pozwoli uwierzyć, że mimo przebijającej zewsząd rezygnacji i goryczy zostanie po nas coś więcej niż te stosy gazet, kartony z książkami i zużyte, nikomu niepotrzebne gadżety. ©

VORTEX – *reż. Gaspar Noé. Prod. Francja 2021. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 16 września.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Dybuk. Rzecz o wędrówce dusz

Dokumentalny, reż. Krzysztof Kopczyński, Izrael/ /Polska/Szwecja/ /Ukraina 2015, iTunes Store

Mimo wojny w Ukrainie chasydzi nadal pielgrzymują do grobu cadyka Nachmana w Humaniu. Film pokazuje sytuację sprzed kilku lat, kiedy tysiące pielgrzymów z całego świata stanowiły pokaźny zastrzyk dla lokalnej gospodarki, lecz jednocześnie spotykały się z niechęcią ze strony ksenofobicznie nastawionej części mieszkańców.

2. Wiking

Przygodowy, reż. Robert Eggers, USA/Kanada/ /Irlandia/Chiny 2022, VoD

Reżyser „The Lighthouse” przepisuje nordyckie mitologie na język wielkiego widowiska i zarazem bardziej współczesnych wartości. W efekcie powstał utytłany w błocie i krwi mroczny spektakl, w którym wczesne średniowiecze ma w sobie coś z trzewiowego horroru, psychodelicznej baśni i dyskursu wokół toksycznej przemocy.

3. Pam i Tommy

Miniserial, reż. Craig Gillespie i inni, USA 2022, Disney+

Nie o sensację wokół słynnej sekstaśmy z 1995 r. tutaj chodzi. W przypadku Pameli Anderson i jej męża odbijają się rozmaite patologie związane z rozwojem mediów, pułapkami celebryctwa czy podwójnymi standardami wobec kobiet i mężczyzn. Twórcy działają błyskotliwie i z humorem, pokazując w nowym świetle tabloidową aferę.

4. Belle

Animowany, reż. Mamoru Hosoda, Japonia 2021, Nowe Horyzonty VoD

Dwuznaczny urok wirtualnej rzeczywistości, odwieczne niepokoje dorastania, pełne emocji piosenki, a do tego „Piękna i Bestia” przerobiona na anime. Nie ma w tym wdzięku czy bogactwa filmów z wytwórni Ghibli, w rodzaju „Spirited Away”, ale udało się stworzyć barwny, rozmigotany, rozszczepiony na dwa wymiary świat nastoletnich lęków i fantazji.

JAN

Klata:
Normalizacja

Chodzi o drobnostki. Nic wielkiego, nie ma co dramatyzować, nie ma o co kruszyć kopii, zwłaszcza że zawsze może być gorzej, a tego przecież nie chcemy. Strategie przetrwania są różne, ale generalnie polegają na starym, dobrym przywyknięciu. Z władzą jeszcze nikt nie wygrał, nie ma się co wychylać, trzeba przeczekać. Roztropnie, po cichutku, dobrze kalkulując bilans zysków, a raczej ewentualnych strat, strat oczywiście niepowetowanych. Giętko przez życie, do wszystkiego się można przyzwyczaić, dłużej klasztora niż przeora. A nawet jak trochę przeora, to się zabliźni. Trzeba żyć. Normalizacja.

Cenzura? Jaka cenzura? Lepiej nie wiedzieć, bo po co? Lepiej zmienić temat, przecież wiadomo, jakie tematy są gorące. W 1982 r. było wiadomo i teraz też wiadomo. Festiwal filmowy w Gdyni 40 lat temu się nie odbył, ale teraz pisowscy czynownicy naprawiają zaniedbanie puszczając film... i zapobiegając spotkaniu z Agnieszką Holland po projekcji „Kobiety samotnej".

Zaraz, zaraz... czynownicy? Kulturalni, mili ludzie, koneserzy kompromisu, filmoznawcy, życioznawcy, polscy inteligenci, wróżący z fusów pozostawionych przez władze, wyczuwający wiatr, z wewnętrznym, bardzo wewnętrznym smutkiem godzący się na to, co nieuniknione. Mogę się sprzeciwić, ale wtedy mnie wyleją, a na moje miejsce przyjdzie ktoś naprawdę zły, nieprawdaż? Historia nie zatacza koła, nie chichocze, po prostu uczy życia, odwracając wzrok, no bo jest, jak jest. Przyzwolenie na zło? Bynajmniej, po prostu realizm. Z Agnieszką Holland nie było kontaktu, to jak ją zaprosić? Bardzo chcieli, ale się nie udało, z przyczyn jak najbardziej obiektywnych reżyserkę pozbawiono głosu.

Wybitne kino przetrwa, lustra też jakoś sobie poradzą, nie każdy będzie mógł w nie spojrzeć, ale na pewno jakoś to sobie wytłumaczy. Zapewne koniecznością dziejową. Takie czasy. I tak dzień po dniu od siedmiu lat gruntuje się wspólnota konieczności, zbolałej, żmudnej konieczności zrozumienia tego, co nieuniknione. Wspólnota oczywiście bezinteresowna. Nie godzi się? Godzi, godzi. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

Słuchaj
i rób, co chcesz!

W cyklu „Tygodnik" na ucho
co tydzień 5 wybranych tekstów
z bieżącego wydania – do odsłuchania
w dowolnym czasie, miejscu
i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki
z GooglePlay lub AppStore
i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów
– dla nowych abonentów 14 dni gratis!

audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PAWEŁ

Bravo:
Gotuj pasywnie

Trzysta milionów metrów sześciennych gazu dałoby się zaoszczędzić w najbliższym sezonie grzewczym, gdyby Włosi zmienili sposób gotowania makaronu. Nie myślcie sobie, że marnuję łamy naszej rubryczki na czcze ciekawostki. Makaron na równi z gazem to podstawowy surowiec energetyczny ludów zamieszkujących italskie ziemie, nadal nie do końca pozszywanych w jedno ciało etniczne i obywatelskie. Co się zaś tyczy skali ewentualnych oszczędności, to nie jest ona błaha, skoro rząd przewiduje, że całość postulowanych korekt mogłaby zredukować zużycie o ok. 5 miliardów metrów sześciennych.

Rząd zresztą na wylocie, obalony w geście tak absurdalnym – był bowiem sprawny, godził szerokie spektrum interesów i miał rzadki posłuch społeczny – że trudno to zrozumieć. Podobnie jak kampanię, w zasadzie zbędną, bo wynik jest z góry znany. Tym bardziej więc szukam w mediach mojej drugiej ojczyzny spraw mających realne przełożenie na najbliższą przyszłość. To, czy przyszłą premierkę Giorgię Meloni można określać mianem faszystki, zdaje się mało kogo obchodzić, dyskusja o tożsamości, wartościach i postawach wobec wojny toczy się teraz wokół apelu zeszłorocznego laureata Nagrody Nobla z fizyki, by w imię oszczędności gotować makaron przy wyłączonym gazie.

Jakże tak? Nie trzeba do tego profesorów, każdy nauczyciel przyrody lub dziennikarz naukowy powie wam to samo: pożądany smak i konsystencję dają makaronowi dwa procesy – kleikowanie skrobi i koagulacja glutenu – którym wystarczy woda w temperaturze niecałych 80 stopni. Wrzątek jest tu zbędny. Ponieważ większość nie ma w kuchni sprzętu zwanego cyrkulatorem, oszczędnościowe czy też, jak to się teraz mówi, „pasywne" gotowanie makaronu odbywa się następująco: zagotowujemy w normalnym garnku wodę do pełnego wrzenia (pod przykryciem!), solimy, wrzucamy kluski, mieszamy, czekamy, aż znów woda zawrze, przykrywamy szczelnie pokrywką i wyłączamy źródło ciepła. Następnie czekamy tyle, ile podaje na opakowaniu producent. W normalnych warunkach temperatura wody nie zdąży w czasie tych dziesięciu-jedenastu minut spaść poniżej 80 stopni, więc makaron ugotuje się nam jak należy. Słowo noblisty.

Ale gdzie tam! Nawet gdyby sam Leonardo da Vinci opowiadał to w towarzystwie paru aktualnie ubóstwionych piłkarzy, toby mu Włosi nie uwierzyli. Opinia publiczna, *nomen omen*, zawrzała. Każdy, kto gotuje makaron i dysponuje kontem w serwisach społecznościowych (czytaj: 90 proc. dorosłej ludności republiki) musi zabrać głos, zapewniając, że jego babcia uczyła go/ją inaczej. W sumie rozumiałbym sprzeciw, gdyby chodziło o estetykę – taka „stojąca", żółtawa woda z dochodzącymi kluskami jest brzydka w porównaniu z buzującym wrzątkiem. Ale tu chodzi o babcie. Każdy Włoch i Włoszka ma ich dwie, więc zajmie sporo czasu, zanim wszyscy uprawnieni do posiadania jedynie słusznej opinii się wypowiedzą. Tym bardziej że równolegle toczą gruntowne dyskusje na temat dalszych losów monarchii brytyjskiej.

Zmarła królowa w krótkim, wiekopomnym orędziu do poddanych zamkniętych w domach podczas pierwszej fazy pandemii mówiła m.in.: „duma z tego, kim jesteśmy, nie jest częścią przeszłości, lecz definiuje naszą teraźniejszość i przyszłość". Pomimo wszystkich narzekań na rozpad państwa, upadek ducha i degrengoladę ustroju, Brytyjczycy mieli w tej wielkiej postaci łatwo dostępne, wiarygodne ucieleśnienie tego, „kim jesteśmy". A wraz z tym też łut nadziei na długie trwanie, co daje, przypuszczam, mniej histeryczny niż np. w świeższej daty wspólnotach stosunek do przeszłości i rozmaitych tradycji.

Może w tych dniach, kiedy z Wysp docierają do nas obrazy pysznych wizualnie procesji, pióropuszy i złotych haftów, trudno w ich luźniejszy stosunek do przekazów z przeszłości uwierzyć. Ale sądzę, że na apel o wyłączenie gazu przy gotowaniu jajek na twardo (zasada jest ta sama, nie trzeba stu stopni) zareagowaliby spokojniej. W dzikiej niechęci Włochów do racjonalnie uzasadnionej, a zarazem drobnej w sumie zmiany codziennego rytuału widzę to, co i u nas bywa kulą u nogi: niepewni siebie, słabo ugruntowani, łapiemy się byle czego, co da się nam wcisnąć jako tradycję, zresztą nieraz o krótkim, zmitologizowanym rodowodzie (obecnie stosowany makaron to dwudziestowieczny tak naprawdę wynalazek). Nic to, że gazu braknie – dopóki w kotle bulgocze, żadna siła nas nie zmoże. ©℗

PAWEŁ BRAVO

Czasopismo „La Cucina Italiana", skądinąd założone prawie sto lat temu przez faszystów w ramach budowania nowej tożsamości, zaczęło podawać przepisy na sosy do makaronu robione bez udziału ciepła – wszelkiego rodzaju pesta i ucierane kremy. Wrócimy do tej sprawy jeszcze, ale tym razem zaszalejmy, zwłaszcza że świeżo przeze mnie wymyślony jesienny przepis wymaga tylko krótkiej obróbki termicznej. Na dużej patelni topimy na małym ogniu tłuszczyk z paru kawałków słoniny lub parzonego boczku (albo, w wersji wege, podgrzewamy oliwę). Zwiększamy ogień, wrzucamy posiekaną na wąskie paski małą główkę różowej sałaty radicchio, mieszamy, kiedy po około minucie zacznie więdnieć, podlewamy 50 ml czerwonego wina, dodajemy 7-8 przepołowionych węgierek i posiekaną suszoną śliwkę (albo i dwie, ale uwaga, ich dymny smak nie może przykryć reszty). Zmniejszamy ogień, dusimy ok. 5 minut, aż śliwki zaczną się rozpadać. Sos jest wyraźnie gorzki, można to trochę złagodzić na tym etapie łyżką miodu lub cukru muscovado. Łączymy na ciepło z makaronem, najlepiej tagliatelle, kto lubi kremowość, niech doda na koniec łyżkę ricotty.

ZMYSŁY

BOCIANIE WAKACJE

On nie odlatuje, on wraca do siebie. Wygląda na to, że do roboty.

ADAM ROBIŃSKI

No i odleciały. Jedziesz przez kraj i widzisz puste gniazda. Bociany zniknęły jeden po drugim, z dnia na dzień, bez pożegnania. Dyskretnie, po angielsku, nie odrywając nas od zabawy, jakby chciały uszanować to, że zostały nam na nią już nie miesiące, nie tygodnie, ale dni. Odleciały w pogoni za wiecznym latem, nam zostawiając jesienny dryl. Szkolne dzwonki, mokre popołudnia bez słońca, ciepłe kurtki i wielomiesięczne oczekiwanie na wiatr, co rozgoni ciemne, skłębione zasłony. A wtedy i one, niesione jego podmuchami, znowu wylądują na naszych łąkach i zabocianią nasze wsie.

Zawsze mnie to zastanawiało – dlaczego tak dużą wagę przywiązujemy do pierwszych wiosennych bocianów, jednocześnie mając je głęboko w poważaniu wtedy, gdy ich czas w naszym towarzystwie dobiega końca? Czy nie powinno być tak, że to właśnie w sierpniu, gdy lato się przełamuje, a one zaczynają sejmikować, by kolektywnie zniknąć z kadru, każdy bocian jest jak otrzymany w bonusie dzień wakacji? No ale nie: zamiast tego, co tu i teraz, wolimy obietnice. Według ludowych przesądów, jeśli zwiastującego wiosnę pierwszego boćka ujrzymy w locie, czeka nas sezon szczęścia. Jeśli będzie stąpać po polu – przed nami ciężka praca. Ptak w gnieździe to zły omen, zwiastun nieszczęść tak wielkich, że człowiek z ulgą przyjmie nadejście zimy.

W swojej – jak podkreślają – „nieautoryzowanej" biografii gatunku „Bocian" przyrodnicy Adam Zbyryt i Piotr Tryjanowski przywołują jeszcze jeden wątek kulturowy. Ptak w locie zwiastować miał nie tyle dary losu, co wędrówkę, chodzący – życiowe *status quo*, stojący na jednej nodze – śmierć w rodzinie. Tak przynajmniej przekonywał w ankiecie z okazji Międzynarodowego Spisu Bociana Białego w 1958 r. pewien nauczyciel z Boguszyna w powiecie jarocińskim. Ale nawet na kilkuset stronach wypełnionej ścisłą naukową wiedzą książki nie znajduję odpowiedzi na pytanie, jak w duchu ludowej mądrości celebrować bocianie odloty.

Robota na sawannie

Do myślenia daje za to nieodżałowany Arkadiusz Szaraniec i jego „Żubry lubią jeżyny", w którym to zbiorze przekonuje, że to wcale nie jest polski ptak. Poczciwy bocian to Afrykanin z krwi i kości, wyrokuje Szaraniec. Choć z wyglądu podobny do czapli i żurawia, genetycznie bliżej mu tak naprawdę do kondora i sępa. Z całej gamy spokrewnionych z bocianami ptaków tylko one – bocian biały i czarny – lecą do Europy, by się rozmnażać. Jeśli tak, to Polska jest dla biało-czerwono-czarnego dostojnika jedynie, jak to się

NCPHOTO / IMAGEBROKER / FORUM

mówi w turystyce, popularną destynacją. *All inclusive*: kilkugwiazdkowe gniazda, otwarty bufet, przyjaźni lokalsi i tylko pogoda w kratkę.

Czyli nie że on od nas odlatuje na zimę. On do nas wpada na kanikułę, a potem wraca do siebie. Chyba do roboty. Ciągle mam przed oczami ten obraz z książki Szarańca: sawanna, stado liczące dziesiątki tysięcy ptaków nie leci, lecz kroczy, skrzydło w skrzydło, w ścisłym szeregu, tyralierą, przez wysokie trawy, płosząc i w mig chwytając zrywające się do lotu owady i inną drobnicę. Praca jak praca.

Od paru lat kombinuję, jak przedłużyć sobie lato, które zawsze w sierpniu okazuje się przecież za krótkie. Można metodą na studenta, szczególnie jak się ma dzieci w przedszkolu i wolny zawód. We wrześniu nadmorskie kurorty są puste, a niebo zwykle łaskawe. Ale potem latorośle wpadają w tzw. obowiązek edukacyjny i człowiek zaczyna, jak wszyscy pozostali, studiować kalendarz pod kątem długich weekendów. Dzień nauczyciela w piątek, potem dwa razy w listopadzie, i tak do zimowego przesilenia. Ta desperacja przypomina obrazek, jaki widziałem kiedyś w szkockim pubie ↦

↦ gdzieś w północnym paśmie Cairngorms, które zimą zamienia się w kawałek Arktyki pod panowaniem Jej Królewskiej Mości. Na czarnym jak smoła malunku widać było głównie chmury. Spomiędzy nich spozierał wąski snop promieni słonecznych. Ludzie wyciągali w jego kierunku ramiona, jakby to manna leciała, a nie fotony. Podpis głosił: „Lato w Szkocji".

Koparka w ognisku

Dlatego od jakiegoś czasu szukam tych dodatkowych tygodni lata po drugiej stronie wakacji. Świadectwo pod pachę, goździk dla wychowawczyni, a potem szybkie pakowanie i jazda. Za Łomżą robi się gęsto od tablic rejestracyjnych z LT i LV, ale dopiero na widok pierwszego EST nabieramy pewności co do kierunku. No więc raz, że obce rejestracje, dwa – bociany. Na ogół do Suwałk mamy ich już naliczoną pełną setkę i wtedy zaczynamy żartować, że dalej trzeba rachować na wagę, jak truskawki w łubiance, która trzęsie się na kolanach żony. W Litwie nawet nie tankujemy, bo wiemy, że za Rygą będziemy już nad morzem. Jeszcze tylko nerwowy rzut oka na drogowskaz „Moskwa" przy obwodnicy i zaraz potem droga leci już południkowo na północ. A potem na dobre przykleja się do zatoki. Myślę sobie wtedy, że każdy przejechany kilometr jest jak sekunda dnia wykradziona nocy. Granicy między Łotwą a Estonią mogłoby właściwie nie być. W pewnym momencie zmienia się tylko język drogowskazów. Z nieba lecą samogłoski przyprószone umlautami.

Do Lennarta nieopodal Häädemeeste pierwszy raz zajeżdżaliśmy trochę onieśmieleni. Kilka drewnianych chałupek ustawionych w półokręgu i przepalony pień gigantycznej topoli na kupie popiołu pośrodku. Uśmiechnięty, goły od pasa w górę, nijak nie przypominał stereotypowego Estończyka. „Spóźniliście się o kilka dni, mieliśmy tu małą imprezę" – powiedział, a my zrozumieliśmy, że tam, pod Tallinem, noc Kupały albo Midsommar wciąż świętuje się z przytupem. W tym roku było tak samo. Z nieba lał się żar, Lennart był goły, uśmiechnięty i chyba jeszcze trochę zawiany, a my patrzyliśmy z podziwem, jak spychacz rozprawia się z pozostałościami po ognisku. Postanowiliśmy, że za rok już się nie spóźnimy. Szkolne świadectwa mogą poczekać do września. Słońce nie. A jak się zagapisz, to się obudzisz z ręką w jesieni. Zresztą swawole nad ogniskiem w najkrótszą noc roku to o wiele lepszy rytuał powitania laby niż wyprasowana biała koszula i książka z dedykacją.

Gdzie diabeł robi interes

Podobno nie ma Estończyka, który nie czytał „Listopadowych porzeczek" Andrusa Kivirähka. „Autor obdarzony najbardziej niesamowitą wyobraźnią na świecie", zachwala na okładce polskiego wydania Olga Tokarczuk. Ale mnie bardziej od literackiego talentu Kivirähka onieśmiela estońskie *modus operandi* – jaki jest naród, który na swój współczesny kanon literacki wybiera tak pokręconą rzecz?

Fabuła „Listopadowych porzeczek" osadzona jest w bliżej nieokreślonej przeszłości. Bohaterowie to estońscy wieśniacy żyjący pod kuratelą pruskiego barona. Skąd my to znamy – ciemiężyciele i ciemiężeni w mrokach późnej jesieni. Ale, dla odmiany, zamiast bohaterskich, narodowowyzwoleńczych zrywów i rozlewu krwi, Estończycy wolą czysty pragmatyzm. Sposobem na biedę są powszechne kradzieże. Goli się zarówno pana, jak i sąsiadów, przy czym wszystko w białych rękawiczkach. Na łowy wysyłane są bowiem sklecone z gospodarskich rupieci kraty, bałtyckie odpowiedniki golemów. Ożywia je sam diabeł, któremu wydaje się, że zbija na tym świetny interes. Tylko że zamiast płacić mu za użytkowe dusze własną krwią, chłopi niepostrzeżenie rozgniatają na cyrografie tytułowe owoce, mocno już o tej porze roku zmrożone. I tak to się kręci, dzień za dniem, każdy zanurzony w oparach absurdu.

Porzeczki w kalendarzu

Czytałem Kivirähka w ostatnim tygodniu czerwca, na wyspie Saaremaa, w domu z tarasem, który wychodził na Bałtyk. Między mną a wodą była jeszcze połać trzcin, w których przez całą dobę niestrudzenie nadawał trzciniak. Jego głos brzmiał jak kosmiczne sygnały wysyłane z odległej mgławicy. Wino kończyło się szybciej niż dzień, a dzieci za nic miały sumiennie wypracowany w roku szkolnym dobowy rytm. Każdy kogoś oszukiwał – my czas, one nas. To było jak rozgniatanie porzeczek na kalendarzu, tak żeby każdy z tych późnoczerwcowych dni robił za święto. Nikt z tego powodu nie miał wyrzutów sumienia.

Tam, w Estonii, były też ostrygojady, i to w obfitości. Brodzące w wodzie i trawie miniaturki czarnego bociana. No właśnie, te kolory! Uniwersalny zestaw barw to, jak zauważają Zbyryt i Tryjanowski, emblemat charyzmy. Na jednym biegunie pstrokata tęcza: kraska, żołna, paw, tukan i drzewołazy, na drugim – majestat prostej elegancji: panda wielka, orka, sroka, pingwiny i bociany.

Autorzy wspomnianej biografii bociana powołują się na badania dotyczące ptaków morskich, według których ciemne końcówki skrzydeł, spotykane np. u mew i głuptaków, nie służą, jak sądzono dotychczas, wyłącznie maskowaniu. Czerń łatwiej się nagrzewa, więc ptak będzie potrzebował mniej energii, by lecieć. Ewolucyjna inwestycja w czerń jest zatem postawieniem na wydajność, tak niezbędną przy długich migracjach. Swoje robi też doświadczenie – im starszy bocian, tym rzadziej macha skrzydłami. Szybowanie jest o wiele mniej paliwożerne niż aktywny lot. Młode, wyklute kilka miesięcy wcześniej ptaki, które dopiero co nauczyły się latać, a już mają uciekać przed zimą na dalekie południe, nie mają kiedy się zregenerować. To może szokować – młode bociany, piszą Zbyryt i Tryjanowski, najczęściej odlatują z lęgowisk wcześniej niż większość dorosłych. W drodze i tak zostają zwykle w tyle, a żeby nie zginąć, przyłączają się do kolejnych napotykanych w czasie migracji stad.

Kaia pod Kijowem

Ale po co pisać o Estonii w kontekście bocianów, skoro to my, Polacy, zaraz po Hiszpanach, uzurpujemy sobie prawo do wydawania im największej liczby paszportów? Może dlatego, że to właśnie nadbałtycki kraj stanowi kraniec północnego zasięgu tego gatunku? To najdalszy znany im cel wakacyjny, w realiach antropocenu coraz zresztą popularniejszy. Zdarzają się bociany migrujące tam i stamtąd przez kilkanaście tysięcy kilometrów. Przez Bliski Wschód, Bosfor, Rumunię, Ukrainę, Białoruś itd. Dla miłośników statystyki: w czasie jesiennej migracji przeciętny bocian biały dziennie pokonuje 295 km, bocian czarny – 265 km.

Rozkochany we wszystkim, co estońskie, wchodzę na forum tamtejszych ptasiarzy, którzy już od paru tygodni śledzą tegoroczne migracje „swoich" bocianów wyposażonych w nadajniki GPS. Przede wszystkim czarnych, które świetnie odnajdują się w tamtejszych borach i na mokradłach.

Rozkręcają się powoli. Timmu i Nurme wyprowadzały lęgi niezależnie, ale przez kilkaset kilometrów lecą niemal skrzydło w skrzydło, aż jeden z nich zwalnia, a drugi wlatuje do Ukrainy, w której tyle się od jego ostatniej migracji na południe zmieniło. Kaia zresztą też jest już pod Kijowem. Eedi wyruszył 12 sierpnia, ale z niewiadomych względów zawrócił znad Łotwy, widać on też chce przedłużyć wakacje. Nie mogę znaleźć żadnych informacji o Julgem, który urodził się rok temu pod okiem internetowej kamery, przeżył jako jedyny z czwórki rodzeństwa, a swoją pionierską migrację rozpoczął od podróży na statku w kierunku Szwecji. Od razu przychodzą mi do głowy te porzeczki na cyrografie.

Osierocone słupy mówią więcej o porze roku niż maźnięte pruskim błękitem niebo. Dlatego kiedy widzę jakiegoś marudera, czuję z nim nić porozumienia. **Chodzi nam przecież o to samo – żeby wycisnąć tych kilka znośnych miesięcy jak gąbkę.**

Tanie loty

Plącze mi się to wszystko – bociany, Estonia, sierpień i porzeczki – w jeden wątek jako myśl przewodnia tych wakacji. No więc wracasz w pierwszych dniach lipca z dalekiej północy, przeładowany borealnym słońcem, i czujesz się, jakbyś właśnie wykiwał kalendarz. To przede wszystkim oszukiwanie samego siebie, ale działa. Po takiej dawce odpoczynku skondensowanego jak śmietanka w estońskich lodach Premia lipiec i sierpień zdają się mijać o wiele wolniej. Nawet burzowe chmury przestają się spieszyć. Z większą uważnością patrzysz na krajobraz i łowisz rządzące nim reguły. W sierpniu ptaki przestają być policzalne. Zbierają się tuzinami na łąkach i pastwiskach, żeby razem przygotować się do odlotu. Większe stado to, przekonują Tryjanowski i Zbyryt, lepsza ochrona przed drapieżnikami. To się nazywa mieć oczy dookoła głowy, i to w trakcie intensywnego żerowania. Chodzi jednak również o lepsze rozeznanie tego, co pod nogami, już w czasie samej migracji.

„By rozpocząć podróż i skorzystać z możliwości taniego lotu – piszą przyrodnicy w „Bocianie" – potrzebny jest upalny wyżowy dzień z silnie świecącym słońcem. To dlatego bociany odlatują już w sierpniu, w trakcie największych upałów. Adepci szkół szybowcowych uczą się technik wznoszenia i lotu od starych wyjadaczy, a młode bociany próbują poznać sprawdzone sposoby, obserwując dorosłe osobniki. Bez otrzymanej wiedzy mogą stracić życie na drodze pełnej niespodzianek. Kto się spóźni, ten zostaje, a wtedy może liczyć co najwyżej na ludzką pomoc. Samotny bocian nawet nie próbuje odlecieć, bo nie wie, dokąd się kierować. Trzeba słuchać mamy, taty, wujków, cioć – po prostu starszych ptaków".

Dla postronnego obserwatora taki bociani sejmik może być – przekonują ornitolodzy – komicznym spektaklem, zwłaszcza gdy akurat trafi się na jedną z takich lekcji latania. Młode próbują wtedy podskakiwać, jakby były nie bocianami, tylko żabami.

Waga gniazda

Jest sierpień i znowu jadę na północny wschód, do Budy Ruskiej. Najpierw białostocką, potem w Ostrowi Mazowieckiej na nową ekspresówkę, wciąż niedokończoną. Śniadowo, Łomża, Stawiski, Szczuczyn. Tam, gdzie ciągle trwa budowa, trzeba się tłuc przez wsie. To ich elektryfikacja w drugiej połowie ubiegłego wieku sprawiła, że Polska stała się krainą tak przyjazną dla bocianów.

Ptaki nauczyły się korzystać ze słupów jako doskonałych miejsc na masywne, kilkusetkilogramowe gniazda (na stronie Polskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków można znaleźć uniwersalny kalkulator masy gniazda, który wylicza ją na podstawie paru danych obserwacyjnych). Wcześniej gnieździły się zwykle na krytych strzechą dachach, potem na eternicie. I na drzewach – w rozgałęzieniach rosochatych koron oraz na zamarłych wierzchołkach kształtem przypominających kominy.

Teraz te osierocone słupy mówią więcej o porze roku niż maźnięte pruskim błękitem niebo. Dlatego kiedy widzę jakiegoś marudera, który ile może, przedłuża sobie wakacje, czuję z nim nić braterskiego porozumienia. Wszystkim nam chodzi dokładnie o to samo – żeby wycisnąć tych kilka znośnych miesięcy jak gąbkę. No ale nie można przecież tak bez końca. Za Rajgrodem, gdzie ziemia przypomina tkaną ze strumieni i kanałów makatkę, nieduże stado podrywa się z pobocza.

Nie wiem, skąd przychodzi mi nagle do głowy myśl, że to jest właśnie ten moment, że tak zaczyna się wielka podróż, pierwszy z tysięcy kilometrów, które ostatecznie rozsypią się jak korale gdzieś nad Afryką. Sylwetki niczym rakiety, dzioby jak głowice, jedno, drugie, trzecie okrążenie w termalnym kominie, każde wyżej od poprzedniego. Chciałbym tę chwilę jakoś uwiecznić, ale nie głupim zdjęciem, tylko wyraźnym komunikatem. Hej, widzę was, szerokiej drogi! Biję się tak z coraz bardziej wzniosłymi myślami, kiedy spostrzegam, że w aucie przede mną ktoś opuszcza szybę. Przez okno wychyla się ręka, chyba dziecięca, i zaczyna machać. Banalny gest, który zawiera wszystko, co potrzeba. Najmądrzejszy z rytuałów. Patrzę na rejestrację i wcale mnie nie dziwi, że na niebieskim tle, pod gwiazdkami, widzę trzy tak lubiane przeze mnie litery: EST.

■ ■ ■

Po powrocie do domu odpalam jeszcze raz forum estońskich ptasiarzy. Przeklikuję kolejne podstrony w poszukiwaniu minionej wiosny. Długo to trwa, ale w końcu znajduję: 8 kwietnia, Karl melduje się z powrotem na wakacjach. A więc byle do kwietnia! Jak on żyje, to znaczy, że my też możemy! Pal licho noc Kupały, niech mentalne lato zaczyna się zaraz po wiosennym przesileniu. To nie brzmi jakoś szczególnie ponuro nawet teraz, na progu września. Trzeba tylko zamrozić zawczasu garść porzeczek.

© ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz: *Cel! Pal!*

W zeszłym tygodniu wiele się wydarzyło, ktoś powie, że za wiele, że z brzemiennych w skutki zdarzeń ciężko wybrać to najważniejsze. Ponieważ staramy się podejmować decyzje szybko i bez hamletyzowania, i tym razem wybór przyszedł nam łatwo i nie bez przyjemności.

Uznaliśmy oto, że apel Gospodarza do ludu, by ów palił w piecach wszystkim prócz opon, jest wydarzeniem co najmniej najpoważniejszym i wartym analizy. W zdaniu wypowiedzianym przez przywódcę, lekko licząc, połowy społeczeństwa mieści się w zasadzie cały program partii Prawo i Sprawiedliwość, a szczególnie jej dbałość o swojskość. Swojskość – gdyby ktoś zapomniał – jest kluczowym elementem polityki polskiej. Komu się dziś zdaje, że poczucie swojskości w politycznym programowaniu można pominąć bądź zlekceważyć, ten przegra każde wybory. Oczywiście, swojskość, by ją uprawiać, trzeba rozumieć. Trzeba mieć do swojskości słuch absolutny i nie da się ukryć, że Gospodarz te przymioty posiada, także dlatego, że jest – wbrew pozorom – swojakiem.

Ktoś spróbuje teraz przynudzić o legendarnym już inteligencie z Żoliborza, że – powie – nie można być równocześnie ludowym swojakiem i inteligentem. Będzie to przynudzenie poniekąd słuszne. Nie można. Inteligenckość Gospodarza jest zmyśleniem ćwierćinteligentów, zdaje się, warszawskich, ale i oczywiście krakowskich. Minęły czasy, gdy coś ważnego w Polsce mogło się zdarzyć bez udziału krakowskiego ćwierćinteligenta. Pełna żoliborskość Gospodarza też jest wątpliwa i w zasadzie bez znaczenia. Gospodarz jest swojakiem ogólnopolskim, mimo pomieszkiwania w tej skądinąd i ładnej, i nietaniej dzielnicy.

A więc główny swojak kraju powiada językiem swojskim, do swojaków, by czynili po naszemu, by – sygnalizuje to wyraźnie w apelu o spalenie w piecach wszystkiego prócz opon – nie zważali na przepisy wydumane przez elity i celebrytów, zdjęte z sufitów w brukselskich gabinetach, na miazmaty obcej nam logiki Zachodu. Apeluje, by nasi swojacy plunęli na zakazy i ograniczenia, podnieśli czarną flagę anarchii i spalili śmieci swe, a zrobi im się od tego cieplej i na ciele, i na sercu. Boczną korzyścią będzie reakcja. Już jest.

Oto oderwane od czystej polskości, od elementarnej nawet swojskości elity zawyły i wyć w zimowe wieczory będą, co będzie można wykorzystać podczas kolejnego etapu objazdu polskiej prowincji spowitej czarną, tłustą mgłą, produktem spalania rzekomo nie opon, tylko pieluch i plastikowych butelek, i pudeł, i szmat, i wszystkiego palnego. Tej zimy każde kaszlnięcie od owych woni nie będzie już banalnym objawem raka nosogardzieli ani astmy, nie będzie to koklusz bez podtekstów, lecz znak patriotycznego uniesienia i poświęcenia w wojnie, w której paleniska nasze mają być orężem przeciw zwyrodniałej kulturze Zachodu. Ktoś powie, że się teraz jednak zapędziliśmy, i ten ktoś – rzec trzeba – jest oderwany od swojskości. Nie zapędziliśmy się, od lat bowiem nie umiemy przewidzieć, jak Gospodarz zdefiniuje swojskość i jak ją zaprezentuje, w czym ją zobaczy i jakie wyda rozkazy, by ją zrealizować.

I na tym w zasadzie chcielibyśmy skończyć omówienie najważniejszego zdania padłego w polskiej polityce w zeszłym tygodniu, zdania, z którego wyniknie doprawdy więcej niż z tysięcy zdań wypowiedzianych w tym samym czasie przez innych polityków polskich. Ale nie, wolimy skończyć innym, choć podobnym akcentem, myślą wyartykułowaną przez Gospodarza w charakterystyczny dla niego, insynuacyjny sposób. Dotyczy ona wrażeń z jednej z nielicznych jego wizyt za granicą. Sprzed ponad trzech dekad. Był w Wiedniu i nie chce – jak powiada teraz – opowiedzieć, co tam zobaczył. Bo było to – mniemać należy – szokujące i mu obce. Domyślamy się, co to być mogło? Czy trzeba do tego szczególnie perwersyjnego daru fantazji? Nie. Wystarczy powiedzieć, że obecny nasz przywódca, przejazdem, zobaczył w ostatniej dekadzie XX wieku zwykłe, raczej średnie europejskie miasto. Zobaczył i się przestraszył. Rzec trzeba, że jest to niezwykle swojska relacja z zagranicznej wycieczki. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

NOWE SYMBOLE NA POJAZDACH ROSYJSKIEJ ARMII

Napisz własną historię kuchenną

Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki" w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje, autorskie ilustracje – i Twoja opowieść.

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN DLA „TP"

REKLAMA

Czas równowagi

Kup na przekroj.pl

Dochód ze sprzedaży kwartalnika przeznaczamy na działalność statutową Fundacji PRZEKRóJ